

BEZCZYNNOŚĆ EKIPY TUSKA

Rząd Polski mógłby zablokować Europejski Zielony Ład



Jakie będą relacje Warszawy i Moskwy po wojnie na Ukrainie

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 45/603 4-11 LISTOPADA 2024
CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO PRZECZY

**KONIEC SYNODU.
PAPIEŻ OGŁOSIŁ
REWOLUCJĘ
W KOŚCIELE
- DO CZEGO
ONA DOPROWADZI?**

**Marsz Niepodległości
jak Solidarność**



Co nakręca Adama Bodnara

**WYCHOWANEK SOROSA
NA IDEOLOGICZNYM FRONCIE**





11.11.2024 WARSZAWA

14:00 RONDO DMOWSKIEGO

WIELKIEJ POLSKI MOC TO *my!*

**ZRÓB Z NAMI
MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI!**



MARSZNIEPODLEGLOSCI.PL/WSPIERAM

34 1020 1013 0000 0602 0352 8726

Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, Stawki 4B/U1, 00-193 Warszawa
Tytułem: **Darowizna na cele statutowe**

Dlaczego Warszawa milczała



PAWEŁ LISICKI

Wszystko wskazuje na to, że wkrótce we Lwowie pojawi się, w centralnym punkcie miasta, nowy pomnik. Będzie tam można oglądać postać Romana Szuchewycza, głównodowodzącego UPA i bezpośrednio odpowiedzialnego za wymordowanie tysięcy Polaków. O postawienie w tym miejscu pomnika zbrodniarza zaapelowali lokalni ukraińscy wojskowi. I żeby wszystko było jasne, monument pojawi się na placu imienia Ołeksandra (Ołeksy) Hasyna, pułkownika UPA o pseudonimach Łycar (Rycerz) czy Tur, który popierał politykę ludobójstwa zapoczątkowaną przez Kłyma Sawura. Jeśli pomnik Szuchewycza stanie w przeznaczonym dla niego miejscu, to spokojnie będzie można nazwać ten plac placem katów Polaków. A że wszystko to dokona się w mieście określanym w polskiej tradycji mianem „semper Fidelis”, wskazywanym jako wzór polskości i patriotyzmu, trudno pozbyć się wrażenia, że chodzi tu o swego rodzaju historyczny sadyzm wobec Polaków.

Nie jest to jedyny przykład rosnącego znaczenia ideologii banderyzmu. I tak kilka dni temu ukazał się klip wyprodukowany przez Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, poświęcony obrońcom Ukrainy i Matce Bożej jako ich patronce. Jedno z ujęć, przeczytałem, pokazuje Banderę i Szuchewycza w charakterystycznym dla chrześcijańskich ikon stylu. Nie wiem, czy słowo „bluźnierstwo” wystarczy, żeby opisać ten projekt.

Latwo zauważyć, że podobne, coraz bardziej niebezpieczne i z polskiego punktu widzenia skrajnie wrogie posunięcia praktycznie nie spotykają się ze stosownym odporem polskich elit. Nic dziwnego. Przecież jeszcze niedawno polski prezydent Andrzej Duda rzucał się

w ramiona swojego najbliższego przyjaciela Wołodymyra Zełenskiego, opowiadając o dogłębnej i wiecznej przyjaźni, a prezes Jarosław Kaczyński, główny strateg odpowiadający za polską politykę zagraniczną, a na pewno wschodnią, pielgrzymował do Kijowa, besztając wszystkich wątpiacych. W czasie, gdy po 2022 r. Polska mogła wymusić na Ukrainie inną postawę i domagać się poszanowania naszej pamięci – a więc choćby rezygnacji z kultu zbrodniarzy – polskie władze uporczywie udawały, że nie jest to problem. Zresztą te obecne niewiele się pod tym względem od poprzednich różnią.

Ani jedni, ani drudzy nie byli w stanie i nadal nie chcą dostrzec prostego i koniecznego związku między uzachodnieniem Ukrainy i jej banderyzacją. Mimo że wszelkie znaki na niebie i na ziemi wyraźnie wskazują na to, iż taki proces występuje, polska klasa polityczna od lat odrzuca jego istnienie. Było to widoczne już pod koniec prezydentury Wiktora Juszczenki, a prawdziwa eksplozja nastąpiła od lutego 2022 r. Dzieje się to w sytuacji, w której wybielanie i kult zabójców z UPA niosą w sobie dla Polski poważne zagrożenia.

Pierwszym jest to, że jest to kult fałszywy i bałwochwalczy. Nie wolno się godzić na cześć dla zabójców nie tylko dlatego, że uderza on w polskie interesy, lecz także dlatego, że jest obiektywnie zły, bo czymś obiektywnie złym jest przygotowywanie i wdrażanie planów ludobójstwa, a to właśnie obciąża tak samego Stepana Bandere, jak późniejszych wykonawców zbrodni.

Po drugie, i to z polskiego punktu widzenia szczególnie ważne, zgoda na cześć banderowców oznacza zgodę na to, że ważną częścią współczesnej ukraińskiej

tożsamości narodowej będzie utajona wrogość do polskości. Wielu polskich publicystów twierdzi, że nie należy się tym przejmować, bo odrodzenie pamięci o Banderze nie jest wymierzone w Polskę, ale w Rosję. Dzisiaj – mówią – skrajny, ukraiński nacjonalizm Polsce nie zagraża, bo w całości skierowany jest przeciw Moskwie. Być może dzisiaj tak jest. Ale jak będzie jutro? Czy w przypadku niepowodzeń na froncie w starciu z Rosją tak trudno sobie wyobrazić, że ów antypolski komponent zawarty w ideologii ukraińskiego nacjonalizmu odżyje i zostanie skierowany przeciw Warszawie?

Po trzecie wreszcie, właśnie publiczny kult zabójców z UPA jest prawdziwą i główną przeszkodą na drodze do upamiętnienia polskich ofiar na Wołyniu. Z tych zatem powodów, a można podać ich więcej, obecny rozwój świadomości historycznej na Ukrainie powinien wzbudzać wśród Polaków najwyższe zaniepokojenie. Tak się jednak nie stało.

Wydaje się, że główną przyczyną była uległość polskich polityków wobec interesów Waszyngtonu, który próbował wciągnąć Ukrainę do swojej strefy wpływów. Amerykanie doskonale rozumieli, że jedyną sprawczą i skuteczną siłą na Ukrainie, która gotowa jest walczyć z Rosją, są tamtejsi nacjonaści, dla których to wzorcem byli właśnie założyciele UPA. Tylko fanatyczni radykałowie dawali gwarancję, że nie bacząc na ryzyko, nierównowagę i niepewne szanse na zwycięstwo, podejmą się walki z Moskwą.

Jeśli dodać do tego tradycyjne polskie manichejskie widzenie polityki, gdzie źródłem absolutnego zła jest Moskwa, to sprawa tolerancji dla kultu Bandery staje się zrozumiała. Co nie znaczy, że można go usprawiedliwić. ©



TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**STYGNĄCA OBYWATELSKOŚĆ
BODNARA**
Od RPO do politycznego czyszciciela

KRAJ

18 ROZMOWA Z BARTOSZEM MALEWSKIM
**MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI
JAK SOLIDARNOŚĆ**
Manifestacja, która jest nadzieją

21 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
EURO-PIS?

24 PIOTR SEMKA
ŚWIĘTA WOJNA NA LEWICY

27 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
ODNALEZIONA OWCA GŁOŚNO BECZY

28 RADOŚLAŃ WÓJTAS
ZMAGANIA Z INTELIGENCJĄ

30 ROZMOWA Z DR. KAROLEM DUDKIEM-RÓŻYCKIM
PRZYRODA W SZKOLE MA BYĆ FRAJDĄ

KULTURA

32 JOANNA BOJAŃCZYK
MIEDZY PLACEM A PAŁACEM
Muzeum Sztuki Nowoczesnej
– architektoniczny hit czy kit



36 PIOTR GOCIEK
CÓRKA PROFESORA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 LECH MAŻEWSKI
**POLSKO-ROSYJSKI
MODUS VIVENDI?**
Jak ułożyć stosunki z Moskwą

45 ŁUKASZ WARZECHA
PRAWNY POPULIZM

48 WOJCIECH GOŁONKA
**KAPISZONOWE UDERZENIE
W MUSKA**

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PAPIEŻ OGŁOSIŁ REWOLUCJĘ

HISTORIA

54 KS. PROF. DR HAB. ADAM RYBICKI
MĘŻCZYNA PRAWDZIWIY
Grypsy więzienne Łukasza Cieplińskiego

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP IDZIE PO BIAŁY DOM
Republikanie mogą przejąć pełnię władzy

63 MACIEJ PIECZYŃSKI
SZUCHEWYCZ WIECZNIE ŻYWI

66 TERESA STYLIŃSKA
BRITYJSKI PREMIER W OPAŁACH

68 PIOTR WŁOCZYK
PRO-LIFER XI JINPING

EKONOMIA

70 ROZMOWA
Z DR. GRZEGORZEM CHOCIANEM
MOŻNA ZABLOKOWAĆ ZIELONY ŁĄD
Niech Komisja Europejska nas pozwie





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

To silny wyznacza reguły

Chciałbym poprosić i zaprosić naszych partnerów z koalicji rządowej: z Platformy Obywatelskiej, z Polski 2050, z Lewicy, żebyśmy dzisiaj wspólnie wyłonili kandydata na prezydenta". Ta deklaracja Władysława Kosiniaka-Kamysza na radzie naczelnej PSL 26 października była zaskoczeniem dla wszystkich. Jeszcze rok temu lider ludowców był zwolennikiem osobnego startu kandydatów koalicji w wyścigu o prezydenturę. Tyle że przez ten rok zmieniło się bardzo wiele. Szymon Hołownia nie jest już ulubieńcem mediów, a w sondażach prezydenckich spadł na koniec peletonu kandydatów. Trudno się dziwić, że Kosiniak-Kamysz nie ma ochoty na żyrowanie w najbliższych wyborach znacznie osłabionego partnera z Trzeciej Drogi. Spyta ktoś: To dlaczego lider PSL sam nie wystartuje? Już raz to zrobił, w poprzednich wyborach prezydenckich w 2020 r. w I turze dostał mizerne 2,36 proc. W przyszłym roku wynik mógłby być jeszcze gorszy.

Tyle że Tusk szybko przypomniał ludowcom, kto tu rozdaje

karty. „Wspólna strategia Koalicji 15 października na wybory prezydenckie musi być zbudowana na trzech fundamentach: partie wystawiają najlepszych kandydatów, nie atakujemy swoich w I turze, wszyscy popieramy (jednoznacznie!) tego, kto przejdzie do II tury. Wygrać, utrzymując jedność, to nasz cel". Tusk wie, że tylko kandydat Platformy ma szansę przejść do II tury, więc wiele nie ryzykuje. Ale jak kandydaci Trzeciej Drogi czy Lewicy mają wykażać jakąkolwiek wyrazistość, nie mogąc skrytykować rywala z PO? Tuska to już nie obchodzi, a Hołownia, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty mają w koalicji zbyt słabe pozycje, by podjąć realną dyskusję z werdyktem premiera. A Tusk nie widzi powodu, by coś ludowcom oddawać za darmo. Kosiniak-Kamysz, wysuwając nagle postulat wspólnego kandydata, tylko dał premierowi z PO okazję do przypomnienia, kto jest samcem alfa na koalicyjnym podwórku.

Zresztą za chwilę czeka nas nowa próba sił w koalicji. Po wyborach prezydenckich, jesienią 2025 r., Szymon Hołownia, zgodnie z umo-

wą o rotacyjnym marszałkowaniu, winien oddać fotel marszałka Włodzimierzowi Czarzastemu z Lewicy. W 2023 r. Hołownia zgodził się na ten warunek z lekkim sercem, bo wierzył, że dzięki marszałkowaniu łatwo zdobędzie taką popularność, że sięgnięcie po prezydenturę nie będzie trudne. Tyle że jego showmański styl kierowania Sejmem znudził się już wszystkim, a jego bon moty mało kogo dziś śmieszą.

Ale stanowisko formalnie drugiej osoby w państwie szkoda oddawać. Dlatego Ryszard Petru, obecnie polityk Polski 2050, już sugeruje, że Hołownia mógłby zatrzymać marszałkowski fotel w zamian za jakieś polityczne koncesje dla Lewicy. Tyle że Włodzimierz Czarzasty nie ma powodów, by nagle wdawać się w jakieś handle z Hołownią. Żadne polityczne frukta nie zastąpią mu funkcji marszałka Sejmu, która bardzo pomoże mu wobec słabej pozycji w koalicji.

Pod rządami premiera Tuska koalicjanci Platformy bledną i spadają w sondażach. I premier z Gdańska o tym świetnie wie. To najsilniejszy dyktuje reguły gry. ©

KONTROWERSYJNA WIZYTA VIKTORA ORBÁNA W GRUZJI

Gruzińska opozycja i jej zwolennicy tłumnie demonstrują przeciw sfałszowanym wyborom. Na dziwne różnice w wynikach zwracają uwagę prezydent Gruzji i wielu zachodnich polityków. Tymczasem do Tbilisi udał się w ubiegłym tygodniu premier Węgier, który pogratulował partii Gruzińskie Marzenie zwycięstwa w wyborach. – Nie pozwoliliście, aby wasz kraj zamienił się w drugą Ukrainę – gratulował Gruzinom Viktor Orbán. (*jap*) ©



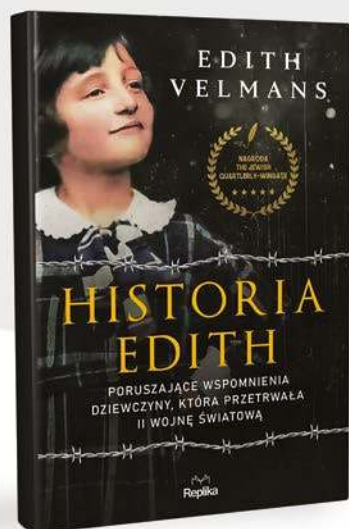
FOT. DMIT KACHACHISHVILI/ANADOLU/GETTY IMAGES

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

EDITH VELMANS:
„HISTORIA EDITH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1348~~zł

422,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 926zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 51caa52f24



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szybko idzie

Jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to mieliśmy w ostatnich dniach prawdziwą złotą serię. Przede wszystkim rząd przyznał wreszcie oficjalnie – co dziennikarze i eksperci pisali od dawna – że w budżecie na rok 2024 po stronie przychodów zabrakło 40 mld, i zapowiedział nowelizację zwiększającą deficyt budżetu do ponad 240 mld. Oczywiście ma to być skutkiem „czynników obiektywnych i przejściowych”, a nie katastrofalnego spadku ściągłości podatków i cichego przyzwolenia na to nowej ekipy, o którym alarmowała w sławnym liście przewodnicząca związku zawodowego pracowników Krajowej Administracji Skarbowej. „Uśmiechnięta Polska” niezdrowo podnieca się

od wielu dni rzekomą defraudacją 3 mln zł na skarpety, a jednocześnie pozwala kraść miliardy.

Inna miazdząca wiadomość to odmowa KE odjęcia od wyliczeń „procedury nadmiernego deficytu” wydatków na obronność, na co rząd bardzo liczył – nie wiadomo dlaczego, bo przecież nasze zbrojenia skierowane są przeciwko państwu, w którym Niemcy i Francja wciąż widzą strategicznego partnera, wierząc, że następca Putina ogłosi rychło jakąś lipną „pieriestrojkę” i „znowu będzie, jak było”. Jednocześnie przyszły z UE wieści, że nie dostaniemy pieniędzy z „odbloowanego” KPO, bo coś tam.

Ogłoszono też tzw. wskaźnik wyprzedzający koniunktury, pokazujący, w uproszczeniu, czy

w przyszłych kwartałach gospodarka będzie się rozwijać. Wskaźnik znowu spadł, wynika więc z tego, że niestety – zwijać. Za to rośnie krótkoterminowe zadłużenie obywateli – od BIK dowiedzieliśmy się, że liczba „chwilówek” wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o 40 proc. Trudno nie połączyć tego ze znanymi już wcześniej danymi o spadku sprzedaży detalicznej o 3 proc. zamiast spodziewanego wzrostu o 2 proc.

Można było się spodziewać, że 140-osobowy rząd z partyjnych i frakcyjnych parytetów, z premierem, który biegły jest tylko w politycznych intrygach, a zarządza przez „wściekanie się”, rozłoży gospodarkę – ale że tak szybko, chyba nikt nie sądził. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

PiS miał rację

Dziś już nikt nie powinien mieć wątpliwości, że we wszystkich kluczowych sporach z PO PiS miał rację. Przyznają to politycy obecnej władzy. Jedni, uczciwsi – wprost. Inni, uważający, że prostolinijność nie należy do cnót wyborczej demokracji, przyznają to faktycznie, w swej polityce. PiS bowiem miał rację w sprawie obrony granicy przed migracyjnym korytarzem Putina-Lukaszenki; w sprawie uruchomienia polityki prorodzinnej („500+”, a potem „800+”); w sprawie Wojsk Obrony Terytorialnej; w sprawie Centralnego Portu Komunikacyjnego. Miał rację (!) wbrew nieprzytomnym atakom swoich przeciwników.

Oczywiście z faktu, że PiS miał rację we wszystkich kluczowych sporach z PO, nie wynika, że miał rację we wszystkim w ogóle. Bo na pewno nie w tym, w czym się z PO zgadzał. Od wspólnego z PO głosowania za odrzuceniem Stop Aborcji w 2016 r. do fatalnych decyzji rządu Morawieckiego w polityce europejskiej, radykalnie zwiększających władzę Unii Europejskiej nad Polską. Ale o to PO nie powinna mieć do PiS pretensji.

Cóż więc zostało z ich deklaracji? Najgłośniejsze hasła opozycyjnej kampanii przeciw PiS – praworządność, konstytucja – okazały się kompletną lipą. W realizacji swych własnych politycznych celów Tusk nie uwzględnił żadnych skrupułów

prawnych czy konstytucyjnych. Przez wiele poprzednich lat zarzucali PiS, że nie potrafi się zmieścić w ramach przyznanym uprawnieniom. A oni? Mieliby prawo (politycznie) ignorować prezydenta, gdyby społeczeństwo dało im 276 mandatów w Sejmie, konstytucyjne trzy piąte pozwalające odrzucać prezydenckie weta wobec ustaw. Ale społeczeństwo zdecydowało inaczej. Kazało rządowi Tuska uzgadniać działalność ustawodawczą z prezydentem Dudą. Dywagacje premiera, jak obejść sprzeciw prezydenta to w istocie kombinacje, jak obejść decyzje Polaków i polską demokrację.

No więc w imię czego właściwie Władysław Kosiniak-Kamysz ciągle pozostaje w tym rządzie? ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

To jakieś nieporozumienie, ja osiem
lat je. z Tem PiS!



Cezary Krzysztopa



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tańcach na grobie

Weronie przed stacją kolejową 26-letni Malijczyk Moussa Diarra ruszył z nożem na policjanta, który oddał dwa strzały ostrzegawcze, a trzecim – w pierś – pozbawił go życia. Jak zawsze w takich przypadkach prokuratura bada okoliczności tragedii.

Diarra bladym świtem w stanie emocjonalnego pobudzenia ruszył na stację kolejową. Po drodze poturbował dwóch strażników miejskich. Na dworcu wybił szyby w kasach, a chwilę potem zaatakował nożem policjanta, który usiłował go wylegitymować. Jak dotąd nie wiadomo, czy policjant przekroczył granice obrony koniecznej ani czy Malijczyk działał pod wpływem używek.

Jednak postępowcy i społeczność afrykańska Werony

już wiedzą, jak było i dlaczego. Ulicami miasta przeszedł pięciotyśięczny pochód z transparentami: „Mordercy”, „Rasizm instytucjonalny” etc. Jeden z radnych zawyrokował: „Na krzyk o pomoc policjant zareagował pistoletem”. Nieśmiała uwaga związku zawodowego policjantów, że o pomoc nie prosi się nożem i przemocą, padła na głuche uszy.

Tragedia jest na ustach całej Italii. Gadające głowy progresistów w telewizjach już znalazły winnych. Ich zdaniem to rasiści, czyli wartogłowy policjant, a w szerszym kontekście rząd, lokalne władze i społeczeństwo włoskie, które nie potrafiły w należyty sposób ugościć malijskiego migranta, notabene notowanego na policji w związku z handlem

narkotykami. Zwracano uwagę, że ostatnio Malijczyk znajdował się w stanie depresji. W piersi, raczej cudze niż własne, uderzył się szef centrali związkowej CISL: „Wszyscy jesteśmy współnikami tej zbrodni”. Mszę za ofiarę i pokój społeczny odprawił miejscowy biskup w kościele naprzeciw stacji kolejowej.

Z okazji do milczenia nie skorzystał niestety wicepremier Włoch, arcy populistą i szef Ligi Matteo Salvini. W akcie horrendalnego obrzydlistwa wypalił pod adresem Malijczyka na platformie X: „Nie będzie go nam brakować”. A potem poradził mieszkającym w Italii Malijczykom, by – skoro im się we Włoszech nie podoba – wrócili do domu. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PATRIARCHALNY DZIAD

Agata Młynarska udzieliła wywiadu Andrzejowi Sołtysikowi. W rozmowie poruszono m.in. wątek tego, że Młynarska została babcią w wieku 45 lat, co jednak nie sprawiło, iż zrezygnowała z ponętnego wizerunku. Sołtysik wtrącił, że widział niedawno film biograficzny o wokalistce Amy Winehouse, z którego dowiedział się, że niektóre kobiety zakładają szpilki, „które mówią »przeleć mnie«”. Przyznał, że bardzo mu się to spodobało. Jednak Młynarska była wyraźnie zaskoczona i zdęgotowana. – Uważam, że to, że przynajmniej się do tego, że ci się to podoba, świadczy o tym, że jesteś starym,



FOT. ETON/PAP

patriarchalnym dziadem. Nazywanie tego w ten sposób jest bardzo niesprawiedliwe, jest dużym nadużyciem wobec kobiet, bo mają prawo chodzić ubrane, jak chcą, a to jest problem mężczyzn, co z tym robią. Jeżeli mają niepokoszone żądze i pragnienie władzy nad tym, jak kobieta ma wyglądać. Ja nie mówię, że ty nosisz koszulę jeansową, która mnie podnieca, która świadczy o tym, że Sołtysik mówi „przeleć mnie” – grzmiała. Prowadzący próbował załagodzić spór, wskazując, że to nie były przecież jego słowa, a kobiecej postaci w filmie fabularnym. To nie udobruchało jego gościa. – Wygląd kobiet nie upoważnia mężczyzn do tego, by definiowali swoje żądze. To są sprawy, które

nie powinny być przedmiotem jakichkolwiek ukierunkowanych w stronę kobiet uwag – odparła ostro. Panie Sołtysik, nie przegadasz pan. Lepiej pójść na grzyby.

BIAŁORUSKA ESKAPADA

Media plotkarskie, choć – jak się okazało – nie tylko one, obserwowały z uwagą niedawną eskapadę na Białoruś Jarosława Jakimowicza. Były prezenter TVP Info wyjechał tam, aby – jak wyjaśniał – szukać korzeni swojej rodziny. Przy okazji chwalił białoruskie ład i porządek, sugerując, że dyktatura Łukaszenki jest przez nasze media przerysowana. Sprawę dla Plejady skomentowało nawet Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jak wyjaśnia Biuro Informacji Resortu, „czykolwiek aktywność, która koresponduje z propagandowymi celami państw jednoznacznie nieprzyjanych Polsce, nie służy – szeroko rozumianemu – bezpieczeństwu Polski. Tymczasem sam „młody wilk” broni decyzji o wyjeździe. – Nie mam już matki i ojca. Nie mam brata, nie mam siostry. Wszyscy umarli w mojej rodzinie. Z wiekiem przychodzi też taka refleksja, taka zaduma nad życiem, nad przodkami. A dlaczego jesteś taki, a nie inny? Mój dziadek urodził się w Grodnie, moja rodzina jest stamtąd. Pod koniec wojny uciekli w głąb Polski i dziadek się, że tak powiem, objawił w okolicach Warszawy, na Mazowszu. Nie miałem się kogo spytać, czy on jest pochowany w Polsce czy tam. Ale od wielu lat wiem od moich znajomych, że Jakimowicz to jest bardzo popularne nazwisko w Grodnie – wyjaśnia. Aktor odrzuca zarzuty o to, że swoimi relacjami z Białorusi ociepla wizerunek Łukaszenki. Przekonuje, że o takiej podróży myślał od kilku lat, ale w czasach pracy dla TVP zrezygnował z pomysłu. – Chciałem jechać dużo wcześniej, jak pracowałem w TVP Info, ale mówię: Kurde, będę przekraczał granicę, spytają mnie, gdzie pracuję, powiem, że w TVP, i żeby zaraz nie było kłótni jakiejś. Uznałem, że odpuszczę – tłumaczy 55-latek. Teraz pan Jakimowicz jest już tylko „były pracownikiem TVP”, więc strażnicy graniczni nie mają się do czego przyczepić.

MENTALNY GROCH Z KAPUSTĄ

Podróż na Wschód zaowocowała wieloma politycznymi refleksjami. Według celebryty Białoruś to kraj jak każdy inny, a media robią na niego nagonkę. – Dlaczego nie jest granica zamknięta? W Polsce pracuje pełno Białorusinów. To jest odwracanie kota ogonem. Ja mam o kontekście mówić? Nie mówiłem ani o polityce, ani o wojnie. Czy, jak pan mówi, jest wojna, to przepraszam, my walczymy z Białorusinami? Mam tu żołnierzy? Nie, trwa tylko sytuacja, która jest na granicy. A przepraszam, Ukraińcy są lepsi? – pytał oburzony Jakimowicz. Dodał, że na Białorusi żyje „milion Polaków”, o których nikt się nie troszczy. – Wy chcecie pomagać Ukraińcom, oddajecie im wszystko. Portal Wirtualna Polska ma w logo ukraińską flagę. Karmimy ich, pasimy, „dejta armaty, dejta HIMARS-y, dejta to, dejta bombę atomową”. Oszałełicie, karmicie Ukraińców. Wiecie, jak ci ludzie biednie i skromnie żyją na Białorusi? Polacy? Pomagacie im jakoś? Nie, wolicie Ukraińcom pomagać, to „nasi bracia, walczą za nas w wojnie” – komentował z oburzeniem w jednej z relacji na Instagramie. Taki trochę strumień świadomości. Ciekawie.

WSZECHMOCNA KWAŚNIEWSKA

Ekspertka do spraw wszystkiego, Martyna Wojciechowska, podzieliła się swoim pomysłem na definicję „kobiety wszechmocnej” (przy okazji jakiejś tam kolejnej celebryckiej gali, nieważne). Przyznała, że jej zdaniem na to miano zasługuje Jolanta Kwaśniewska. – Jest w ogóle wspaniałą kobietą, w każdym wymiarze [...]. To jest kobieta, która miała moc, miała dostęp do mediów i wykorzystwała to w najpiękniejszy, najwspanialszy możliwy sposób. Rzeczywiście to jest kobieta, o której można powiedzieć, że jest wszechmocna, bo zmienia świat, nie tylko, który był wokół niej – zmieniła całą Polskę – mówiła z nieskrywanym entuzjazmem. Pani Martyno, nie tylko. Także Europę i świat. A co! ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteście w szoku. Cały Internet bowiem dzisiaj huczy od informacji, iż za chwilę najlepszy piłkarz na świecie odbierze Złotą Piłkę. Umówmy się – piłka nożna to sport, w którym po boisku biega 22 milionerów, kolejnych kilkunastu siedzi na ławkach rezerwowych i to wszystko ku uciesze kilkuset milionów albo i nawet paru miliardów fashyzujących kiboli z całego świata. Czy macie znajomą osobę na lewicy, która interesuje się piłką nożną? Nie? No właśnie.

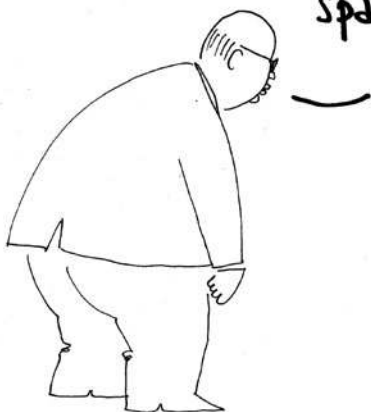
My też się of kors nie interesujemy, ale dzięki temu możemy spojrzeć na całą sprawę z dystansem i orzec, iż Złota Piłka to kolejna fanaberia, która ma na celu połechtać wybujające ego piłkarzy. Zupełnie, jakby światowe zasoby złota były z gumy i można byłoby rozdawać różne złote nagrody w różnych zupełnie randomowych konkurencjach.

Poza tym wytłumaczcie nam, jaki jest sens wyróżniania indywidualnego w sporcie zespołowym? Przeciesz liczyć się powinien kolektyw, o ile dobrze rozumiemy sens tego sportu, a nie kolejny umięśniony i szybki pojedynczy zawodnik.

Do tego jeszcze, aby wręczyć tę nagrodę, zorganizowana została specjalna gala, na którą osoby ze świata

futbolu w znacznej części przyleciały samolotami. Czy ktoś w ogóle kiedyś zbadał, w jakim stopniu piłka nożna, te wszystkie rozgrywki, podróże klubów przyczyniają się do powstania śladu węglowego? Przeciesz to czas najwyższy, iżby skończyć to szaleństwo i pozostawić futbol jedynie w charakterze czynnika resocjalizacyjnego dla młodych osobodilerów i nacjonalistów. Bo kto inny się tym interesuje?

Musielismy wypuścić księdza...
spadniemy w rankingach
prawotządności...



6 x y 12 T o n a z e + a c l e v 1205

Zdobrych wiadomości – Polska ma najwyższe ceny prądu na świecie. Tak, jest to bez wątpienia dobra wiadomość, chociaż pewnie się dziwicie, dlaczego tak uważamy. Otóż spieszymy wam wyjaśnić, iżbyście nie musieli się zastanawiać zbyt długo.

Jak wiecie, w tym momencie naszej herstorii mamy problem ze zbyt wysoką konsumpcją energii elektrycznej, co prowadzi do efektu cieplarnianego i zwiększenia śladu węglowego i tak dalej. Powinniśmy używać jak najmniej prądu, iżby go trochę zaoszczędzić, nie wpływać na klimat i aktywistów.

A co takiego przeciętnego Polaka janusza skuteczniej powstrzyma od używania elektryczności niż wysokie ceny? Zwłaszcza teraz, kiedy szybciej robi się ciemno i trzeba by dłużej świecić światło? Przeciesz taki Polak prędzej zrezygnuje ze swojego starego passata na mieszkankę oleju napędowego i słonecznikowego niż ze świecenia światła, korzystania z lodówki, pralki czy zmywarki.

A zatem taka presja ekonomiczna jak najbardziej ma sens i bardzo dobrze, z korzyścią dla świata, iż będziemy tu w tym kraju zużywać prądu mniej. Może uda się też dojść do takiego etapu, kiedy zrezygnujemy też z gazu, wody bieżącej – ale to już po

tym, jak zrezygnujemy z samochodów spalinowych i prywatności w Internecie, rewolucja nie może być zbyt gwałtowna, bo jeszcze coś zauważą xD. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Na gębę...

No nie, Władziu, nie tak się umawialiśmy, nie tak.

Ale że niby nie jak, Szymuś?

Ty mi tu nie szymusiał, bo dobrze wiesz. Ja miałem być naszym kandydatem.

No, faktycznie... Coś tam kojarzę, była kiedyś taka rozmowa... Jak miałeś dwa razy poparcie wyższe.

Rozmowa? Uroczysta umowa była!

A masz to na piśmie? Bo, jak mawia Radek, na gębę to jest krem Nivea.

Mślałem, że jesteśmy poważnymi ludźmi! Że się przyjaźnimy!

No właśnie. Poważny polityk ma wszystko spisane i podpisane, i z nikim się nie przyjaźni.

Ja się tak nie bawię!

Oj, Szymuś. Masz tu chusteczkę i już nie płakusiał. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Świątynia Opaczności Bożej”.

NAPIS NA JEDNYM Z NOWYCH PRZYSTANKÓW tramwajowych w Wilanowie

Głodnych (wiedzy) nakarmić, spragnionych (plotek) napoić – to nasze motto. Zatem wyjaśniamy, o co chodzi z zamieszaniem „Czarnek czy nie Czarnek”. Otóż z rozmaitych badań wychodzi PiS, że jednak kandydatem na prezydenta powinien być Czarnek. I miał być ogłoszony, ale zaczęli przeciw temu burzyć się morawianie oraz wpływowe jednostki ze starej gwardii PiS. W związku z tym sprawę odsunęto w czasie. Aż kolejne badania pokażą jeszcze bardziej, że kandydatem powinien być Czarnek.

Żeby nie było: postanowiliśmy popytać tu i ówdzie, kim są owe wpływowe jednostki ze starego PiS gardłujące przeciw Czarnkowi. No i okazało się, że najgłośniejsze to Jojo Achim Brudziński. Który pozwolił sobie nawet na zapowiedź, że jeśli będą prawyborzy, to u nich, w Zachodniopomorskiem, na pewno wygra Bogucki. Wieść wiewiór-

– znaczy przed walką o prezydenturę ślub kościelny wziął, owszem. A potem ogłosił, że się nie kłania księżom.

Apropos tego, kto tu jest naprawdę zły – nie wiemy, czy wiecie, że Zły Donald z Sopotu to faszysta. A w każdym razie realizuje „agendę faszystów”. Tak ogłosiła słynna reżyser Holland Agnieszka w odpowiedzi na Donaldowe deklaracje i zawieszeniu prawa do azylu. Teraz najśmieszniejsze: w tym

samym programie tefauenów Holland zapytana, na kogo zagłosuje w wyborach prezydenckich, odparła, że na kandydata Koalicji Łobywatełskiej. Naszym zdaniem oznacza to, że Holland głosuje na ludzi realizujących agendę faszystów. Czyli będzie współfaszystką.

Wracając do potencjalnego rozłamowego kandydata na prezydenta z Trzeciej Drogi... Nasze wiewiórki podsłuchały rozmowę dwóch fotografów, którzy deliberowali w tym kontekście o Szymonie Płaczkliwym Hołowni. Jego doradcy proponowali, żeby mu zrobić kampanię wizerunkową na wzór Obamy. Fotografowie okazali się mało postępowi, gdyż zareagowali mało postępowymi, rasistowskimi żartami. Oto jeden z nich: „To ci doradcy nie zauważyli, że Obama jest czarny, a Szymek jest biały? Na takim tle jak Obama nie będzie się od niego odcinał” – rechotali postępowi fotografowie.

dwaj panowie **g**

Z rozmaitych badań wychodzi PiS, że jednak kandydatem na prezydenta powinien być Czarnek

cza niesie, że przed Czarnkiem ostrzega też prezesa jeden z profesorów. Jest to Ryszard Terlecki. Tak, wiemy, że wielu zapomniało, iż jest on profesorem. My – nigdy!

Tymczasem w koalicji reżimowej. W spinowaną przez Złego Donalda z Sopotu rywalizację Radka z Rafciem włącza się nieoficjalnie Trzecia Droga. Która oficjalnie mówi o własnym kandydacie, a po cichu Misio Kamiński przekonywa, że Radek Sikorski byłby dla nich do zaakceptowania jako tzw. wspólny kandydat koalicji, gdyż jest odpowiednio konserwatywny. Przypominamy, że Radek jest mniej więcej tak konserwatywny, jak Donald z Sopotu katolicki



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Wcienu sporów o wybór kandydata na kandydata na prezydenta w PiS trwa reforma wewnętrzna polegająca na zmianie struktury okręgów i ich szefostwa. Jest to reforma bardzo potrzebna i słuszna. Problem w tym, że w ostatnich latach było takich reform już kilka i o każdej z nich łącznie słyszeli od Naczelnika Prezesa, że jest bardzo potrzeba i słuszna. Na logikę to słuszność każdej kolejnej zmiany mocno podważa słuszność poprzedniej. Ale co my tam wiemy? W odróżnieniu od innych tygodników prawicowych zawsze byliśmy słabi z tzw. mądrości etapu.

Tymczasem w Krakowie. Zaczęły się przedbiegi do wyborów do Senatu. Niebawem przecież Klich ma zwolnić miejsce, udając się do Waszyngtonu na placówkę – pal sześć, że trochę na niby, bo tylko jako chargé d'affaires, czyli czardź. Nieoficjalnie wiadomo, że kandydatem na miejsce po Klichu ma być niejaki Mazur. Był on już raz kandydatem, tyle tylko, że na prezydenta Krakowa. Z wyścigu się wtedy wycofał, ponieważ obiecano mu właśnie, że jak Klich wyjedzie, to on wjedzie.

CBA nabyło nowy sprzęt. I nie chodzi bynajmniej o jakiegoś nowego Pegasusa. Na potrzeby nowej szefowej kupiono wypasione bmw w wersji max. Takie same, jakie skasował kierowca komendanta głównego policji. Przypominamy, że w tym przypadku warto jednak zadbać o ubezpieczenie AC, którego nie miało auto komendanta głównego. Nas jednak zdumiał inny zakup na potrzeby szefowej. A konkretnie szafa parowa. To takie ustrojstwo, które podobno ma odświeżać odzież, tak żeby nie trzeba było jej prasować. Ustrojstwo jednak podobno nie spełniło oczekiwań i stoi beczynnie.

Bezczynnie nie stoją natomiast funkcjonariusze CBA i innych tajnych służb. Ale do beczynności się intensywnie przygotowują. A konkretnie chodzi o to, że wielu z nich zamierza w najbliższym czasie złożyć tzw. raporty, czyli przejść na emeryturę. Piszemy o tym od dawna, więc ktoś może zapytać: Skoro się przygotowują, to czemu jeszcze

W europarlamencie popłoch, bo zaostrzono zasady wypłacania diet. Koniec harców

na emeryturę nie przeszli? Odpowiadamy: datę kluczową wyznaczają zapowiedziane na listopad podwyżki. Po ich uzyskaniu funkcjonariusze będą mieli wyższe mnożniki emerytalne. I to jest ten czynnik, który ich jeszcze w służbie trzymał.

Pokaż, lekarzu, co trzymasz w garażu” – to hasło Lutka Dorna rzucone w czasach pierwszego PiS powróci do łask. Słyszeliśmy bowiem, że nowa władza zamierza w najbliższych miesiącach obarczyć winą za dziurę w finansach NFZ chciwych lekarzy, którzy za dużo zarabiają. Gwałtownie zaprzeczył temu Zły Donald z Sopotu. Więc wierzymy tym bardziej. Operacja w sumie już trwa, czego przykładami są „anonimowy rozmówca z Sejmu” gadający w portalu Money.pl oraz wycieki notatek z posiedzeń Rady NFZ. Piniendzy bowiem nie ma i nie będzie, a kogoś trzeba jako czarnego łuda wskazać. Prawda jest jednak dużo ciekawsza.

W wyjaśniamy: jakby ktoś nie zauważył, to po wybuchu pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą Polska objęła uchodźców taką samą opieką zdrowotną jak Polaków. Ukraińcy, mądry naród, po odkryciu, że mogą nie płacić, a korzystać, nie tylko skorzystali, lecz także zaczęli na potęgę przywozić do Polski krewnych na leczenie, zwłaszcza jeśli chodzi o terapie drogie i niedostępne na Ukrainie. Między innymi stąd dziura w budżecie NFZ, bo nagle trzeba było zapłacić za dużo bardzo kosztownych atrakcji. Fakt, że lekarze przy okazji zarobili krocie. No i co z tego? Uczciwie zapracowali. Tak przynajmniej mówią nasze ważne wiewiórki ze świata medycyny, a my zwykliśmy im wierzyć.

A teraz najlepsze: zapytaliśmy znajomych lekarzy, na kogo Zły Donald zwali winę za dziurę finansową w NFZ, gdyby rzeczywiście nie chciał wyżywać się na lekarzach. „Jak to na kogo? – odparło zacne grono

profesorskie. – Na pielęgniarki”. Gorąco pozdrawiamy wszystkich pracowników służby zdrowia głosujących na Pełto i ich popleczników.

Zmiany, zmiany. W europarlamencie popłoch, bo zaostrzono zasady wypłacania diet. Otóż tajemnicą poliszynela jest to, że dotąd często eurodepowie olewali rozmaite posiedzenia, także komisje, ale kasę i tak dostawali, bo podpisywali się za nich na listach obecności asystenci. Otóż koniec harców. W nowej kadencji trzeba odbijać osobiste karty, żeby potwierdzić obecność na posiedzeniach. Oraz złożyć odciski palców, by potwierdzić obecność na komisjach.

Zabawna rzecz. W związku z powyższym można było przyjąć dwa stanowiska. Stanowisko pierwsze, obywatelskie: słusznie, koniec z marnowaniem publicznego europejskiego grosza, ile pracy, tyle płacy! Drugie, buntownicze: hańba, skandal, totalitaryzm, nowy Orwell, inwigilacja, niedługo kamery nam w d...e zamontują! Zgadnijcie, do którego stanowiska bliżej jest europosłom, którzy nam o zaostrzeniach opowiadali.

Życie towarzyskie. Jeden z Panów G. uczestniczył ostatnio w stypie. Po 30 latach żywota żegnano pismo „Fronda”, którego funduszy ministerialnych zdążył odmówić jeszcze podpułkownik Sienkiewicz, nim ewakuował się do okopów w Brukseli. (Powiedział, że nie będzie finansował „fundamentalistów”). W doborowym gronie najświetniejszych umysłów prawicy na stypie snuto przy napojach opowieści wspominkowe. Najciekawsza była taka: otóż w 1994 r., gdy zakładano pismo, nie było wcale pewne, że tytuł brzmiał będzie „Fronda”. Burza mózgów trwała całą noc. Rozważano rozmaite inne tytuły. Na przykład „Czerwie” oraz „Polska Ginie Review”. Uważamy, że ten ostatni jest wyjątkowo aktualny i ktoś mógłby dziś w sumie takie pismo zacząć wydawać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Potomek przesiedleńców z akcji „Wisła”, który w przeszłości potrafił wyjść poza partyjne spory, a dziś jest najwierniejszym człowiekiem Donalda Tuska. Co napędza Adama Bodnara do politycznej zemsty?

Pan Adam Bodnar urodził się i wychował na ziemi gryfickiej. Tutaj ukształtował się jego światopogląd. Jako mieszkańcy Pomorza Zachodniego możemy być dumni, że spośród nas wywodzi się człowiek, który w wyjątkowo trudnych dla Polski czasach pokazał, jak w sposób odważny i bezkompromisowy walczyć o prawa słabszych i traktowanie najważniejszych wartości z należytą powagą i szacunkiem. W czasie sprawowania funkcji bardzo często bywał w naszym regionie, spotykał się z mieszkańcami, był otwarty na wszystkie, najtrudniejsze tematy, które budziły nasze emocje czy wątpliwości – mówił w 2020 r. marszałek województwa zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz, przedstawiając wniosek o przyznanie Bodnarowi Złotej Odznaki Honorowej Gryfa Zachodniopomorskiego (ostatecznie wyróżnienie przyznano dwa lata później).

Adam Bodnar urodził się w Trzebiatowie w 1977 r. Od strony ojca obecny minister sprawiedliwości ma pochodzenie ukraińskie. Michał Bodnar został w roku 1947, w wieku pięciu lat, przesiedlony w ramach akcji „Wisła” ze wsi Rakowa pod Sanokiem (dziś województwo podkarpackie). Rakowej nie ominęły czystki etniczne dokonywane na tamtych terenach przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA. W kwietniu 1945 r. (wówczas województwo lwowskie) banderowcy zabili w Rakowej 18 Polaków. „Sotnia UPA – około 100 ludzi – napadła na polskie gospodarstwa i zamordowała 18 Polaków oraz 3 Ukraińców, którzy próbowali stawać w obronie Polaków” („Ludobójstwo dokonane przez na-



Stygnąca obywatelskość Bodnara



Przez cały okres pełnienia urzędu RPO narastała polityczna radikalizacja Bodnara

kracja, pięknie się rozwijał – opowiadał Piotrowi Jaconiowi z TVN.

– Czy jestem „lokalny” w środku? Myślę, że tak, że Gryfice są we mnie dość głęboko. Chyba nie potrafiłbym tam na co dzień mieszkać bez dostępu do dóbr kultury, bez normalnego funkcjonowania, ale lubię wracać, lubię atmosferę małych miejscowości. Jak jeżdżę na wakacje, to w okolice Złocieńca, Drawska Pomorskiego, na tzw. Ziemię Odzyskane. To mój „Heimat”. Mówię „mój Heimat”, bo teraz jest trend, że odkrywa się tożsamość ziem – przyznał Bodnar, gdy opuszczał urząd Rzecznika Praw Obywatelskich.

Przekonywał, że w czasie pełnienia funkcji próbował wychodzić poza spór polityczny. – Starałem się na swój sposób ratować siebie samego, a także urząd przed tym, żeby nie zajmować się tylko sporami, które budzą największe zainteresowanie na szczycie centralnym. Po to m.in. ruszyłem na tzw. wyjazdy regionalne. Zaczęliśmy jeździć z ekipą, specjalnym busikiem, do poszczególnych województw i tam zazwyczaj tematy, którymi się zajmowaliśmy, były zupełnie inne. To znaczy mniej polityczne [...]. Były takie momenty, że duża część publiczności była z KOD i było takie oczekiwanie, że ja tutaj będę ku pokrzepieniu serc miał narrację, jak jest źle. A ja zaczynam od tego, że ich proszę, aby powiedzieli, jakie mają problemy lokalnie [...]. To mi dawało poczucie bezpieczeństwa – że zajmuję się nie tylko tematami, w których jestem z góry na przegranej pozycji, ale też innymi rzeczami, gdzie mogę ludziom pomóc – wyznał.

W rozmowie z Jaconiem obecny minister sprawiedliwości opowiedział też nieco o życiu prywatnym. – Pochodzę z rodziny bardzo tradycyjnej, pragmatycznej pod kątem podejścia do życia. Że jak się idzie na studia, to po to, żeby później zarobić pieniądze, mieć dobry zawód, w pewnym sensie stanąć na

cjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim w latach 1939–1947”, Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Krzysztof Bulzacki).

CZŁOWIEK DOBRYCH UCZYŃKÓW

Bodnar ukończył prawo na UW, a także studia LLM z prawa konstytucyjnego porównawczego na Central European University w Budapeszcie. W drugiej połowie lat 90. współpracował z „antyfaszystowskim” stowarzyszeniem Nigdy Więcej. Tak mówił o tym czasie w wywiadzie z 2021 r.: – Jak trafiłem

na studia, współpracowałem trochę ze stowarzyszeniem Nigdy Więcej, z Rafałem Pankowskim. To był bardzo ciekawy moment, bo miałem okazję poznać osoby takie jak Jacek Kuroń czy Tadeusz Mazowiecki, chodzić po korytarzach sejmowych. Wrażenie, że byłem obok, to było coś. Po studiach trafiłem na uczelnię w Budapeszcie, założoną – nie należy tego mówić – przez George’a Sorosa. A tam bardzo dużo się mówiło o otwartym społeczeństwie, demokracji, konstytucjonalizmie. Wtedy w Budapeszcie w pełni kwitła demo-

FOT. FILIP NAUMENCO/REPORTER

■ nogi. I to mi się udało. To jeszcze były czasy, gdy wcale nie było tak łatwo dostać się na aplikację, zostać adwokatem czy radcą prawnym. A tu nagle okazuje się, że w środku Warszawy są potężne kancelarie, zajmujące się potężnymi transakcjami, które nie patrzą w ogóle, czy masz jakieś pochodzenie, bylebyś był wytrwały, pracowity. To, co do mnie należało, to robiłem – zaznaczył.

Poruszono też wątek wiary, którą Bodnar „stracił” w młodości. – Byłem osobą, która przez czasy licealne, studia szukała. W którymś momencie znalazła i temu pomogła relacja miłosna. A później ta relacja się rozpadła i z tym pewna część życia została pożegnana – mówił, na co Piotr Jacon odparł, że „tu traci pan wiarę, a zyskuje pełną obywatelskość”. – Miałem na swojej drodze różnych mistrzów, osoby, które dawały mi przestrzeń do działania i ufały, i gdzieś potrafiłem kierować się ich wskazówkami [...]. Pokazywały mi, co to znaczy być człowiekiem oddanym drugiej osobie, co to znaczy wierzyć w ideały, co wypada, czego nie wypada; długo uczyłem się empatii, takiego wejścia w sytuacje dotyczące praw człowieka, aby robić pewne rzeczy z większym uczuciem. Żeby zając się pewnymi sprawami, trzeba samemu coś przeżyć. Jak się nie przeżyje, to się nie rozumie. Nie wystarczy znać standard praw człowieka, który trzeba zastosować, tylko trzeba wiedzieć, jak wysłuchać drugą osobę, i pojąć, jak druga osoba może się w danej sytuacji czuć. Z czasem to przychodziło – przekonywał Bodnar.

Jak dodał, ważne są dla niego dobre uczynki (co pozostało mu z czasów, gdy jeszcze wierzył). – Zostało mi w głowie coś takiego jak „dobry uczynek”. I czasami mam takie dni, że ktoś mnie o coś poprosi, gdzieś zadzwonię, coś załatwię i wtedy myślę, że OK, dzisiaj był jeden dobry uczynek, dzień mogę uznać za zaliczony. Jeżeli robię coś, co uważam za dobre, to czuję, że gdzieś mi się to zwróci. W taki sposób staram się postępować – zaznaczył.

RADYKALIZACJA RPO

Te słowa brzmią dość zastanawiająco, gdy zestawia się je z faktycznymi działaniami Adama Bodnara. Najpierw przyrzeczmy się jego działalności jako RPO (wrzesień 2015–lipiec 2021 r.), która przypadła na lata rządów Zjednoczonej

Sprawy LGBT szczególnie leżały Bodnarowi na sercu. Krytykował zatrzymanie Michała Sz. ps. Margot, skazanego w 2023 r. za zniszczenie furgonetki fundacji pro-life

Prawicy. W 2019 r., gdy policja zatrzymała podejrzanego o brutalne zabójstwo 10-letniej Krisitiny z Mrowin, Bodnar protestował przeciw prowadzeniu go w tzw. kajdankach zespolonych (na dłonie i na stopy). Wyraził wtedy „głębokie zaniepokojenie sposobem zatrzymania i traktowania przez policję mężczyzny podejrzanego”. – Jestem od tego, żeby w trudnych sytuacjach upominać się o przestrzeganie podstawowych praw proceduralnych – powiedział, dodając, że RPO nie może kierować się emocjami społecznymi. Generalnie Bodnar wiele uwagi poświęcał krytyce nadmiernej – jego zdaniem – brutalności policji (zajmował się tą kwestią już wcześniej jako szef Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka). Krytykował działania funkcjonariuszy policji w sprawie śmierci Igora Stachowiaka, nazywając je „torturami”.

Jako RPO mocno troszczył się o sytuację LGBT. Zaskarżał do wojewódzkich sądów administracyjnych niektóre z samorządowych uchwał dotyczące powstrzymania tej ideologii. „W ocenie Rzecznika treść i skutki uchwał, przyjmowanych przez niektóre jednostki samorządu terytorialnego w 2019 i 2020 roku, odnoszących się do przeciwdziałania lub powstrzymania „ideologii” LGBT, aktualizowały ten obowiązek. Uchwały te naruszały bowiem zasady: praworządności, równego traktowania i zakazu dyskryminacji, ochrony godności ludzkiej, wolności słowa, prawa do ochrony życia prywatnego i rodzinnego oraz prawa do edukacji” – czytamy w komunikacie biura RPO. Sprawy LGBT szczególnie leżały Bodnarowi na sercu. Krytykował zatrzymanie Michała Sz. ps. Margot, skazanego w 2023 r. za zniszczenie furgonetki fundacji pro-life.

Adam Bodnar miewał też jaśniejsze momenty. Jako rzecznik zwracał uwagę na niekonstytucyjność niektórych obustrzeń obowiązujących w trakcie pandemii COVID-19. Chodziło o wprowadzony

rozporządzeniem zakaz przemieszczania się, a także ograniczenia liczby osób mogących uczestniczyć w obrzędach religijnych. Jednak im dłużej pełnił funkcję RPO, tym bardziej opowiadał się po jednej ze stron sporu politycznego. Półtora miesiąca przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. udzielił obszernego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Mówił m.in., że w Polsce obowiązuje „demokracja hybrydowa – z rosnącym naciskiem na słowo »hybryda«. Wprowadzane są np. coraz to nowe mechanizmy ograniczające niezależność sądownictwa, ale piłka ciągle jest w grze”. Polskę pod rządami PiS i prezydenta Andrzeja Dudy porównywał do statku, „którego żagle są coraz bardziej poszarpane, a kadłub przecieka”. „Musiemy nie tylko łątać żagle, wylewać wodę, ale również próbować zmienić kurs – bo płyniemy na rafy” – alarmował.

Formułował sądy dotyczące rzekomego rozleniwienia Polaków poprzez poprawę jakości życia. „Mam wrażenie, że poczucie stabilności ekonomicznej i pewnego dostatku, wyrażające się w opinii: »przecież nikogo nie zamykają«, rozleniwiło wiele osób w Polsce. Tracimy czujność, niewystarczająco chronimy wolność słowa i niezależne media, a także niezależne organizacje kontrolujące władzę” – mówił Bodnar.

Pytany o to, czego nie udało mu się zrobić jako RPO, wskazał niezagwarantowanie prawa opiekunów dorosłych osób z niepełnosprawnościami do świadczenia pielęgnacyjnego, a także nieodwrócenie skutków tzw. ustawy dezubekizacyjnej. „Zastosowano tu odpowiedzialność zbiorową. Sądy powszechne mogły zrobić więcej dla wyrównania tej niesprawiedliwości, niż zrobiły. To tylko dwa przykłady. Bo w niektórych sprawach, jak np. dotyczących kwestii wrażliwych ideologicznie, moja rola polegała na powstrzymywaniu niezwykle szkodliwej fali zmian. Dotyczy to zwłaszcza praw osób LGBT” – zastrzegł.

Wiele złego o Adamie Bodnarze mówi niestawna wypowiedź wygłoszona tuż po odejściu z funkcji rzecznika. Podczas uroczystości przyznania Adamowi Bodnarowi nagrody Dialogpreis przyznawanej przez Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich porównał Polskę do „dzikiego zwierzęcia”, za które Niemcy powinni „wziąć odpowiedzialność”.

– Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. Na tym opierało się konstruowanie w Polsce nowoczesnego państwa prawa, mechanizmów ochrony praw człowieka i demokracji. Na tym opieraliśmy naszą integrację europejską – mówił. – Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z „Małego Księcia”. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić – kontynuował. Słowa te (słusznie) wywołały falę oburzenia. Tak otwarte uznanie wyższości „kultury prawnej” Niemiec nad tą polską wyrażone przez Adama Bodnara wydaje się jednak mniej zaskakujące, gdy przypomnimy sobie określenie przez niego rodzinnego Trzebiatowa mianem „Heimatu”. Przez cały okres pełnienia urzędu RPO narastała polityczna radykalizacja Bodnara.

AUTORYTARNE OBLICZE

Wszystko jednak, co zrobił lub powiedział Bodnar rzecznik czy – jak to ujął Piotr Jacoń – „Bodnar obywatelski”, jest niczym przy „dokonaniach” Bodnara polityka. Senatorem był krótko, ponieważ po wygranych przez koalicję pod wodzą Donalda Tuska wyborach parlamentarnych szybko został powołany na funkcje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. – Nie muszę, jestem przekonany, nikomu tłumaczyć, jak ważny to będzie resort. Jak wielka praca przed nami wszystkimi i przed ministrem Bodnarem, bo my musimy tu naprawdę odbudować coś, co zostało zrujnowane – czyli państwo prawa ze wszystkimi tego instytucjonalnymi aspektami. Też spędziliśmy już wiele, wiele godzin z panem Adamem Bodnarem, w jaki sposób szybko i bezwzględnie przywrócić rządy prawa w Polsce. Chcę powiedzieć – usłyszałem te słowa i chcę je powtórzyć tutaj, przed państwem – będziemy szukali sprawiedliwości, będziemy

egzekwować sprawiedliwość wobec tych wszystkich, którzy zgwałcili przepisy polskiego prawa, konstytucję, którzy kradli – mówił Tusk w exposé wygłoszonym 12 grudnia 2023 r.

Niemalże natychmiast rozpoczęto „czyszczenie państwa po PiS”. Nie byłoby to możliwe, gdyby fotel szefa MS objął ktoś mniej zdecydowany i konsekwentny w owym „czyszczeniu” niż Adam Bodnar, a jednocześnie funkcjonujący w aurze „apartyjnego obrońcy praworządności”. Pod koniec stycznia Bodnar rozpoczął akcję siłowego i bezprawnego przejmowania Prokuratury Krajowej. Z gabinetu usunął prawowitego prokuratora krajowego Dariusza Barskiego (co potwierdziła uchwałą Izba Karna Sądu Najwyższego), dosłownie wstawiając na jego miejsce Dariusza Korneluka (najpierw posłużył się jednak prokuratorem Jackiem Bilewiczem, powołując go na stanowisko pełniącego obowiązki).

Na Adamie Bodnarze spoczywa też odpowiedzialność za sytuację trzech osób zatrzymanych w sprawie Funduszu Sprawiedliwości – szefa fundacji Profeto ks. Michała Olszewskiego oraz byłych urzędniczek MS – Urszuli Dubejko

przejmowanie mediów publicznych – początkowo – tylko na podstawie uchwały Sejmu i widzimisię ministra Sienkiewicza.

„Naprawa wymiaru sprawiedliwości po ośmiu latach rządów PiS to zadanie nieporównywalne do żadnego z wyzwań, przed którymi stają dziś ministrowie rządu Tuska. Adam Bodnar wywiązuje się z niego najlepiej, jak to obecnie możliwe” – przekonywał w rocznicę wyborów parlamentarnych Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”. Dla najtwardszych zwolenników obecnej władzy rozliczenia powinny być szybsze i brutalniejsze. Tymczasem patrząc na chłodno, trudno nie odnieść wrażenia, że Bodnar jako polityk z realną władzą w rękach pokazuje prawdziwe, autorytarne oblicze. Bo jak inaczej odczytywać pomysł dotyczący „czynnego żalu” (co prawda, później minister przekonywał, że media zmanipulowały jego wypowiedź, ale słowo się rzekło). Chodzi o sędziów, którzy zostali awansowani przez Krajową Radę Sądownictwa po 2017 r. – „osoby, które dostały ten awans, ale tylko dlatego, że miały nieprzepatą wolę awansowania w strukturze sądownictwa”. – W tym przypadku przewidujemy wprowadzenie instytucji

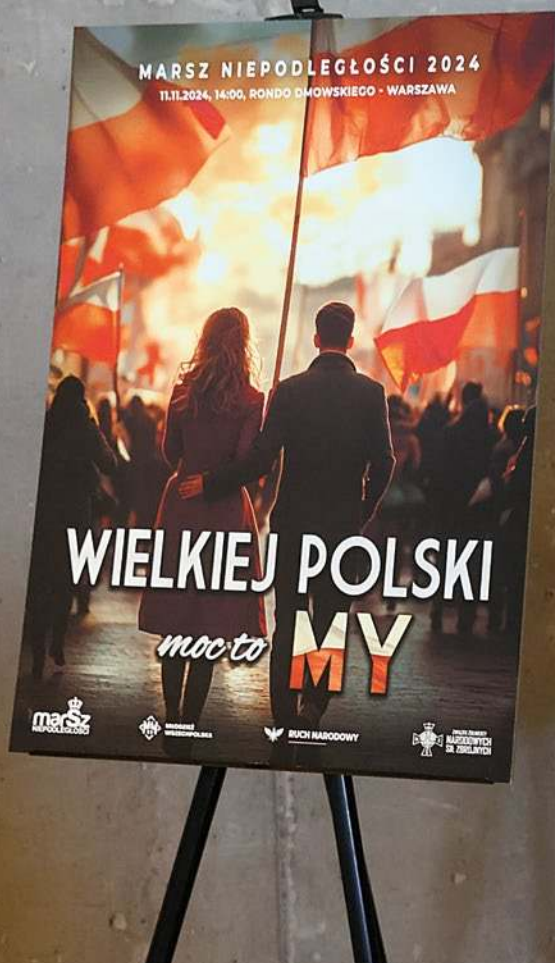
„Czyszczenie państwa po PiS”. Nie byłoby to możliwe, gdyby fotel szefa MS objął ktoś mniej zdecydowany i konsekwentny w owym „czyszczeniu” niż Adam Bodnar, a jednocześnie funkcjonujący w aurze „apartyjnego obrońcy praworządności”

i Karoliny Kucharskiej. Minister, który w przeszłości krytykował nadużywanie aresztu tymczasowego, w sprawie tych akurat osób nie reagował (całą trójkę, po wpłaceniu kaucji, wypuszczono z aresztu po siedmiu miesiącach). Struny obywatelskości w Bodnarze nie poruszyły też doniesienia o noszącym znamiona tortur traktowaniu osadzonych. Co więcej, jedną z urzędniczek prowadzono w trakcie czynności w kajdankach zespolonych – drobną, szczupłą kobietę. Również to nie wywołało reakcji ministra, choć przecież krytykował takie postępowanie wobec mężczyzny podejrzanego o zabójstwo dziecka. Skoro mowa o ślepotcie na łamanie praworządności przez „swoich”, to minister Bodnar nie protestował, gdy rozpoczęto siłowe

„czynnego żalu”. Jeśli złożą oświadczenie i powiedzą, że to był ich błąd życiowy, to dobrowolnie wracają do sądu, w którym wcześniej orzekali, ale w stosunku do nich nic więcej się nie dzieje, mogą od następnego dnia startować w nowych konkursach i ubiegać się o funkcjonowanie na nowych zasadach. W pewnym sensie uznajemy ich, że są rozgrzeszeni – mówił Adam Bodnar po spotkaniu z częścią środowiska prawniczego.

Ostatecznym dowodem na radykalizację ministra Bodnara jest powierzenie skrajnie upolitycznionej prokurator Ewie Wrzosek funkcji w resorcie – zostanie ona radcą ministra sprawiedliwości do spraw warunków służby prokuratorskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Bartoszek Malewskim, prezesem stowarzyszenia Marsz Niepodległości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Marsz Niepodległości jak Solidarność

Bartosz Malewski, prezes stowarzyszenia
Marsz Niepodległości FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

z obozu Rafała Trzaskowskiego, np. szefa MSW Tomasza Siemoniaka, który zajął w sprawie marszu zupełnie inne stanowisko niż prezydent Warszawy.

Trzaskowski co roku podejmuje próby zablokowania marszu, nie kryje się z tym. W przeszłości niejednokrotnie mówił, że tego typu marsz nie powinien mieć miejsca w Warszawie. Jednak zawsze te starcia przegrywa i w pewnym momencie musi skapitulować. Kwestia nie leży w tym, czy my jako organizatorzy ten marsz przeprowadzimy czy nie. Ludzie i tak się zbiorą 11 listopada na rondzie Dmowskiego i będą chcieli przejść przez Warszawę. Marsz Niepodległości jest marką samą w sobie. Wpisał się na trwałe w społeczno-polityczny pejzaż Polski. Dla wielu ludzi jest czymś oczywistym, że tego dnia manifestują w Warszawie swój patriotyzm pod biało-czerwonymi flagami.

W ubiegłym roku po wyborach parlamentarnych prezydent Warszawy deklarował, że nie może być tak, że Święto Niepodległości w stolicy było zagospodarowywane tylko przez narodowców. Trzaskowski wielokrotnie mówił o przemocy na ulicach, którą – według niego – generuje marsz. Spodziewacie się prowokacji ze strony władzy 11 listopada?

Odpowiadając tym wszystkim politykom i komentatorom, którzy oskarżają nas o przywłaszczenie Święta Niepodległości, zwrócę uwagę, że w istocie to my przywróciliśmy właściwą rangę temu świętu. 11 listopada ani w Warszawie, ani w innych miastach nie działo się nic szczególnego. Politycy najwyższego szczebla nie podejmowali żadnych inicjatyw, żeby godnie uczcić ten wyjątkowy dla Polaków dzień. Tak, można powiedzieć, że zagospodarowaliśmy Święto Niepodległości, ale z pożytkiem dla wszystkich. Wcześniej ani strona społeczna, ani politycy czy urzędnicy nie w tej sprawie nie robili, mimo że to oni posiadają instrumenty i zasoby, które pozwalają takie obchody organizować.

Wyjawszy rok 2018, kiedy w marszu uczestniczył prezydent...

Owczesnie rządzący obudzili się mocno spóźnieni, że oto mamy 100. rocznicę odzyskania niepodległości. Nie przygotowali ze swojej strony żadnego spektakularnego wydarzenia, które byłoby

kulminacją obchodów, i w ostatniej chwili podjęli rozmowy z nami. Dla Marszu Niepodległości to zawsze nobilitacja, kiedy uczestniczy w nim prezydent, tak jak miało to miejsce w 2018 r. Jednak ważne jest to, że marsz zachował społeczny charakter. To buduje jego autentyczność i uwiarygadnia go.

Wracając do pańskiego pytania o prowokację, do działań innych środowisk, których byśmy sobie podczas marszu nie życzyli, to oczywiście musimy być gotowi na ewentualność, że tak jak w poprzednich latach na marszu może pojawić się ktoś, kogo zamiarem jest zakłócenie godnego uczczenia Święta Niepodległości. Zauważamy jednak, że z roku na rok marsze są coraz spokojniejsze. Wyciągamy wnioski i staramy się coraz skuteczniej reagować na różne sytuacje, które mogą się pojawić. Liczymy się z tym, że i podczas tegorocznego marszu takie niepożądane przez nas incydenty mogą mieć miejsce.

**Rafał Trzaskowski
co roku podejmuje próby
zablokowania marszu.**

**Jednak zawsze te starcia
przegrywa i w pewnym
momencie musi skapitulować**

Pytając o prowokację podczas marszu, miałem na myśli także prowokacje ze strony policji czy służb, jak miało to miejsce w latach 2013 czy 2020.

Oczywiście pamiętamy o tych prowokacjach. W 2020 r. uczestnicy marszu padli ofiarą brutalnego, niesprowokowanego ataku policji na stacji metra Stadion Narodowy. Pamiętamy o strzelaniu do uczestników marszu z broni gładkolufowej w czasach poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej czy o podpaleniu budki strażniczej przed ambasadą Rosji.

Tegoroczny Marsz Niepodległości będzie pierwszym, który odbędzie się po przejęciu rządu przez koalicję premiera Tuska. Możemy się domyślać, jak będą reagować służby mundurowe. Na taką ewentualność też się przygotowujemy, ale mamy nadzieję, że rządzący wyciągnęli wnioski z wydarzeń sprzed lat. W moim przekonaniu agresja i prowokacje ze

RYSZARD GROMADZKI: Prezydent Warszawy zmienił decyzję w sprawie Marszu Niepodległości. Ostatecznie marsz przejdzie 11 listopada tradycyjną trasą z ronda Dmowskiego na błonia Stadionu Narodowego. To efekt społecznej presji czy raczej kalkulacji Rafała Trzaskowskiego związanych z jego domniemanym startem w przyszłorocznych wyborach prezydenckich?

BARTOSZ MALEWSKI: Nie wiem, co siedzi w głowie Rafała Trzaskowskiego, to wie tylko on sam. Na pewno presja ma sens. Oburzenie naszych sympatyków po odmowie zgody na marsz przez warszawski ratusz było bardzo widoczne w sieci i w tzw. komentarzach, czyli w mediach społecznościowych. Z pewnością nie było to bez znaczenia. Tak jak nie bez znaczenia były wypowiedzi polityków, także

strony władzy wobec uczestników Marszu Niepodległości, które miały miejsce w przeszłości, przyczyniły się do tego, że Platforma Obywatelska straciła władzę w 2015 r. Jeżeli ktoś zamierza podnieść rękę na Marsz Niepodległości, to może się znowu gorzko rozczarować.

Powiedział pan, że sukcesem Marszu Niepodległości jest to, że zachował swój społeczny charakter. Wiele wskazuje, że tegoroczna edycja marszu może przekształcić się w wielką manifestację sprzeciwu wobec rządów Donalda Tuska, świętowanie niepodległości zejdzie w tej sytuacji na dalszy plan.

Marsz Niepodległości nigdy nie był imprezą partyjną, chociaż był również wydarzeniem o charakterze politycznym, w którego trakcie przedstawiane były postulaty polityczne, zajmowane były stanowiska polityczne. Od tego organizatorzy marszu nigdy nie uciekali. W tym roku pewnie będzie też podobnie.

wręcz sabotujących działania państwa polskiego na polsko-białoruskiej granicy.

W czasie tegorocznego Marszu Niepodległości upomnimy się też o prawdziwą praworządność w Polsce, bo działania ministra Bodnara nie mają z praworządnością wiele wspólnego. Powody do krytyki obecnego rządu można by mnożyć. Choćby sprawa wspólnego polsko-niemieckiego podręcznika do historii, projektowanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, relatywizującego niemiecką odpowiedzialność i winę za zbrodnie popełnione w Polsce w okresie drugiej wojny światowej. A przecież to historia kształtuje narodową tożsamość i postawy obywatelskie. Na wszystkie te ważne sprawy znajdzie się miejsce w przekazie tegorocznego marszu.

Obserwując zmiany społeczne dokonujące się w Polsce, można odnieść wrażenie, że historia w coraz mniejszym stopniu kształtuje postawy

dzień w roku, kiedy w Warszawie dzieje się coś niezwykłego. Chociaż biorę udział w Marszu Niepodległości od ponad 10 lat – początkowo jako uczestnik, a później jako organizator – to zawsze zaskakuje mnie, że w jednym miejscu udaje się zgromadzić tylu ludzi pod wspólną biało-czerwoną flagą.

Rzeczywiście, Marsz Niepodległości nie ma precedensu w Europie. Ale czy nie jest to tylko jednorazowe wzmożenie, w trakcie którego można głośno pokrzyknąć: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, a później wrócić do swojej codzienności i godzić się na rzeczywistość, w której większość „mówi tefauenem”?

Nie pamiętam czasów komuny, ale znam historię. Wyobrażam sobie, że te uczucia, które mi towarzyszą podczas Marszu Niepodległości, i pewnie wielu innym uczestnikom, mogą być podobne do uczuć, które przeżywali ludzie z pokolenia Solidarności. Oni też łączyli się pod biało-czerwoną flagą i walczyli o wolność i o Polskę. Jeżeli można do czegośkolwiek porównywać Marsz Niepodległości, to właśnie do walki o Polskę wolną i suwerenną. Oczywiście Solidarność była wielką strukturą, archipelagiem wolności, a po wprowadzeniu stanu wojennego czymś w rodzaju kolejnego polskiego państwa podziemnego. Kiedy zwolennicy Solidarności wychodzili na ulice, myślę, że mogły towarzyszyć im podobne uczucia. Mogli się policzyć, przekonać się, że nie są sami, że stanowią wielką siłę.

Odpowiadając wprost na pańskie pytanie, myślę, że takie przesłanie można zadeedykować tym wszystkim uczestnikom Marszu Niepodległości, którzy mają poczucie izolacji w swoich środowiskach. Marsz Niepodległości jest m.in. po to, żebyśmy mogli rozejrzeć się wokół i przekonać, że podobnych do nas jest więcej. I że to nie jest tak, że swoje poglądy możemy głośno wypowiadać tylko w domu, jesteśmy w tym osamotnieni i w związku z tym skazani na bycie w defensywie, przytłoczeni tym, że górą w Polsce są siły, których nie popieramy. 11 listopada w Warszawie okazuje się, że jest nadzieja. Marsz Niepodległości jest taką nadzieją dla tych wszystkich, którzy być może powątpiewają, że mogą mieć wpływ na polską rzeczywistość.

© All rights reserved

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

Będziemy podnosić postulaty, które nie idą w parze z tym, co prezentuje obecny rząd. Myślę o potencjalnej zmianie traktatów unijnych czy przekazywaniu kompetencji polskiego państwa na rzecz organów unijnych, bo to zagraża wprost polskiej suwerenności

Zawsze mówimy o niepodległości i suwerenności. To najważniejsze wartości, które chcemy nieść na sztandarach. W warunkach cieplarnianych, które wciąż w Polsce mamy pomimo wojny toczącej się za naszą wschodnią granicą, łatwo jest zapomnieć, że niepodległość i suwerenność to wielkie wartości. Z perspektywy obywatela i narodu.

Czy to będzie manifestacja sprzeciwu wobec polityki rządu Tuska? Będziemy podnosić postulaty, które nie idą w parze z tym, co prezentuje obecny rząd. Myślę o potencjalnej zmianie traktatów unijnych czy przekazywaniu kompetencji polskiego państwa na rzecz organów unijnych, bo to zagraża wprost polskiej suwerenności. Będziemy akcentować konieczność obrony granic, pomimo że rząd Tuska zmienił retorykę w tym zakresie po dojściu do władzy, bo dobrze pamiętamy działania polityków obecnej koalicji, kiedy byli opozycją,

obywatelskie. Młodzi Polacy, tak jak ich rówieśnicy na Zachodzie, zdominowani są przez konsumpcjonizm i duchowy nihilizm. Niepodległość nie jest dla nich jakąś nadrzędną kategorią. Czy Marsz Niepodległości nie skostniał w ciągu tych 14 lat? Czy nadal jest w stanie inspirować do wartości, które dziś wydają się zapomniane?

Zgadzam się, że w wymiarze kulturowym przegrywamy, gdy idzie o postawienie na szali własnego życia czy zdrowia w obronie takich wartości jak ojczyzna czy niepodległość. Przegrywamy pod tym względem ze Wschodem, bo np. poczucie patriotyzmu i poświęcenia dla własnego kraju jest obecnie w Rosji wyższe niż u nas. Jestem przekonany, że Marsz Niepodległości podtrzymuje przywiązanie do ojczyzny i gotowość do pracy na rzecz Polski. Ale też do tego, mam nadzieję, że nie będzie to konieczne, żeby walczyć za Polskę z bronią w ręku, a jak trzeba, oddać za nią życie. Na pewno Marsz Niepodległości przyczynia się do wzmocnienia więzi z ojczyzną. To jedyny



Rafał A. Ziembkiewicz

Polacy opowiadają się w sondażach za UE, ponieważ uważają to za drogę do dobrobytu. Nie mają pojęcia, że obecna Unia przyniesie nam degradację. A czy PiS to rozumiał?

Nikt się raczej nie spodziewał, żeby formalne przyłączenie do PiS dotychczasowego koalicjanta w ramach Zjednoczonej Prawicy, Suwerennej Polski, wywołało jakieś żywsze reakcje. Dla przeciętnego aktywnego politycznie Polaka (o tych nieinteresujących się polityką w ogóle nie wspominając) był to żaden news – najwyżej powód do zdziwienia: Jak to? To oni dotąd nie byli w PiS? Ziobro, Jaki, Woś czy inni politycy Suwerennej postrzegani byli jako politycy „od Kaczyńskiego”, a nazwa Zjednoczona Prawica, jeśli zaistniała, to jako alternatywna nazwa partii prezesa. Próba wywołania wrażenia „konsolidacji sił patriotycznych”, podjęta na konwencji w Przysusze, od samego początku skazana była z tej racji na niepowodzenie.

Jednak w gronie węższym, polityków i ekspertów związanych z poprzednią władzą, połączenie czy – jak mówią wprost komentatorzy – wchłonięcie ziobrystów w partyjne struktury PiS wywołało pewien ferment. Jednym z jego przejawów był artykuł Konrada Szymańskiego – byłego ministra do spraw europejskich w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego – „Potęgowanie strachów”, zamieszczony w „Rzeczpospolitej” z 22 października. Głos wart zauważenia, ponieważ dotyczy w istocie kwestii, w której główna partia opozycyjna wypada najslabiej i bez jej rozstrzygnięcia nie ma co marzyć o odzyskaniu większości: sformułowania spójnej i wiarygodnej polityki wobec Unii Europejskiej.

ZIOBRYŚCI JAKO CAŁE ZŁO

Były minister stawia tezę, z którą nie sposób się zgodzić – choć zrozumiała w ustach polityka, który z sejmowej

mównicy zapewniał swego czasu, że udzielona przez jego rząd organom unijnym zgoda na blokowanie należnych krajom członkowskim funduszy w wypadku zastrzeżeń do „stanu praworządności” Polski nie dotknie, ponieważ obiecano nam, że będą one rozumiane tylko jako ochrona funduszy unijnych przed defraudacją. W cokolwiek karkołomnym wywodzie obstaje Szymański przy tezie, że zgoda na „warunkowość” była godziwą ceną za nad wyraz dla Polski hojny unijny budżet 2020 i że winę za zablokowanie wypłat ponoszą ci, którzy „eskalowali spór o praworządność”. Morawiecki więc „nie przegrał z UE, tylko z własnym koalicjantem”. Na tym nie kończy się zło wyrządzone przez „ziobrystów”: stworzyli oni „mitologię”, jakoby Polska mogła jednostronnie odejść od europejskich polityk, zwłaszcza od „polityki transforma-

To zaś, zdaniem byłego ministra, droga do trwałej marginalizacji, ponieważ, mówiąc już własnymi słowami, polskie społeczeństwo chce być w Unii Europejskiej za wszelką cenę i na polityków mówiących o „brukselskiej okupacji” nie zagłosuje, przeciwnie – antyeuropejskość je odstrasza, szczególnie najmłodsze pokolenie, i mobilizuje przeciwko tym, którzy zagrażają naszemu „byciu w Europie” (tej frazy, fundamentalnej dla propagandy PO, Szymański nie używa – to ja sięgam po nią celowo, ponieważ pasuje niestety do jego wyводу). Pisze Szymański, a redakcja „Rzeczpospolitej” wyróżnia te słowa graficznie jako „clou” jego wyводу: „Polsce potrzeba dziś jak najwięcej spójności ze światem Zachodu. Jeśli Prawica tej spójności nie będzie gwarantowała, to zostanie odrzucona przez własny naród”.

Euro-PiS?

Wchłonięcie ziobrystów w partyjne struktury PiS w gronie polityków wywołało pewien ferment

cji energetycznej”, oraz nasycili szerokie zaplecze rządu „chorobliwą nieufnością do Unii Europejskiej”. W ten sposób ziobryści przez osiem lat „destabilizowali rządy Zjednoczonej Prawicy”, w ten sposób spowodowali mobilizację zwykłego niegłosującego elektoratu przeciwko rządowi Zjednoczonej Prawicy i utratę władzy, a teraz włączenie ich w struktury PiS sprawić może, że zgubna, „antyeuropejska mitologia” Suwerennej Polski (antyeuropejskie „brednie”, które głoszą z „cynizmem znachora”, który „widząc tragedię i desperację poważnie chorego”, wciska mu nic niewarte „cudowne leki”) stanie się częścią tożsamości partii.

Nie piszę tego artykułu dla polemiki z byłym ministrem, tylko dla wskazania problemu – zasygnalizuję więc tylko podstawowe słabości jego argumentacji. Pisząc, że PiS utracił młode pokolenie wyborców z uwagi na swą „antyeuropejskość”, zdaje się Szymański w ogóle nie wiedzieć o tym, że utracił je głównie na rzecz Konfederacji, która antyunijne „brednie” głosiła ze znacznie większą mocą i konsekwencją niż Solidarna, a potem Suwerenna Polska. To prawda, że ostatecznie większość deklarujących w czerwcu-sierpniu ubiegłego roku poparcie dla partii Bosaka i Mentzena przerzuciła głosy na Trzecią Drogę, ale nie ma żadnych przesłanek, by twierdzić, że było to spowodowane prounijnością tej ostatniej. Przyczyną była raczej tromtadacja Konfederatów, którzy z poparciem oscylującym wokół 15 proc. zapowiadali, że „przewrócą stolik”, nie dopuszczą do rządzenia ani PiS, ani PO, z nikim nie wejdą w koalicję i jeśli uzyskają w przyszłym Sejmie znaczącą reprezentację,

■ to użyją jej do zablokowania jego prac i doprowadzenia do kolejnych wyborów. Praktyczny aspekt głosowania okazał się więc dla tej grupy wyborców ważniejszy niż kwestia „za czy przeciw” UE.

Pewnym nadużyciem – ale to zaznaczmy na marginesie wywodu – jest też przedstawianie „niezdolności do wykonania obowiązującego wyroku TSUE w sprawie postępowań dyscyplinarnych sędziów” jako skutku jakiegoś awanturnictwa „ziobrystów”. Każdy obserwator wie doskonale, kto narzucił „twardą” linię wobec „kasty” i TSUE i że Ziobro nie zostałby ministrem, a jego partia nie miałaby żadnych absolutnie wpływów w obozie władzy (bo niby skąd – samodzielnie nigdy nie przekraczała w sondażach progę wyborczego), gdyby nie to, że umieli się oni najlepiej wpisać w tym obszarze w oczekiwania komendanta. Można oczywiście zrozumieć, dlaczego autor cytowanych tu tez nie jest gotów napisać, że jeśli już Mateusz Morawiecki przegrał na froncie wewnętrznym, a nie w starciu z eurokratami, to nie „z własnym koalicjantem”, tylko „z własnym prezesem”, ale ten unik poważnie ujemuje siły jego argumentom.

UNIĘ TYLKO KOCHAĆ?

Skupmy się jednak na istocie sprawy. „Refleksja”, do której w swym tekście wzywa Szymański PiS (a mówiąc wprost: prezesa, stąd owo wspomniane wyżej zrzucanie odpowiedzialności za dotychczasowy kurs na „złych doradców”), jawi się mniej więcej tak, że nie mamy innego wyboru, niż podporządkować się zarządzeniom, a nawet kaprysom eurokracji, bo tego oczekuje polskie społeczeństwo, i jeśli prawica, ktokolwiek miałby ją tworzyć, będzie się temu oczekiwaniu przeciwstawiała, to ją społeczeństwo odrzuci. Jeśli się natomiast podporządkujemy, dając wyborcom pożądane przez nich „poczucie spójności z Zachodem”, to zyskamy pewne pole manewru, dzięki któremu to i owo uda nam się może wynegocjować. Może urwemy coś w kwestii gospodarki, a może nawet zyskamy możliwość odebrania znaczącej roli w procesie odbudowy zachodniej prawicy poprzez powrót do tradycyjnych wartości.

Konrad Szymański zapewne jest przekonany, że jego przestrogi dla PiS są głosem politycznego realizmu. Śpieszmy donieść (bo sądzą, że w tej kwestii

wszyscy w redakcji jesteśmy zgodni), że wręcz przeciwnie. Nie poświęcalibyśmy zresztą tyle miejsca jego wypowiedzi, gdybyśmy nie uważali sposobu myślenia, który zaprezentował były minister, za całkowicie odklejony od rzeczywistości i szkodliwy. Być może zamykanie się w przesadnie radykalnej retoryce antyeuropejskiej jest dla prawicy niebezpieczeństwem, ale chyba jeszcze większym jest postulowana przez Szymańskiego postawa uległości. Z wielu względów. Zaczniemy od polityki: taka „prawica”, której chce były minister, już przecież od dawna istnieje i nazywa się Platforma Obywatelska. To ona, wraz z sojusznicą lewicą, jest właścicielką odziedziczonej po nieboszczce Unii Demokratycznej narracji o konieczności i błogosławionych skutkach rozpląnięcia się we „wspólnocie europejskiej”, jak również o tym, że jeśli poddamy się temu procesowi ochoczo, to „coś” uda nam się wytargować. Prawica, która zaaprobowałaby ten punkt widzenia, abstrahując już od zdrady naszych narodowych interesów, żeby

w ogóle przetrwać, musiałaby wygrać z pomagdałkowym establishmentem w konkurencji, kto jest milej widziany na coraz bardziej tęczowych europejskich salonach i bardziej serdecznie tam poklepywany.

„Europejskość”, prounijność, jest bowiem od samego zarania III RP podstawą tożsamości lewicowo-liberalnej w jej polskim wydaniu. Swą długoletnią władzę obóz pomagdałkowy zawdzięczał nie tylko instytucjonalnej przewadze, którą zapewnił sobie w „umowie założycielskiej” zawartej przez komunistycznych generałów z wybranymi przez siebie i obsadzonymi w roli „strony społecznej” politykami „konstruktywnej” opozycji antypeerelowskiej, lecz także przejściu narracji, która po upadku komunizmu była powszechnym oczekiwaniem całego społeczeństwa: „Żeby było tak, jak na Zachodzie”. To „jak na Zachodzie” łatwiej było przez długie lata przeciętnemu Polakowi kojarzyć z brylującymi po europejskich salonach Geremkiem i Michnikiem czy z przyjmowanym tam





FOT. JANE BECK/ISTOCK

nie zjednoczeniem, a podbojem państw niemieckich przez Prusy, w których rolę Niemcy dziś wchodzą) niesie nam nie cywilizacyjny awans, ale degradację. Po to właśnie potrzebują polityków, aby ci to wiedzieli, potrafili objaśnić i sformułować program alternatywny. Nie po to, by pilnie przeglądali badania opinii publicznej i mówili ludziom dokładnie to, co ci chcą słyszeć, choć krótkoterminowo parę karier w taki sposób zbudowano.

Tam, gdzie zarządzana przez PiS Polska poróżniła się z Unią, jako stronę winną wskazuje Szymański nas. Transformacja energetyczna przyniosłaby nam korzyści, gdybyśmy bardziej gorliwie i szybciej ją realizowali. Spór o „praworządność” nie spowodowałby zablokowania Polsce funduszy, gdybyśmy się podporządkowali zarządzeniom TSUE. To przecież tezy kontrfaktyczne, zwłaszcza ta druga: „odblokowanie” KPO dla Tuska, bez wprowadzenia ani nawet zaproponowania przez niego jakichkolwiek zmian w kwestionowanych wcześniej obszarach pokazuje, że był tylko jeden „kamień milowy”: odsunięcie PiS od władzy. Dopóki to nie nastąpiło, dopóty każdy akt uległości ze strony premiera Morawieckiego i prezydenta Dudy skutkował jedynie postawieniem kolejnych, ostrzejszych warunków „uruchomienia funduszy”. Czyż nie tak było, na litość boską?

Polacy może i oczekują „spójności ze światem Zachodu”. Zapewne oczekują też spokoju od wschodniej granicy, przyjaznej świata, nieagresywnej Rosji, nieustającej gospodarczej prosperity i altruistycznych Niemiec, które będą kierować się chęcią zrekomensowania nam dawnych krzywd, a nie robieniem z Rosją i oligarchami ukraińskimi interesów ponad naszymi głowami i naszym kosztem. Ale rzeczywistość prędzej czy później dociera do najszerszych mas społeczeństwa, a zadaniem politycznych elit jest wyprzedzać ten moment i oferować rozwiązania, zanim obudzimy się wszyscy „po szkodzie”.

Unia Europejska jest czymś zupełnie innym niż w chwili, gdy Polacy głosowali za przystąpieniem do niej: tworem agresywnym, depcząym prawa narodów (z zasady uważanych przez eurokratów za zło, które trzeba na drodze postępu przemóc), kierującym się ideologicznym szaleństwem nie mniej oderwanym od

zdrowego rozsądku jak dawne rojenia sowieckie, na poziomie praktycznym opanowanym przez lobbystów wielkich światowych korporacji. Być może idea Wspólnoty Europejskiej jest jeszcze do ocalenia, a Unia do uratowania poprzez głębokie reformy, ale na razie staliśmy się w niej płatnikiem netto, a jej zideologizowane działania zamiast przysparzać nam oczekiwanego dobrobytu, wypychają nas ponownie w PRL-owską biedę i „księżycową ekonomię”. I to się w najbliższych latach na lepsze nie zmieni.

Unia Europejska jest czymś zupełnie innym niż w chwili, gdy Polacy głosowali za przystąpieniem do niej

Szansą opozycji jest znaleźć odpowiedź na te problemy i stworzyć zrozumiałą dla wyborców, wiarygodną opowieść, co poszło źle i jak to po zdobyciu władzy naprawimy. A nie zachowywać się tak, jakby wciąż był rok 2011, kiedy Tusk wygrywał niewypowiadaną na głos obietnicą, że nie będzie podskakiwał Niemcom ani Rosji, w nagrodę za co dostaniemy od Unii 300 mld.

Problemem PiS nie jest, że to, co głosiła Suwerenna Polska, wejdzie do narracji partii, w którą jej działacze zostali włączeni, ale to, że bez rozliczenia popełnionych błędów, bez przyznania, na jakich polach i jak dał się eurokratom ograć, bez jakiegokolwiek refleksji nad minionym ośmioleciem PiS pozostanie z tymi hasłami całkowicie niewiarygodny. A refleksji, jak z całą mocą zapowiedział Jarosław Kaczyński w Przysusze, ma nie być – zamiast niej mają wystarczyć „konsolidacja i aktywizacja”. To uporczywe wypieranie popełnionych w stosunku do Unii błędów jest znacznie większym niebezpieczeństwem niż wniesienie przez „ziobrystów” do partyjnego przekazu „antyeuropejskiej” mitologii. W tym sensie, jako wezwanie do myślenia nad problemem przyszłych stosunków z Brukselą i kierującym jej pracami Berlinem, głos Szymańskiego, choć całkowicie chybiony, może okazać się pożyteczny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

życzliwie Kwaśniewskim niż z wymachującą krzyżem i sztandarami dawnych powstań, zamkniętą w wizerunkowym „zaścianku” prawicą.

Ale jest przecież rok 2024. Już 19 lat temu sejmowa większość dla PiS, Samoobrony i LPR była sygnałem zmiany nastrojów, a rok 2015 pokazał całkowitą zmianę oczekiwań. Okazało się, że „tak, jak na Zachodzie” przeciętny Polak rozumie zupełnie inaczej niż establishment. Dla tego drugiego oznaczało to aborcję na życzenie, jednopłciowe małżeństwa i triumf ideologicznych pomysłów skrajnej lewicy – dla wyborców zaś po prostu dobrobyt.

CZEGO CHCĄ POLACY

I tu jest zasadniczy błąd w rozumowaniu Szymańskiego. Polacy opowiadają się w sondażach za UE, ponieważ uważają to za drogę do dobrobytu. Nie zdają sobie jeszcze w większości sprawy, że obecna UE, „pogłębiająca” integrację do stanu budowy federalnego państwa (dokładnie kopiującego proces „zjednoczenia” Niemiec w wieku XIX, w istocie będącego

Święta wojna na lewicy



Piotr Semka

Partia Razem rozpadła się z hukiem na dwie części. Secesjonistki nie zgodziły się na wyjście ugrupowania Adriana Zandberga z Klubu Lewicy i ogłosiły, że chcą trwać w koalicji rządowej. A Zandberg dumnie ogłasza, że od tej chwili staje się ostrym krytykiem gabinetu Donalda Tuska. Tyle że z pięciorgiem posłów w Sejmie może liczyć tylko na stworzenie koła poselskiego i niewiele więcej. Co mógł przegrać – właśnie przegrał. Mīt o Zandbergu jako przyszłości polskiej Lewicy, z uporem powtarzany od blisko dekady w pewnym kręgu obozu postępu, właśnie mocno przygasał



Magdalena Biejat i jej koleżanki okazały się szybsze. Kiedy tylko zorientowały się, że na zaplanowanym na 26 października kongresie partii Razem jej lider, Adrian Zandberg, ma ogłosić wyjście „razemkowców” z klubu Lewicy i przejście do opozycji wobec rządu – postanowiły wyprzedzić wydarzenie. W czwartek 24 października dwie senatorki Razem i trzy posłanki pod wodzą Magdaleny Biejat ogłosiły swoje trwanie w roli wiernego elementu Koalicji.

„Nie zgadzamy się na funkcjonowanie w roli recenzenta rzeczywistości, zamiast brać za nią odpowiedzialność” – ogłosiła Magdalena Biejat. W licznych wywiadach, których zaczęły udzielać mediom,

hasłem znakiem grupy secesjonistek z Razem było słowo „sprawczość”. Biejat wyjaśniała: „Partyjne szyldy są oczywiście w polityce ważne, ale koniec końców liczy się załatwianie spraw ważnych dla wyborców [...]. Wierzmy, że wcielimy w życie więcej prospołecznych, równościowych postulatów, współpracując z Nową Lewicą, która jest w rządzie, niż się od niej odcinając”.

ZANDBERG W PIGUŁCE

Decyzja grupy senatorek, posłanek i zwykłych aktywistek Razem wywołała wiele gorzkich uwag ze strony tych, którzy postanowili zostać u boku Adriana Zandberga. Wskazywano, że do kongresu partii byłyby raptem dwa dni i można było

oczekiwać, że panie znajdą w sobie tyle odwagi, by o swojej decyzji powiedzieć partyjnym kolegom w twarz. Jeden z twitterowiczów pytał: „Sprzedaliście się Tuszkowi, pytanie za co”. Z kolei sympatyk Razem Irek Kaczmarek ironizował: „Donald Tusk – lubi to :) Przystawki mu smakują”. Inny internauta o pseudonimie Zmok.pl pisał: „Wchłonięte przez Tuska za parę srebrników”. Dla odmiany Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, która jest ministrem w gabinecie Tuska, natychmiast pospieszyła z wyrazami poparcia: „Gratuluję odwagi, życzę siły i cieszę się na dalszą wspólną pracę”. Równie wylewna była inna minister Lewicy, Katarzyna Kotuła: „Powodzenia! To słuszna, choć pewnie niełatwa decyzja”.



Magdalena Biejat oraz
Adrian Zandberg

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Polski jest istnieniem grup, które są uprzywilejowane pod względem podatkowym.

W programie informacyjnym Polsat News mówił: „Nie można pozwalać, żeby utrzymanie państwa zrzucić tylko na ludzi, którzy płacą podatki od swojej pracy, a tym najbogatszym państwo daje taryfę ulgową [...]. Jak nie opodatkujemy korporacji i milionerów, to nigdy nie będziemy mieli porządných usług publicznych. To jest postawione na głowie, że pracownik płaci normalne podatki i składki, a bogaty biznesmen, ksiądz i rolnik jadą na gapę, są traktowani według taryfy ulgowej”.

Pokongresowa wypowiedź Zandberga potwierdzała wszystkie stereotypy na jego temat w pigułce. Pryncypializm społeczny, przekonanie, że ostre traktowanie milionerów to recepta na zdrowy budżet, i wreszcie przekonanie, że księża to bogacze, którzy unikają podatków.

DŁUGIE DZIEJE „DOBREGO ZAPOWIADANIA SIĘ”

Praprzodkiem partii Razem byli Młodzi Socjaliści, dość elitarna formacja grupy studentów, których trzon stanowiła trójka: Adrian Zandberg, Maciej Konieczny i Marcelina Zawisza. Było to środowisko elitarne, ale wywodziło się z niego wiele późniejszych postaci, o których dziś bywa głośno. Do środowiska tego należał np. Jakub Majmurek, który jest dzisiaj jednym z najbardziej rozpoznawalnych publicystów progresywnych.

Pomysł na partię Razem wynikał ze zniesmaczenia cynizmem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który w oczach młodych ideowców był formacją udającą lewicowość przy jednoczesnej cichej akceptacji ładu liberalnego w gospodarce. „Inna polityka jest możliwa” – pod tym hasłem w maju 2015 r. powstała partia, której liderem został Adrian Zandberg. Tyle że pięć miesięcy później były wybory do Sejmu. Lewica Razem była bardzo pewna siebie i założyła, że startując w pojedynkę, na pewno przekroczy próg 5 proc. Dlatego nie kwapiła się do jakichkolwiek rozmów z SLD o stworzeniu wspólnego lewicowego bloku wyborczego. Przekonaniu o swojej rewolucyjnej sile sprzyjała też – wydawałoby się, dość wysoka – liczba 6 tys. zarejestrowanych członków i sympatyków partii, którzy nie mieli ochoty pracować w kampanii na „stare repy” od Kwaśniewskiego.

Wyniki wyborów sejmowych w 2015 r. były dla Adriana Zandberga i jego kolegów niemiłą niespodzianką. Partia zdobyła 3,62 proc. głosów i zajęła odległe dziewiąte miejsce. Co więcej, natychmiast stała się chłopcem do bicia ze strony liberalno-lewicowych elit, które zaatakowały Razem za brak koalicji z SLD i pośrednie otwarcie drogi do zwycięstwa PiS i tym samym zdobycia władzy przez partię Jarosława Kaczyńskiego. Młodzi lewicowcy dostali jednak małeńki bonus od losu, gdyż uzyskując wynik powyżej 3 proc., mieli prawo do otrzymania ograniczonej, ale realnej subwencji z budżetu państwa.

Zandberg skwapliwie wykorzystał tę szansę i początkowo próbował wysunąć się na czoło obozu przeciwników rządów „dobrej zmiany”. Przez chwilę nawet „razemkowcy” zachwycili obóz antykapitalizmu pomysłowym protestem pod siedzibą rządu po odmowie przez rząd Beaty Szydło opublikowania w „Dzienniku Ustaw” wyroków Trybunału Konstytucyjnego. Młodzi aktywiści Razem wyświetlili wyrok rzutnikiem na ścianie siedziby rządu. Ale to był jedyny wypadek, gdy Razem zabłysnęło w walce z rządami PiS. Potem zepchnął ją na dalszy plan Komitet Obrony Demokracji pod wodzą Mateusza Kijowskiego, a jeszcze później Platforma Obywatelska z PSL i SLD.

Pokongresowa wypowiedź Zandberga potwierdzała wszystkie stereotypy na jego temat w pigułce

Pryncypializm socjalny Zandberga nie bardzo pasował do epoki, w której dominowały wzywania do równania szeregów w walce z przebrzydłym PiS. Także tzw. czarne protesty we wrześniu 2016 r. przeciw ewentualnym zmianom w prawie aborcyjnym stały się raczej domeną radykalnych feministek pod wodzą Marty Lempart, niż kojarzyły się z partią Adriana Zandberga.

Jednak prawdziwy cios nadszedł dla Razem 3 lutego 2019 r., kiedy to w warszawskiej hali Torwar Robert Biedroń ogłosił powstanie lewicowej partii Wiosna. Liderzy Razem podejrzewali,

Dwa dni później, 26 października, odbył się kongres partii Razem. Adrian Zandberg po odejściu przeciwniczek nie musiał już hamować języka. Oskarżył rząd Donalda Tuska o to, że zawiódł wyborców, którzy rok temu głosowali za zmianami w kraju. „Rząd przyniósł do parlamentu zły, antyspołeczny budżet [...]”. To nie jest budżet, który obiecywaliśmy”.

Zapowiedział, że posłowie Razem będą składać poprawki do budżetu, a jeśli nie zostaną one uwzględnione, to partia Razem zgłasza przeciw budżetowi.

Ale nie tylko krytyka ekipy Tuska była wyrazistym motywem licznych wywiadów, których po kongresie udzielał lider Razem. Krytykując cały system podatkowy, Zandberg ogłosił, że problemem

■ że nowa formacja to wymyślony według zasad marketingu „produkt polityczny”, ale z przyczyn poprawnościowych niezręcznie było im atakować pierwszą formację nawiązującą do Lewicy, na której czele stał zadeklarowany homoseksualista.

W ciągu paru miesięcy Wiosna przyciągnęła do siebie bardzo wielu młodych lewicowców, których miał ochotę zagospodarować ruch Zandberga. Akurat przed kolejnymi wyborami do Sejmu. W rezultacie Razem nie czuło się na tyle mocno, by po raz kolejny startować do Sejmu w pojedynkę i znów ryzykować łatkę rozbijaczy winnych niew wejścia Lewicy do parlamentu. W 2019 r. do wyborów Zandberg poszedł grzecznie w koalicji, w której główną rolę odgrywali Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń, pod nazwą Komitet Wyborczy Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Owoce tego kompromisu okazały się dla Razem dosyć gorzkie. Na 49 zdobytych mandatów przez komitet z partii Razem do Sejmu dostało się sześć osób: Magdalena Biejat, Daria Gosek-Popiołek, Maciej Konieczny, Paulina Matysiak, Adrian Zandberg i Marcelina Zawisza. Ten sam manewr powtórzono w 2023 r., kiedy Razem znów poszło grzecznie z SLD i Wiosną. Zandberg pocieszał się, że jest jednym z trzech lewicowych tenorów, ale zewnątrzni komentatorzy szybko zaczęli zauważać, iż Czarzasty i Biedroń doskonale się porozumieli, wyznając cwaniacki styl prowadzenia polityki, a Zandberg powoli ogrywany jest jako najbardziej gapowaty członek tego triumwiratu. I dlatego po wyborach lider Razem swoją irytację spychaniem go na margines odreagował nawrotem pryncypializmu ideowego.

W wyborach do Sejmu 2023 r. „razemkowcy” wprowadzili do zbiorczego klubu Lewicy również tylko sześciu posłów. Zandberg nie był zachwycony, ale nie chcąc do końca tracić korzyści z wygranej sił antypisowskich, zdecydował się na ogłoszenie taktyki łamańca. Razem ogłosiło, że nie wchodzi do rządu, ale warunkowo wspiera gabinet Tuska w głosowaniu o wotum zaufania. W tym czasie doszło do zderzenia się dwóch wizji. Magdalena Biejat doskonale dogadała się z przedstawicielkami lewicy w rządzie Agnieszką Dziemianowicz-Bąk, Katarzyną Kotulą oraz z Krzysztofem Gawkowskim, a ciągle

Czarzasty i Biedroń doskonale się porozumieli, wyznając cwaniacki styl prowadzenia polityki

narzekania Zandberga na to, że rząd nie jest dostatecznie socjalny, traktowano z coraz większą irytacją. Jednocześnie Zandberg z trudną do wyjaśnienia zajądłością zaczął zwalczać inną postankę Razem, Paulinę Matysiak, za sam fakt wymieniania opinii z posłem PiS Marcinem Horałą w sprawie obrony idei Centralnego Portu Komunikacyjnego.

W sytuacji, gdy grupa Magdaleny Biejat dowiedziała się o zamiarze Zandberga zakończenia wspierania rządu Tuska, zgromadzone wokół niej działaczki i parlamentarzystki Razem ogłosiły huczne wyjście z partii. W ten symboliczny sposób zakończyła się dekada, w której trakcie wielu działaczy Lewicy oczekiwało, że Adrian Zandberg stanie się liderem ugrupowania, które stworzy nową jakość na Lewicy. Brodaty lider o wyglądzie melancholijnego drwala zraził do siebie, jak tylko mógł, ludzi Czarzastego i Biedronia, a jednocześnie nie potrafił nawiązać żadnych relacji z PiS. Co więcej, w ostatnich latach wykazywał często lewackie zacietrzewienie ideowe, np. prowadząc kampanię na rzecz likwidacji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych jako święta „morderców i bandytów”. Jak się walczy ze wszystkim – łatwo zostać samemu.

WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ

Nieprzypadkowo jednym z polityków, którzy w najbardziej entuzjastyczny sposób gratulowali Magdalenie Biejat opuszczenia partii Razem, był europarlamentarzysta Łukasz Kohut. Ten był członkiem partii Palikota, który związał się potem z partią Wiosna, by dojść do obozu Lewicy, odszedł, trzaskając drzwiami, ze swego obozu, gdy nie dostał wymarzonego miejsca numer jeden na śląskiej liście Lewicy. Poszedł do Platformy, która wpisała go na wysoką pozycję na swej liście, i dostał się do Brukseli. Teraz nie kryje, że będzie lansował ślązakowską agendę dzięki sile delegacji Koalicji Obywatelskiej w Parlamencie Europejskim.

Ten przykład mógł zainspirować Biejat i jej koleżanki. Mogły uznać, że lepiej wprowadzać choć częściowo lewicową agendę w życie dzięki sprawczości rządu Tuska, niż trwać w dumnej izolacji wokół Zandberga. Nieprzypadkowa niedawna rozmowa z socjologiem Przemysławem Sadurą i Sławomirem Sierakowskim na portalu lewicowej Krytyki Politycznej nosiła tytuł: „Lewica mówi dziś to, co za trzy lata zrealizuje Koalicja Obywatelska”.

Wiele lewicowców jest zdania, że ich formacja powinna pokornie znosić rozmaite taktyczne zygzyki Donalda Tuska i nierealizowanie przez koalicję tak atrakcyjnych dla siebie celów, jak laicyzowanie polskiej szkoły, wprowadzanie oświaty seksualnej do szkół czy uzyskania rządu dusz nad instytucjami kultury. W zamian lewicowe „ministry” i ich nowe koleżanki z Razem pod wodzą Magdaleny Biejat muszą zmusić się do tego, by tylko pod nosem sarknąć, np. na antyimigrancką retorykę Donalda Tuska. I wreszcie przyjąć do wiadomości, że to gdański liberał decyduje, co z agendy lewicy zaakceptować, a co odrzucić. Poza wszystkim po stronie Magdaleny Biejat jest normalny dla każdego środowiska politycznego pęd do stanowisk, wpływu na rozdział rozmaitych dotacji i lewicowe apetyty na progresywne plany „willa plus”. A Zandberg to znany już do znudzenia klub lewicowych Katońów wiecznie rozdarty między swym pryncypializmem a chęcią uzyskania jakiegokolwiek choć wpływu na politykę. „Razemowcy”, którzy pozostali w partii po secesji grupy koleżanek, lansują teraz nowy sens swojego istnienia. Głoszą, że są strategiczną rezerwą polskiej demokracji. Powtarzają z namaszczeniem, że skoro narasta niezadowolenie z rządów Tuska, to oni muszą tworzyć lewicową alternatywę dla linii obecnego rządu, gdyż inaczej przy najbliższych wyborach władzę uzyskają PiS do spółki z Konfederacją. Ale jak to często bywało w wypadku politycznego stylu Razem, nie potrafią powstrzymać się od skrajnego języka i właśnie oskarżają rząd Tuska o „faszystowską retorykę w sprawie uchodźców”. Spory na Lewicy mało jednak kogo poza nią samą obchodzą. Jak to kąśliwie sformułowała jedna z publicystek spod znaku symetryzmu: Lewica może się dzielić lub nie. Nie ma to znaczenia, bo i tak nie widać większego liczebnie lewicowego elektoratu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Odnaleziona owca głośno beczy



Dariusz
Wieronieczny

Dlaczego Jacek Dehnel wrócił do kraju?

Pozornie błahe wydarzenie skupiło na sobie ostatnio wyteżoną uwagę polskich dziennikarzy. Do Polski, po kilkuletnim pobycie w Berlinie, zdecydował się wrócić skandalizujący pisarz Jacek Dehnel. Zamieścił przy tej okazji kilka obszernych wpisów w mediach społecznościowych oraz udzielił wywiadu tygodnikowi „Newsweek”. Wywiad ten, cytowany obficie przez polskie i międzynarodowe media, na portalach społecznościowych rozpętał gorące dyskusje. Od czasu przyjazdu do Warszawy komendanta Józefa Piłsudskiego, wypuszczonego z więzienia w Magdeburgu, niewiele powrotów z Niemiec wywołało tak żywe zainteresowanie rodaków.

Gdzie leżą przyczyny tego zjawiska? Jacek Dehnel jest nie tylko pisarzem i poetą. W roku 2023 rozpoczął karierę polityczną, uczestnicząc w wyborach do Sejmu jako kandydat warszawskiej Nowej Lewicy. Startował z ostatniego miejsca na liście, mandatu nie uzyskał. Usytuowanie Jacka Dehnela na styku światów polityki i poezji stanowić może wytłumaczenie otaczających go kontrowersji. Język artysty jest przecież z gruntu odmienny od stylistyki dyskursu politycznego. Dotknął tego zjawiska Rainer Maria Rilke: „O, stare przekleństwo

poetów, którzy się skarżą, gdy mówić powinni, co osądzają zawsze swe uczucie, miast je oblekać w kształt [...]. Tak jak chorzy gadają pełnym lamentu językiem, aby opisać wszystko, co ich boli”.

„PRUSKIE CHAMSTWO” I MOBBING

Wywiad, którego udzielił „Newsweekowi” Jacek Dehnel, wydać się może właśnie tak nienawistną Rilkemu, pełną lamentu skargą. Na język politycznego dyskursu musimy go dopiero przełożyć. Niemcy są, zdaniem pisarza, „krajem upadłym”, którego gospodarka „leci na oparach”. „Zapóźnienie cyfrowe jest koszmarnie”, „głupi przelew idzie kilka dni”, „automaty się zacinają”, „infrastruktura się sypie”. Są to, rzecz jasna, diagnozy w skali „mikro”, poeta opisuje jedynie, „co go boli”.

Nie sposób jednak nie dostrzec, że jeśli refleksje Jacka Dehnela podniesiemy do rangi diagnoz ogólnych, staną się one bliskie sądom wypowiedzianym przez Mateusza Morawieckiego lub prof. Grzegorza Kucharczuka. Podobnie jak prof. Kucharczyk Dehnel nie bierze jeńców. Ludzie pracujący w usługach są w Niemczech „często niemili, bez względu na to, w jakim języku się mówi”. „Nie wiem, być może jest to tradycyjne pruskie chamstwo”. Chamstwo to skutkować ma w Niemczech „zachowaniami jak z filmów Barei, które w Polsce właściwie wymarły”. W retoryce warszawskich salonów artystycznych „chamstwo jak z Barei” przypisać można było rodzimym „populistom” – nigdy jednak Niemcom,

nosicielom „kultury wyższej” i „europejskich wartości”. Dehnel jest przeciwnego zdania. Trudno o bardziej dosadne potwierdzenie skoku cywilizacyjnego, który dokonał się w Polsce na przestrzeni ostatnich lat.

„Tradycyjne pruskie chamstwo” nie było w Berlinie najgorszym z utrapień pisarza. Miejsce to zajęły „systemowy mobbing ze strony państwa” i stała, doświadczana „kilka razy dziennie” „mikroagresja”, polegająca na „ciągłym użeraniu się z pasywno-agresywnymi” ludźmi. Systemowy mobbing wyrażał się w rozróżnionej, wrogiej i niewydolnej biurokracji. „Cały czas jesteśmy w stanie jakiegoś sporu urzędowego, z reguły wywołanego tym, że biurokracja czegoś nie uznaje, bo albo nie przeczytała dokładnie, albo zgubiła jakieś pismo, albo go nie wysłała”. Wystarczy przypomnieć sobie po wielokroć opisywane przez premiera Mateusza Morawieckiego „jedno e-okienko”, w którym przy pomocy aplikacji mObywatel załatwić będzie można „większość spraw urzędowych”. Powracający z Berlina Jacek Dehnel nie nawiązuje wprawdzie otwarcie do firmowanej przez Mateusza Morawieckiego „cyfrowej rewolucji w administracji rządu PiS”, dla nieuprzedzonego czytelnika sprawa jest jednak oczywista.

NIEMIECKA DUSZA

Równie zaskakujące są konstatacje poety dotyczące stanu duszy niemieckiej. Dehnel podkreśla szkody, które uczynił Niemcom brak denazyfikacji i dekomunizacji. „W tym kraju obie strony

mogą się różnych rzeczy wstydzic [...]”. Jedni mieli Stasi, drudzy otwarcie chronili zbrodniarzy wojennych. Mówię o tym, bo mam wrażenie, że część tej pogardy dla wszystkiego, co dalej na wschód, wynika z odgrywania się Ossy, szukania kogoś »gorszego«. „Antypolonizm” niemieckich elit potrafi zilustrować Jacek Dehnel sugestywnymi przykładami zaczerpniętymi z codzienności. „Zdarza się, że ludzie, słysząc polszczyznę, robią jakieś dziwne miny, okazują demonstracyjnie wstręt, zdarzyło się nam to kilkakrotnie, i zawsze byli to nobliwi starsi państwo”. Czyż nie są to obrazy zapożyczone z retorycznego instrumentarium posła Arkadiusza Mularczyka? Trudno uwierzyć, że obaj znawcy Niemiec nie konsultowali ich uprzednio ze sobą.

Wielka szkoda, że powrót pisarza do Polski miał miejsce dopiero teraz, gdy karty w wyścigu prezydenckim są już na prawicy rozdane. Czy za kolejnych pięć lat nie będzie znowu potrzebny ktoś „młody, wysoki, okazały, przystojny”, a przy tym „obyty międzynarodowo”? Wypada trzymać kciuki za dalszą ewolucję poglądów Jacka Dehnela, która prowadzi go nieomylnie na łono Zjednoczonej Prawicy. Wielu polityków PiS zwykło podkreślać w wywiadach, że poza „Autorytetem Politycznym” boją się wyłącznie własnych żon. Prawicowi wyborcy czekają zapewne na kogoś, kto, choćby dla odmiany, wzywać zacznie żony do okazywania respektu przed mężem. Czy oczekiwanie to spełni kiedyś, niespodziewanie, Jacek Dehnel? ©©

Zmagania z inteligencją



Radosław Wojtas

Najpierw zrezygnowano ze współpracy z ludźmi, potem na radiową antenę działającą przy Radiu Kraków wprowadzono wytwory sztucznej inteligencji, a wszystko to nazwano eksperymentem. Na koniec odrąbiono sukces. Tłumaczono, że nikt pracy nie stracił, bo odsunięci prowadzący nie mieli etatów. Czy to rzeczywiście eksperyment, a jeśli nawet, to czy publiczne media są właściwym poligonem dla takich testów?

Dostali imiona, nazwiska, pseudonimy, zainteresowania, krótkie życiorysy i czas antenowy w Polskim Radiu. Nigdy nie istnieli. Radio Kraków SA w likwidacji pochwaliło się, że OFF Radio Kraków, kanał działający przy ich głównej antenie, to „pierwsze radio niemal w całości tworzone przez sztuczną inteligencję”. Dokładniej – przez trzy awatary AI. Emilia „Emi” Nowak opisywana jest jako 20-letnia studentka dziennikarstwa, ekspertka od popkultury, Jakub „Kuba” Zieliński jako 22-letni student inżynierii akustycznej na AGH, specjalista od technologii i muzyki, a Alex jako 23-letni zaangażowany społecznie student psychologii z pasją poruszający tematy związane z tożsamością, kulturą queer i wpływem mediów na społeczeństwo. Spiritus movens tego pomysłu, likwidator Radia Kraków Marcin Pulit, nazwał ich „modelowymi przedstawicielami tzw. pokolenia Z”.

Eksperyment – jak określa całe to przedsięwzięcie Marcin Pulit, czy też szukanie oszczędności i zastępowanie

ludzi sztuczną inteligencją, jak widzą to chyba wszyscy poza nim – miał trwać nie dłużej niż trzy miesiące i wówczas miał zostać poddany ocenie. Projekt zakończył się już po tygodniu. Oczywiście pełnym sukcesem. „Zależało nam na wywołaniu merytorycznej dyskusji na temat szans i zagrożeń związanych z rozwojem sztucznej inteligencji. Ten cel został osiągnięty” – ogłosił Marcin Pulit. Warto zauważyć tu jednak znacznie więcej osiągnięć. Oto bowiem stacja o mikroskopijnej słuchalności zyskała rozgłos, likwidatorzy z Polskiego Radia nauczylili nas, że współpracownik to nie pracownik, więc rezygnacja z niego to w zasadzie żadna sprawa, Polska znalazła się w światowej awangardzie krajów, w których publiczne media generują wątpliwe etycznie i prawnie wywiady z nieżyjącymi ludźmi, a osoby z różnych środowisk (w tym przełożeni Marcina Pulita) choć w tej jednej sprawie przemówili jednym głosem.

WSPÓŁPRACOWNIK TO FAJNA RZECZ

OFF Radio Kraków to program nadawany cyfrowo w systemie DAB+ oraz w Internecie. Uruchomiono go na początku 2015 r. przy lokalnej rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie. Regionalna stacja, adresowana do młodego odbiorcy, zajmowała się kulturą i muzyką niezależną. Na antenie przeważała muzyka, słowa było niewiele w kilku autorskich audycjach. Niewielka była także słuchalność stacji. Wirtualne Media podają, że w sieci regularnie słuchało jej 20–40 osób.

Nic dziwnego, że postanowiono coś z tym zrobić. Dziwić może kierunek dokonanych zmian oraz sposób ich komunikowania. Zaczęło się od rezygnacji z końcem sierpnia ze współpracy z autorami audycji w OFF Radio Kraków. Informacja ta przeszła w zasadzie bez echa, ale już kolejny krok był wejściem na pole minowe. 21 października poinformowano, że OFF Radio Kraków od wtorku 22 października będzie współtworzone przez „dziennikarzy” stwo-

rzonych przez sztuczną inteligencję. „Na antenie słyszymy, wykreowane przy użyciu narzędzi AI, głosy trojga prowadzących – modelowych przedstawicieli tzw. pokolenia Z. Charakterystyki tych postaci stworzyli dziennikarze” – zakomunikował Marcin Pulit. „Na początek każda z wirtualnych postaci prowadzi od poniedziałku do piątku po dwie godziny programu dziennie, a raz w tygodniu »autorską« audycję muzyczną. Planujemy też tworzenie przy użyciu tych narzędzi wywiadów z postaciami polskiej i światowej kultury, naukowcami, działaczami” – dodał. Projekt nazwano eksperymentem, który miał być udziałem radia „w debacie na temat szans i zagrożeń, jakie niesie ze sobą rozwój sztucznej inteligencji. Chcemy zastanowić się, jakie skutki może nieść ze sobą rozwój sztucznej inteligencji dla kultury, mediów, dziennikarstwa, społeczeństwa”.

Jeden z odsuniętych ze współpracy dziennikarzy – Mateusz Demski – zauważył na Facebooku: „Ten irracjonalny pomysł narodził się (i został wcielony w życie) w mediach publicznych – miejscu, które w sposób szczególny powinno wyznaczać standardy oraz stać na straży wiarygodności, rzetelności i autentyczności. Media publiczne, według statutu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, powinny zapewniać pluralizm, bezstronność, wyważenie i niezależność przekazu oraz wysoką jakość i integralność – wiarygodność treści [...]. Decyzję o zautomatyzowaniu naszej profesji podjął Marcin Pulit, powołany na likwidatora Radia Kraków, który mianował się redaktorem naczelnym (naczelnikiem?) OFF Radia Kraków [...]. W żadnym miejscu nie wspomniał (uważajcie na typa), że kilkanaście osób chwilę wcześniej straciło pracę”.

Wybuchł pożar, który szefostwo Radia Kraków zaczęło gasić benzyną. Odnosząc się do informacji o zwolnieniach, Marcin Pulit napisał, że żadnych zwolnień nie było, ponieważ radio rozstało się tylko ze współpracownikami. „Programy te, po jednym w tygodniu, prowadzili głównie zewnątrzni współpracownicy i to z nimi

(z końcem sierpnia 2024 r.) rozwiązane zostały umowy o współpracę” – oświadczył likwidator. Na te słowa w materiale Radia Famka zareagował jeden ze zwolnionych prowadzących: „Marcin Pulit, wypowiadając takie słowa, mówi wprost: my nie jesteśmy pracownikami, my jesteśmy kimś, kto w każdej chwili może zniknąć, o kim możemy zapomnieć i kogo możemy zastąpić kimkolwiek lub czymkolwiek. Te słowa są superbulwersujące”.

Narracja na temat powodu zmian w OFF Radio była dość płynna. Komunikaty na stronie Radia Kraków były edytowane po ich opublikowaniu, raz pisało o eksperymencie, raz o projekcie, jeszcze innym razem Marcin Pulit podnosił kwestie finansowe. W jednym z komentarzy w dyskusji na Facebooku napisał: „Wygaszanie obecnej formuły nie odbywa się z dnia na dzień, lecz od paru miesięcy. Powód: nieprzekazywanie przez KRRiT należnych Radiu Kraków pieniędzy abonamentowych, z których w 100 proc. utrzymane jest OFF Radio Kraków. Od początku roku Radio nie otrzymało ani złotówki. Drugi powód: bardzo niezadowolający zasięg OFF Radia Kraków [...]”. Do tego argumentu odniosła się Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji: „Zmyślony pretekst braku środków z abonamentu. Likwidator Radia Kraków planuje zastąpić dziennikarzy postaciami wygenerowanymi przez AI? Prawda jest taka, że środki abonamentowe są obecnie przekazywane, a Radio Kraków Off posiada dwa źródła finansowania: przychody z opłat abonamentowych (mniej niż połowa kosztów) oraz przychody własne spółki (z obrotu prawami do audycji; z przekazów handlowych oraz z innych źródeł)” – napisano w oświadczeniu.

POGAWĘDKA Z SZYMBORSKĄ

Losy eksperymentu zostały przesądzone, zanim się zdążył rozkręcić. Jak się zdaje, stało się to już pierwszego dnia tego projektu, gdy likwidator Polskiego Radia Paweł Majcher napisał w mediach społecznościowych: „Radio to emocje, charyzma, osobowość i profesjonalizm dziennikarek



i dziennikarzy. Tego AI nie wygeneruje. Przyszłość zdrowych, godnych zaufania mediów, zarówno publicznych, jak i prywatnych, zależy od ludzkiej, a nie sztucznej inteligencji”.

Zanim jednak ogłoszono jego zakończenie, „dziennikarze” AI zdążyli wyprodukować kilka materiałów. Jednym z nich był „wywiad” nieistniejącej prezenterki Emili Nowak z nieżyjącą Wisławą Szymborską. Sztuczna inteligencja, głosem ludzko przypominającym głos Szymborskiej, mówiła m.in. o Han Kang, tegorocznej laureatce Literackiej Nagrody Nobla, o swoim zamiłowaniu do twórczości Harukiego Murakamiego i o prozie Olgi Tokarczuk. – Myślę, że Olga Tokarczuk to świetna laureatka, mimo że jej książki są zupełnie inne niż moje wiersze. Ale cenię ją za to, że odważnie pisze o świecie i ludzkiej kondycji. Co więcej – jej książki doceniają na całym świecie! [...] Moim skromnym zdaniem „Empuzjon”, to arcydzieło – powiedziała AI głosem Szymborskiej.

Radio podkreśla, że rozmowę „opublikowano za zgodą Michała Rusinka, prezesa Fundacji im. Wisławy Szymborskiej”, jednak wiele osób ma wątpliwości, czy aby na pewno taka zgoda załatwia wszystkie dylematy natury moralnej i prawnej. – Człowiek, słysząc rozpoznawalny głos, jest skłonny nadać słowom inne znaczenie i trudno mu oderwać te treści od określonej osoby. To powiązanie powinno być zawsze chronione przed nadużyciami, skoro osoba zmarła nie może już sama podjąć obrony swoich interesów – powiedział PAP prawnik dr Michał Markiewicz.

Na stronie internetowej radia zaczęły pojawiać się artykuły generowane przez AI. Są co prawda opatrzone informacją, że nie napisał ich człowiek, jednak już

ich treść sprawia zupełnie inne wrażenie. Teksty utrzymane są w osobistym tonie, a nieistniejący „dziennikarze” przytaczają wypowiedzi nieistniejących osób. Oto fragment artykułu Emi Nowak „Czy pokolenie Z planuje tradycyjne życie rodzinne?": „Jednym z kluczowych argumentów, który często pada w rozmowach z moimi znajomymi, jest przekonanie, że współczesny świat nie sprzyja stabilizacji. Pogoń za karierą, edukacją, samorozwo-

jem i wolnością jest dla nas priorytetem. A dzieci? To ogromna odpowiedzialność i poświęcenie. »Dlaczego miałabym rezygnować z podróży, odkrywania siebie i spełniania marzeń, żeby zmieniać pieluchy?« – pyta Julia, jedna z moich koleżanek z uniwersytetu, kiedy dyskutujemy na ten temat. Dla niej i wielu innych osób posiadanie dzieci to wybór, który nie wpisuje się w ich wizję życia”.

OPERACJA SIĘ UDAŁA, PACJENT ZMARŁ

Radio Kraków zapowiadało, że eksperyment potrwa maksymalnie trzy miesiące, po czym przyjdzie czas na podsumowanie. Stało się to już po tygodniu. 28 października na stronie OFF Radia Kraków pojawiło się kolejne oświadczenie Marcina Pulita pt. „Czego dowiedzieliśmy się o AI i nas samych – podsumowanie eksperymentu OFF Radia Kraków”, które donosi, że eksperyment okazał się tak wielkim sukcesem, że trzymiesięczne założenia zrealizowano w tygodniu. „Zakładaliśmy, że ten projekt potrwa maksymalnie trzy miesiące. Jednak już po tygodniu zebraliśmy tak wiele obserwacji, opinii, wniosków, że uznaliśmy, iż jego kontynuacja jest bezcelowa – napisał Pulit. – Zależało nam na wywołaniu merytorycznej dyskusji na temat szans i zagrożeń związanych z rozwojem sztucznej inteligencji. Ten cel został osiągnięty [...]”. Nasz eksperyment pokazał, jak wiele kwestii wymaga regulacji, a nasze radiowe doświadczenia mogą zostać wykorzystane podczas prac nad ustawą”.

Sztuczna inteligencja być może pospieszyłaby z gratulacjami. Ta prawdziwa, ludzka, wciąż pozostaje na niedoścignionym poziomie.



Z dr. Karolem Dudkiem-Różyckim, przewodniczącym Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych
rozmawia Łukasz Zboralski

Przyroda w szkole ma być frajdą

ŁUKASZ ZBORALSKI: Wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer dała do zrozumienia, że w przyszłym roku szkoły czeka reforma. Czy jesteście jako nauczyciele zaskoczeni tym, że biologia, chemia i geografia – przedmioty nauczane dziś od klasy V szkoły podstawowej – mają zlać się w jeden blok „przyrody”?

DR KAROL DUDEK-RÓŻYCKI: Przede wszystkim nie mamy żadnej decyzji. Jest mowa o różnych opcjach. Pani minister Lubnauer mówiła o tym, że być może przyroda będzie do klasy VIII, że może powrócić też w takiej formie, jak była, czyli do klasy VI.

Jeżeliby taka forma była – czyli przyroda nauczana do klasy VI szkoły podstawowej – a z taką inicjatywą jako Polskie Stowarzyszenie Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych sami występowaliśmy, no to wtedy wchłonęłyby właściwie tylko biologię i geografę, dlatego że chemia i fizyka jako odseparowane przedmioty pojawiają się dopiero w klasach VII i VIII. I ta wizja nauczania byłaby najlepsza.

Dlaczego byłoby lepiej, żeby aż do VI klasy były to zblokowane przedmioty?

Pan używa słowa „aż”; ja bym powiedział, że tylko do VI. Dlatego byłoby lepiej, że to są przedmioty ze sobą powiązane. Zwłaszcza na tak wczesnym etapie rozwoju nie możemy mówić o żadnej specjalizacji czy odrębności tych poszczególnych dziedzin.

My zakładaliśmy – i taką propozycję złożyliśmy na ręce minister Lubnauer – żeby przyroda w klasach IV–VI była w wymiarze czterech godzin tygodniowo i to takich połączonych, jednego dnia. Bo to powinien być przedmiot tylko i wyłącznie eksperymentalny, także z zajęciami na zewnątrz budynku. Uczniowie powinni rozwijać umiejętności rozumowania naukowego. Tu nie chodzi o zdobywanie jakiejś specjalistycznej wiedzy, tylko o to, żeby nie zabić naturalnej ciekawości świata u dziecka oraz żeby dzieci eksperymentowały, wykonywały proste doświadczenia pozwalające im lepiej zrozumieć świat.

A dziś uczymy tak, że dzieci nie rozumieją?

Obecnie mamy taką sytuację, że może i uczeń w klasie VIII będzie umiał powiedzieć, co to jest proces fotosyntezy, ale jak już go pan zapyta, jakie mamy drzewa

FOT. ARCHIWUM KAROLA DUDEKA-RÓŻYCKIEGO

iglaste w Polsce, to tego nie będzie wiedział. Więc żeby takiego kuriozum nie było, taki przedmiot jak przyroda na pewno jest potrzebny.

Ja zawsze się cieszę, jak współczesna edukacja odkrywa to, co mój dziadek, dyrektor wiejskiej szkoły, robił w latach 60. – czyli brał dzieci na łąkę, by uczyć przyrody. Tylko jak zrobić te doświadczenia w szkole z tysiącem uczniów, w klasie z 26 dziećmi, z których ośmiornio ma orzeczenia i specjalne dostosowania? Jakoś tego wychodzenia do lasu nie widzę...

Ja uważam, że jest to realne, jeśli tylko zaczniemy to robić od odpowiedniej strony. Niezależnie od sympatii politycznych – przecież jeśli jacyś politycy dostrzegają możliwość przejścia władzy, to nie pojmuję, jak mogą ją przejąć nieprzygotowani. Trzeba było już mieć jakiś pomysł, wstępnie chociaż skonsultowany, a nie zabierać się do wszystkiego od początku.

Ale niszczenie edukacji jest, niestety, domeną każdego rządu od dawna. Nie mamy właściwie już żadnego poziomu kształcenia nauczycieli w naszym kraju. Jak pan jest polonistą, to może pan skończyć studia on-line i od przyszłego roku uczyć chemii i fizyki. Trzeba przyznać, że właściwie to pudrowimy trupa.

Natomiast, skoro pan wspominał o liczbie uczniów w klasach, to raczej w przeciętnej polskiej szkole – patrząc na dane statystyczne GUS – średnio mamy w klasie 18 uczniów. Nie tak dużo.

Mówi pan o słabym wykształceniu nauczycieli, a jednocześnie ma pan w sobie tak dużo optymizmu, że można ufać, iż z nauczaniem zablokowanej przyrody sobie poradzą.

Jeśli myślał pan, że teraz powiem, iż to jednak niedobry pomysł, to tak nie powiem. Trzeba po prostu dobrze napisać podstawę programową tego przedmiotu, żeby to nie była kolejna kalka z podstawy programowej Związku Sowieckiego i potem Federacji Rosyjskiej, tylko żeby to było zrobione dobrze. Żeby ta podstawa programowa nie była spisem wiedzy i umiejętności ucznia, tylko zapisem doświadczeń i aktywności, które z uczniem trzeba zrealizować.

A będzie gdzie to realizować? Szkoły mają zaplecze?

Jeżeli będzie napisane, że jest obowiązek realizacji, no to wtedy organ

prowadzący, czyli samorząd, ma obowiązek zapewnić realizację tej podstawy programowej. Zamiast opowiadać, że podstawówki nie są dobrze wyposażone, trzeba wskazać, które nie są – i je doposażyć. Poprzedni minister edukacji, Przemysław Czarnek, cokolwiek by o nim powiedzieć, akurat miał program doposażania i budowania pracowni szkolnych i wiele placówek z tego skorzystało.

Odwiedzam czasem bardzo małe podstawówki w małych gminach. Jest np. szkoła w Broniszowie na Podkarpaciu. Świetnie wyposażona! Jeśli są więc dobry menedżer, dobry dyrektor, dobrze wybrani politycy lokalni, to wtedy edukacja się rozwija.

Musimy rozwijać umiejętność rozumowania naukowego, żeby nie padać potem ofiarą fake newsów, kłamstw

Załóżmy, że pracowni będą, że ta przyroda będzie tak nauczana. Jednak trzeba być gigantem nauczania, żeby łącząc wiele elementów wiedzy, umieć dzieci poprowadzić od szczegółu do ogółu i jednocześnie uczyć ich chemii, biologii, a czasami matematyki. To chyba nie będzie tak proste?

Proszę sobie wyobrazić klasy IV–VI – te małe dzieci ucieszone, że coś wreszcie mogą same zrobić w szkole. Że mogą zasadzić rzeżuchę, poczekać, aż wykiełkuje, podlewać jedną płynem do naczyń z wodą, drugą zwykłą wodą, a trzecią octem i zobaczyć ten wpływ. Tak samo ucieszone dzieci mogą wyjść na zewnątrz z gnomonem i szukać kierunków świata, mogą rysować sobie wzajemnie mapy skarbów i w ten sposób uczyć się jej obsługi.

To w taki sposób mamy ten świat im pokazywać. Bo to jest ta frajda, że pokażemy im, iż mogą się uczyć przyrody przez otaczający ich świat. Że w tym tkwi źródło naszej wiedzy. Ten przedmiot ma do tego prowadzić, a nie być specjalistyczny. Nie trzeba wylizywać ruchy jednostajnie przyspieszonego, lecz mamy wykonywać doświadczenie za doświadczeniem. Takie proste, które można też zrobić z rodzicami w domu. Mamy tych małych ludzi rozwijać. To potrzebne, bo badania pokazują,

że umiejętność rozumowania naukowego u uczniów jest szczątkowa.

Dlaczego musimy tę umiejętność kształtować?

Musimy rozwijać umiejętność rozumowania naukowego, żeby nie padać potem w życiu ofiarą fake newsów, półprawd, kłamstw. To jest bardzo ważne narzędzie dla nas jako społeczeństwa.

Czy nie sądzi pan, że trzeba będzie też najpierw przekonać rodziców? Wy tłumaczyć, że blokowanie nauczania do VI klasy szkoły podstawowej to nie będzie „odbieranie” wiedzy dzieciom?

Jest pan Polakiem, więc przecież ma pan świadomość, że nad Wisłą nie ma znaczenia, o czym jest debata. Zawsze będzie spór. I w tej sprawie też pewnie będzie.

W Polsce każdy uważa się za eksperta od edukacji. Bo każdy chodził do szkoły, a większość ma w szkole dziecko. Uważa więc, że się na tej szkole zna. To nie jest prawda. Na szkole znają się niektórzy. I może jako społeczeństwo możemy tym, którzy się znają, wreszcie zaufać?

A może zamiast skupiać wiedzę w jednym przedmiocie, powinniśmy pozwolić dzieciom, by od pewnego momentu same decydowały, że będą uczyć się tego, co je pociąga, by rozwijać ich osobiste zdolności, które nauczyciel powinien dostrzegać?

Był taki pomysł, wysunęła go kiedyś ówczesna minister Katarzyna Hall. Chodziło o to, żeby po gimnazjum wchodziło się do pierwszej klasy liceum, a potem wybierało się już zainteresowania.

Uważam, że powinna być możliwość wyboru takiej specjalizacji, ale na poziomie szkoły ponadpodstawowej, dlatego że szkoła podstawowa ma dać nam, czyli społeczeństwu, jednolity poziom wykształcenia. Powinniśmy tam wyposażać ucznia w podstawową wiedzę i umiejętności, aby umożliwić mu sprawną kontynuację nauki w latach późniejszych albo po prostu sprawić, że będzie użytecznym obywatelem dla siebie, rodziny i społeczeństwa. Pamiętajmy jednocześnie, że szkoła podstawowa, jak sama nazwa wskazuje, to nie są zaawansowane teorie i rzeczy. To są rzeczy podstawowe. Dlatego tutaj chodzi bardziej o precyzję i staranność w tłumaczeniu tych zagadnień, o taki kunszt pedagogiczno-dydaktyczny, niż o ogrom wiedzy merytorycznej.

Popularność wydarzenia mierzy się reakcją na nie w Internecie oraz liczbą memów, które ono generuje. Przy czym odzew krytyczny bywa zazwyczaj bardziej owocny niż entuzjazm. Można podejrzewać, że działalność Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie nigdy nie utrzyma takiego poziomu zainteresowania, jakie otrzymało w pierwszych dniach po otwarciu. Zgodnie z przewidywaniami aplauz wyrażali głównie ludzie związani z resortem kultury, władze Warszawy z prezydentem Trzaskowskim oraz lewicowa część obserwatorów, chociaż tu były wyjątki. Wiadomo, że w Polsce nawet piasek na plaży jest polityczny. Reszta upajała się szyderą. Jaka część krytykantów była w środku obiektu, ilu z nich w ogóle widziało go na żywo, trudno powiedzieć. Jednak zważywszy na zasięg krytyki, można przypuścić, że nie wszyscy. A jednak frekwencja była: przez pierwsze trzy dni MSN odwiedziło 50 tys. osób. Wszyscy chcą zobaczyć to cudo, jest to najświeższy temat rozmów w Warszawie.

Najczęściej porównywano MSN do kontenera i do pudełka na buty. „Brak lekkości, dosłowność, brak poczucia humoru, kłoc, barak, Pałac Stalina właśnie oficjalnie zyskał sąsiada” – to parę innych zachwyty. „Zwizualizowana, odlana w tysiącach, jak nie milionach ton freudowska pomysłka”. „Architektura klasy C”. Popularne były memy, na których do białej fasady muzeum przyklejono wielkie reklamy Rossmanna, Kauflandu, Panattoni.

KONKURSY I CO Z TEGO

Październikowe szumne otwarcie było wielkim finałem sprawy ciągnącej się od ponad 20 lat. Która jest syntezą kłótnych charakterów, wielkoświatowych ambicji, biurokracji i prowincjonalnych kompleksów.

5 marca 2005 r. na placu Defilad, w miejscu, w którym dziś stoi biały gmach MSN, minister kultury Waldemar Dąbrowski i prezydent Warszawy Lech Kaczyński podpisali porozumienie w sprawie budowy Muzeum Sztuki Nowoczesnej u stóp Pałacu Kultury i Nauki. 15 grudnia tego samego roku ogłoszono międzynarodowy konkurs architektoniczny na projekt gmachu w tej prestiżowej lokalizacji. Szybko okazało się, że nasza biurokracja potrafi ukatru-

Między placem



Joanna Bojańczyk

Nowe Muzeum Sztuki Nowoczesnej chwalili głównie ludzie związani z resortem kultury, władze Warszawy oraz lewicowa część obserwatorów. Prawica była zniesmaczona



pić najbardziej wygórowane ambicje. Warunki formalne konkursu były tak absurdalne, że zagraniczne architektoniczne sławy nie były w stanie ich spełnić. Ewa Porębska, redaktor naczelna miesięcznika „Architektura”, przytaczała anegdotę krążącą wśród architektów: Zaha Hadid nie stanęła do konkursu, ponieważ nie była w stanie spełnić warunków formalnych.

W końcu konkurs unieważniono. Do drugiego podejścia, w roku 2016, nadesłano 109 prac. Oceniało gwiazdorskie jury, w którym byli m.in. Daniel

Liebeskind i Nicholas Serota, dyrektor Tate Gallery. Zwyciężył projekt nieznanego w Polsce szwajcarskiego architekta Christiana Kereza. Nie obyło się bez awantury. Rezygnację złożył dyrektor MSN Tadeusz Zielniewicz, który zakwestionował wybór jury (w którym sam uczestniczył) i domagał się realizacji projektu polsko-fińskiego zespołu: pracowni AIA Architects i Jarosława Kozakiewicza. Gdy teraz oglądam wizualizację tego projektu, dziwnie pretensjonalnego, jestem wdzięczna Phiferowi, że nas od niego ocalił. Zielniewicz zarzucił

a Pałacem



Bryła budynku nowego muzeum w stolicy nie wszystkim przypada do gustu. W sieci zrobiono z nią mnóstwo memów FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Kerezowi (chyba słusznie, tylko dlaczego po czasie?), że surowa, minimalistyczna betonowa bryła w żadnym razie nie może być kontrapunktem dla Pałacu Kultury. A to było określone w założeniach konkursu. Surowy beton? Być może to sprawdziłoby się w Szwajcarii, ale nie w Warszawie tęskniącej za wielkim światem – argumentował.

W roku 2007 Dorota Jarecka napisała w „Gazecie Wyborczej”: „Kerez zaprojektował budynek, który nie podkreśla niczyjej wyjątkowości: miejsca, kraju, narodu ani grupy osób, które to muzeum

tworzą. Nie podkreśla mesjanicznej idei wprowadzenia wielkiej zmiany w życie Polaków poprzez sztukę. Mówi coś wręcz przeciwnego – nie ma nic wyjątkowego w fakcie, że nowoczesne państwo w nowoczesnym mieście stawia nowoczesne muzeum sztuki. Czy można było nas bardziej obrazić?”.

KTO NASTĘPNY

Po Tadeuszu Zielniewiczem dyrektorką MSN została Joanna Mytkowska. Warszawska organizacja aktywistów miejskich Miasto Jest Nasze donosi

o niejasnych okolicznościach powołania i utrzymania Mytkowskiej na tym stanowisku. „Bez przeprowadzenia konkursu na to stanowisko otrzymała je Ministra w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, Joanna Mytkowska, która w momencie obejmowania stanowiska nie miała doświadczenia w prowadzeniu żadnej instytucji publicznej (co od dawna jest wymogiem koniecznym w konkursach na kierownicze stanowiska rozpisanych przez MKiDN) [...] 3 marca 2023 roku Dyrektor Biura Kultury m.st. Warszawy Artur Józwiak ogłosił, że kontrakt Joannie Mytkowskiej na kierowanie MSN-em został przedłużony na kolejne 7 lat w trybie bezkonkursowym. Czyli obecna dyrektorka w ciągu tych 17 lat nigdy nie brała udziału w żadnym postępowaniu konkursowym! Joanna Mytkowska pokieruje instytucją do 28 lutego 2030 roku – pisze MJN. – W sumie 23 lata jednej osoby na najwyższym stanowisku kierowniczym w strategicznej i najdroższej pod względem inwestycji instytucji kultury w Warszawie, która objęła tę funkcję bez wcześniejszego doświadczenia w zarządzaniu, bez żadnej formalnej procedury konkursowej zarówno ze strony MKiDN, jak i Miasta st. Warszawa”.

W roku 2012 ratusz ogłosił, że ostatecznie zerwał z projektem Kereza. Zrezygnowano także z organizowania kolejnego – to byłby już trzeci – konkursu architektonicznego na projekt budynku muzeum i teatru, bo wiadomo już było, że wraz z MSN powstanie siedziba zarządzanego przez Grzegorza Jarzyńkę TR Warszawa.

W porozumieniu z Urzędem m.st. Warszawy i Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjęto decyzję o przeprowadzeniu procedury wyboru architekta w trybie określonym w Prawie zamówień publicznych jako negocjacje z ogłoszeniem. W dwuetapowej procedurze wybrano Thomasa Phifera, amerykańskiego architekta mającego na koncie projekty obiektów kulturalnych, akademickich i publicznych w USA.

NAPINANIE I WYDYMANIE

Dziś, gdy budynek jest gotowy, dyskusja wraca. Od otwarcia muzeum trwa bitwa zwolenników i przeciwników gmachu. W obszernym, przenikliwym tekście dr Marcin Zgliński, historyk sztuki z In-

■ stytutu Sztuki PAN, analizuje budynek Phifera. Ogólnie mówiąc, nie jest z niego oraz z jego wymowy kulturowej zadowolony: „Ten budynek [...] wprost mówi o tym, czym jest obecnie polska kultura, jaka jest jej pozycja w światowych rankingach i gdzie plasuje się grupa osób, która »na odcinku współczesnej kultury wizualnej« pretenduje do tworzenia swego rodzaju nieformalnego episkopatu”; „Ta architektura nie jest wybitna. Jest zaledwie poprawna, o ile myśli się o niej bez szerszego kontekstu przestrzennego. Chyba to nie powinno być aspiracją na miarę dynamicznie rozwijającej się stolicy 38-milionowego kraju, by po ćwierćwieczu napinania się i wzdymania urodzić coś, o czym można powiedzieć, że nie jest przecież takie złe, nie jest tragiczne, nie jest niedobre, w zasadzie ma nawet wiele dobrych stron”; „Byliśmy i jesteśmy krajem marginalnym, z trudną, de facto postkolonialną historią i odbiciem tego są zasoby naszych muzeów. Nie przyciągnie więc to muzeum ludzi z szerokiego świata eksponatami ani ideą, a że nie przyciągnie architekturą, to już więcej niż pewne. Ale właśnie zerwanie z tą prowincjonalnością mogło się tu tylko ziścić poprzez architekturę. Nie będziemy mieli kolekcji jak w MOMA, ale mogliśmy mieć coś niezwykłego, mogliśmy stworzyć ikonę. A zamiast ikony mamy coś na kształt ramy od obrazu”.

Ja, widząc budynek i wewnątrz na zdjęciach, byłam krytyczna. Ale gdy zobaczyłam go w realu, zmieniłam zdanie. Być może – jak twierdzi Marcin Zgliński – MSN jest formą od razu przestarzałą, refleksem zakompleksionego kraiku Europy Wschodniej. Jako przeciętny odbiorca, nieznający się na architekturze, nie odczuwam jednak policzka dla polskiej kultury. Zastanawiam się, czy zawsze musimy wspinać się do mocarstw. Czy Polska musi zabiegać o dzieło najbardziej awangardowe? A nawet jeśli zostaniemy ariergardą architektury w nie tak znowu wielkim kraju Europy Wschodniej, to czy to złe? Gdy do spełnienia jest tyle innych, pilnych potrzeb, czy warto wszczynać awanturę o tak w sumie drugorzędne dla całości naszej sytuacji przedsięwzięcie?

TROCHĘ ŻYCIA W CENTRUM

Budynek jest w całości biały, ale nie jest to biel neonowa, przykra i zimna,

jest to tzw. beton architektoniczny, o bieli jakby lekko zszarzałej. Prostopadłością dopisuje swoją bryłę do trzech już istniejących przeszklonych brył domów Centrum po drugiej stronie ulicy i nie ma tutaj dysonansu. Budynek mieści się przy ulicy Marszałkowskiej, nie przekracza jej skali. Co innego można by tu postawić? Pokręcone, pretensjonalne, nihilistyczne formy Zahy Hadid, które dodałyby miejscu zakofonii? Coś à la drukarka Apple z lat 80. Kereza?

Na razie bałaganiarskie otoczenie psuje ogłód całości. Wokół trwają prace na tzw. placu Centralnym, którym ratusz w osobie pana Trzaskowskiego chce zdusić Pałac Kultury. Już parę sąsiednich wieżowców próbowało go zdusić, żadnemu się nie udało. Plac Centralny według pracowni A-A Collective ma być gotowy pod koniec 2024 r. Ma to być zielony teren, na którym trawniki i posadzka mają składać się na wzór siatki przebiegających w tym miejscu przedwojennych ulic. To ładny, choć niewielki ukłon w stronę przeszłości Warszawy, miasta unicestwionego przez Niemców. Dobrze, że powstanie miłe miejsce z drzewami, z ławkami, ludzkie miejsce do posiedzenia i do spotkań. Ta część Warszawy tego potrzebuje; dotąd kto mógł, to szerokim łukiem omijał ohydny plac Defilad, o ile nie musiał tędy przejść do kina. Centrum wiele lat czekało, by dostać trochę życia.

Teraz jest jeszcze paskudny płot, za nim są piach, koparki, śmieci. To psuje wrażenie. Ale gdy się wejdzie do środka muzeum, w wielką jasną przestrzeń, doznaje się olśnienia. Jest czysto, jasno, ludzie stają się punkcikami rzuconymi czarnym tuszem na wszechobecną biel. Błądziliśmy po salach, podobnie jak inni, trochę nie wiedząc, czy ich zawartość to obiekty muzealne czy też pozostałości remontu. Trochę jak w starym dowcipie. Ale widać czystość geometrii, piękny detal, betonowe, trochę szorstkie ściany i piękne jesionowe wykończenia drzwi i ławek. Na parterze tłumek stoi przed socrealistyczną rzeźbą Aliny Szapocznikow. Tu przynajmniej nie ma wątpliwości, że jest to dzieło sztuki, a nie graty porzucone z budowy.

„Warszawa na nowo staje się stolicą sztuki nowoczesnej. To miejsce będzie kształtowało wizerunek sztuki nowocze-

snej w naszej części Europy. Będziemy mieli miejsce na światowym poziomie dla promocji polskiej kultury, sztuki nowoczesnej, która cieszy się wielkim zainteresowaniem” – stwierdził z właściwym sobie hurraoptymizmem Rafał Trzaskowski. Trochę na wyrost te zachwyty. Ludzie na pewno będą tu przychodzić, ale raczej dla samego miejsca, żeby je zobaczyć, spotkać się ze znajomymi, być może ze zdrowego snobizmu. Nie dla sztuki nowoczesnej. Ale dobre i to.

ILE TO KOSZTOWAŁO?

„Całkowity koszt inwestycji na chwilę obecną to 640 004 921 zł” – powiedziała w marcu „Wyborczej” Joanna Mytkowska, dyrektorka MSN. „Utrzymanie będzie kosztować miasto ok. 20 mln zł rocznie, ale nie jest to całkowity koszt – prowadzimy rozmowy z Ministerstwem Kultury i liczymy na dotację podmiotową, a ponadto samo muzeum będzie uzyskiwać dochód ze swojej działalności” – mówił Rafał Trzaskowski dla PAP.

Pusta przestrzeń MSN robi wrażenie, ale dowiadujemy się, że budynek niedługo będzie zamknięty na kilka miesięcy, bo trzeba urządzić w nim ekspozycję stałą. Kolekcja MSN liczy ponad 2,5 tys. obiektów, więc urządzanie może potrwać. Kolekcja, jej powiązania personalne, związki osób i instytucji na przecięciu prywatnych i publicznych pieniędzy to inna sprawa, której warto poświęcić osobny tekst.

O pustych ścianach pisze Marcin Zgliński: „A co tu mamy? Ano nic w zasadzie. Żadnej ważnej, wielkiej wystawy. Żadnej prezentacji kolekcji. Nic, co by podsumowywało przeszłość, określało teraźniejszość lub pytało o przyszłość. Gwiazdą jest sam budynek, czyli opakowanie, a nie to, ku czemu go wniesiono”.

To już nie pierwsza taka sytuacja. Podobnie było z Muzeum Historii Polski, w którym otwarta jest tylko jedna sala, bo praca nad ekspozycją jest w toku i z Muzeum Pamięć i Tożsamość o. Rydyka w Toruniu. To wygląda na polski syndrom opóźnienia – inwestycje ciągną się latami, a i tak w chwili oddania są nieskończone. Z instytucjami kultury – jak widać – musi być podobnie jak z metrem, tramwajem, autostradami. Polska tradycja. Huczne przecięcie wstęgi, a potem zamykamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO



Krzysztof Masłoi

Kamienie zrzucone z serca



FOT. ANDRZEJ PRZYBYLSKI/PAP

Szanowny prezes Związku Polskich Autorów i Kompozytorów, spiritus movens i organizator najprzeróżniejszych festiwali, koncertów, przeglądów i imprez z Ogólnopolskim Przeglądem Piosenki Autorskiej OPPA na czele, tłumacz, autor audycji radiowych, książek i artykułów prasowych. Ale przede wszystkim bard. I to, powiedziałbym, bard ortodoksyjny, bo takie miano – jego zdaniem – przysługują tym, którzy osobiście prezentują swoje teksty z własną muzyką. A on tak właśnie robi od 1976 r., gdy po raz pierwszy wystąpił na Jarmarku Piosenki w studenckim klubie Riviera Remont.

Zaczynał od przeżywania wtedy swoje złote dni piosenki turystyczną zwaną. Otrzymywał za nią nagrody, m.in. na Giełdzie Piosenki w Szklarskiej Porębie, gdzie wyróżniono jego balladę „Posiedźmy jeszcze trochę”:

*Posiedźmy jeszcze trochę
popociemy coś trzy po trzy
nim się żywe oczy iskier
zamkną...
Posiedźmy jeszcze trochę
i pójdziemy w stronę nocy
wygasimy dzień do końca
ciszą...*

Piosenki takie jak ta wiodły potem swój samodzielny żywot przy ogniskach, na rajdach, wycieczkach, w schroniskach, wieieczniane w śpiewnikach turystycznych. Choć nie tylko... „Nad Narwią” z 1986 r. dostała zaszczytu druku ni mniej, ni więcej, a w „Kulturze” paryskiej. Piotr Bakal opowiadał, że nie mógł uwierzyć, gdy Gustaw Herling-Grudziński poinformował go o mającej nastąpić publikacji. Odwiedził

wtedy Maisons-Laffitte, gdzie opowiedział Jerzemu Giedroycowi o twórczości rodzimych bardów, nieznannej redaktorowi „Kultury”, rzecz jasna, poza utworami Kaczmarek. A „Nad Narwią” było spokojne, wyciszone, jakże mazowieckie:

*dobrze mi tutaj w tej samotności
świeca się pali równym
płomieniem
i cisza taka, że w uszach szumi
koniak ze szklanki smakuje,
grzeje...
pies gdzieś ujada za siódmym
lasem
nawiązał dialog ze swoim
echem
z dala od bitew, szału i hasel
sprawdzam, czy jeszcze jestem
człowiekiem...
noc mnie gwiazdami kołysze
srebrna
Narew się wiję po dnie doliny
przez chwilę znów mi niczego
nie brak
nadziei, wiary, miłości – siły...
kilką żywicznych haustów
powietrza
głębokich tak, że aż bolą płuca
kilką kamieni zrzuconych z serca
aby po nowe bezpieczniej
wrócić...*

Przełom lat 80. i 90., w sumie sześć lat, spędził Bakal we Francji. Pracował w Paryżu, m.in. w Radiu Solidarność, a także kontynuował działalność artystyczną, występując na festiwalach piosenki, założył też stowarzyszenie Les Oiseaux de Passage, pod

którego auspicjami organizował koncerty. Dużo później, bo w 2017 r., nagrał płytę z francuskojęzycznymi wersjami swoich piosenek – „Fais gaffe aux paroles” – na której znalazła się m.in. tytułowa piosenka z innego jego albumu: „Od słowa do słowa”:

*od słowa do słowa
śmiertelna rozmowa
co cię nie zabija
lecz umie mordować.*

Przed wyjazdem do Francji, w kraju, jego twórczość wyraźnie zaostrzyła się, nie mieszcząc w ramach rzeczywistości stanu wojennego. Toteż cenzura zabraniała mu wykonywania takiej np. „Piosenki z pogranicza” (1982):

*Między Wschodem a Zachodem
Między Odrą a Bugiem
Między prawdą a zmyśleniem
Między władzą a ludem
Między siłą a słabością
Między złudem a celem
Między celem a biernością
Między śmiechem a gniewem...
Ten kraj, kraj z pogranicza
Odnawiana od wieków kaplica
Znicz płonący dniem i nocą
Uporczywie nazywany Polską.*

Cenzuralnym zakazem Piotr Bakal niespecjalnie się przejmował, śpiewając – tam, gdzie w ogóle mógł występować – i „Piosenkę z pogranicza”, i również zakwestionowany przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk utwór „Nie bój się” (1982) ze słowami:

*Nie bój się
Oni tylko czekają na twój strach
Nie bój się
Jedyny sposób by zachować
twarz
Wezmą cię za mordę na ile
pozwołisz
Każy ma swój udział we
własnej niewoli.*

Nagrał Bakal kilka płyt (doliczyłem się sześciu), pozostając wiernym poetyce, którą pokochał jeszcze w szkole, gdy zafascynowany balladami Bułata Okudźawy, doskonalał swoją grę na gitarze, próbował pisać pierwsze swoje teksty. Jest zwolennikiem niekomercyjnych przedsięwzięć kulturotwórczych, w których honorowe miejsce zajmują – jak powiedział w jednym z wywiadów – twórczość, intelekt i wrażliwość. I nie przestaje wierzyć, że czas bardów się nie skończył, bo – są nam potrzebni. Choćby po to, byśmy spirali się z nimi. Na przykład o taki, dwukrotnie zamieszczany przez Piotra Bakala na jego płytach, „Kompleks”:

*My lubimy widzieć w sobie
bohaterów
ciągle jeszcze: „koń, szabelka
i butelka”
wielkie szarże, narodowe
Somosierry
a po chwili: uzda, pochwa, kac
i cmentarz
Nie lubimy mrówczej pracy ku
lepszemu
nie lubimy doprowadzać dzieł
do końca
bo my przecież mamy służyć
wyższemu celom
mamy lecieć – nie po ziemi
twardo stapać
My lubimy dokonywać wielkich
czynów
my do małych czynów się nie
nadajemy
z kosą w rękę przeciw lufom
karabinów
lub z gitarą przeciw durniom –
pobiegniemy... © ©*



W rolę doktora Freuda wcielił się Anthony Hopkins, a profesora C.S. Lewisa gra Matthew Goode. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Córka profesora



Piotr Gociek

Film o spotkaniu C.S. Lewisa i Zygmunta Freuda nie jest, wbrew pozorom, dysputą o istnieniu Boga, lecz etyczną połajanką zgodną z najnowszymi modami

Zadne to okrągłe rocznice, więc pewnie w tym roku nikt nie zauważył, ale to właśnie w listopadzie witał się i żegnał z doczesnym światem Clive Staples Lewis (29.11.1898–22.11.1963). Autor cyklu o Narnii, wyśmienity apologeta chrześcijaństwa, wrócił do nas niedawno w skromnym filmie „Ostatnia sesja Freuda” („Freud’s Last Session”, od niedawna w serwisie Max). Matthew Brown wyreżyserował opowieść, w której Zygmunta Freuda dysputuje z C.S. Lewisem. Ich spotkanie nigdy nie miało miejsca, ale mogło mieć – i to wystarczy.

Podstawą scenariusza jest książka Armanda M. Nicholi „Pytania o Boga”. C.S. Lewis i Sigmund Freud wiodą spór na temat Boga, miłości, seksu oraz sensu życia” (ukazała się w Polsce w roku 2004,

nakładem wydawnictwa Media Rodzina). Nicholi, ceniony profesor psychiatrii i wykładowca Harvardu, przez ponad 30 lat prowadził wykłady, w których konfrontował poglądy Freuda i Lewisa, uznając ich za doskonałe przykłady propagatorów sprzecznych idei, które kształtują współczesnego człowieka. W książce skrupulatnie referował argumenty obu stron; Lewis i Freud byli równoprawnymi głównymi bohaterami.

Zanim napisano scenariusz filmu, powstała jeszcze sztuka teatralna, której autorem był Mark St. Germain. Ułożył on wypowiedzi intelektualnych przeciwników w dialog „dwóch ludzi zamkniętych w jednym pokoju” – i zrobił to nader zgrabnie. Reżyser filmu, Matthew Brown, sięgając po teks St. Germaine’a, uznał jednocześnie, że nie jest on wystar-

czający, że specyfika narracji filmowej wymaga innego rodzaju dynamiki. Podpisywał więc różne sceny i dołożył jeden wątek związany z córą Freuda, który rozbija narrację i zamienia pojedynek umysłów w jednowymiarową moralną połajankę. Ale więcej o tym później.

PYTANIE O BOGA

Zacznijmy od głównych bohaterów. Anthony Hopkins potrafi zagrać wszystko, miło jest więc widzieć go w roli doktora Freuda. A przecież pamiętamy go, jak trzy dekady temu sam wcielił się w C.S. Lewisa („Cienista dolina” z 1993 r., w reżyserii Richarda Attenborough). Ekranowy Freud to człowiek stojący nad grobem, cierpiący fizycznie (nowotwór, który ostatecznie go zabił) i psychicznie. Nieco ponad rok wcześniej uciekł przed hitlerowcami z Wiednia, teraz okazuje się, że Londyn nie jest miejscem bezpiecznym. Spotkanie bohaterów ma miejsce 3 września 1939 r.; w trakcie ich rozmowy BBC emituje przemówienie Chamberlaina, który w odpowiedzi na atak na Polskę wypowiada Niemcom wojnę.

W rolę profesora C.S. Lewisa wcielił się Matthew Goode, aktor wielce utalentowany i chyba wciąż niedoceniany. Pamiętamy go m.in. jako Ozymandiasa z filmu „Watchmen” czy z roli w najnowszej ekranowej wersji „Znowu w Bridehead” (2008). W filmie Browna profesor Lewis reprezentuje nie tylko siebie, lecz także szersze grono przyjaciół, pisarzy i uczonych znanych jako Inklingowie (należał do tego kręgu J.R.R. Tolkien). Freud wie o ich istnieniu i nieco dopytuje. Obaj panowie są zresztą wielkimi erudytami. Lewis, nałogowy pożeracz książek, przeczytał niemal wszystko, co napisał Freud. Freud natomiast, choć czytywał Lewisa rzadziej, posiada wielką wiedzę na temat kultury i religii, zawstydzając w miejscowym kościele księdza i Lewisa błędnie identyfikujących posąg świętej. „To nie św. Brygida, lecz św. Dymfna” – poucza psychologa. Ta scena ma ciekawy podtekst, bo przecież Dymfna jest patronką wszystkich zmagających się z depresją, chorobami psychicznymi, lękami. Okaze się, że jej figurkę ma na półce także Freud. Ale nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków – ma figurki ważnych postaci ze wszelkich możliwych religii i mitów.

Wymiana poglądów między Feudem a Lewisem przebiega tak, jak moglibyśmy to sobie wyobrazić, nawet jedynie pobieżnie znając ich poglądy. Tak, oczywiście, Freud będzie każdy rodzaj wiary w Boga deprecjonował, opowiadał o tym, że ludzie wszystko to sobie wymyślili, bo nie mogą znieść bólu istnienia. Oraz że ogrom zła i cierpienia, które nas otacza, wyklucza istnienie Boga. Lewis odpowiada, że to nie Bóg odpowiada za zło, lecz człowiek – obdarzył nas wolną wolą, a my czynimy z niej użytek bardzo różny. Jesteśmy istotami ułomnymi, ale zdolnymi do wzniesienia się ponad to.

Profesor i doktor zgodzą się, że pytanie o Boga jest najważniejszym pytaniem na świecie, choć oczywiście pozostaną przy swoich zdaniach. Rozstrzygnięcie sporu jest poza zasięgiem jednego i drugiego, nie mogło więc zostać osiągnięte przez scenarzystów i reżysera. Czy ci ostatni przedstawiają argumenty obu stron z równą starannością i empatią? Uważam, że nie, że Lewis wypada w tym dialogu mniej ciekawie, raczej reaktywnie, po prostu blado. Freud atakuje celnie, atakuje z furii – aczkolwiek przychodzi także chwila, gdy widzimy w nim jedynie mściwego, małostkowego, cierpiącego człowieka, przemieniającego własne cierpienie w żółć, którą skaża wszystko dookoła.

WIELKI NIEDOSYT

Aby inscenizacja była ciekawsza od przedstawiania kamery w jednym pokoju czy nawet domu, dostajemy wraz z dysputą krótkie retrospekcje. Jedne

są udane mniej, inne bardziej, ale wszystkie rozbijają główną narrację, odciągają nas od sporu „bezbożnego Żyda” (tak Freud mówił o sobie) z „zaskoczonym radością” nawróconym („Zaskoczony radością” to tytuł jednej z najważniejszych książek Lewisa, kroniki duchowej przemiany). Widzimy więc Freuda odbierającego w Niemczech Nagrodę Goethego, a także aresztowanie w Wiedniu przez gestapo jego córki Anny. Oglądamy spotkanie Lewisa z Inklingami w oksfordzkim pubie The Eagle and Child, jego spacer z Tolkienem i rozmowę o wierze; trafiamy wreszcie do okopów pierwszej wojny światowej, gdzie ponura rzeczywistość miażdżyła kruchą psychikę pisarza. Będę się upierał, że nie są to kawałki niezbędne w tym filmie. To, czego nie widzimy, jest jednak bardziej intrygujące, a dobrze napisane dialogi mogą być pełne dodatkowych znaczeń; można było zaufać słowu.

Tak czy inaczej, kto oczekiwałby po filmie pojedynku gigantów, ten odepdzie rozczarowany. Panowie najwyżej szturchają się lekko argumentami, więc pozostaje wrażenie wielkiego niedosytu. Czy wzięło się z błędnych wyborów inscenizacyjnych i niewłaściwego doboru poruszanych kwestii? Nie, sprawa jest poważniejsza. Matthew Brown, reżyser, po prostu nas nabrał – w tym filmie wcale nie chodzi o to, kto ma rację: Freud czy Lewis. Ten film nie został nakręcony, żeby z gracją przedstawić dwoistość



REŻ. MATTHEW BROWN
„OSTATNIA SESJA FREUDA”
USA, WIELKA BRYTANIA 2023

ludzkiej natury i targające nami sprzeczności. Głównym bohaterem „Ostatniej sesji Freuda” jest Anna Freud (gra ją Liv Lisa Fries), a główne pytanie nie brzmi: „Czy jest Bóg?”, ale: „Czy Zygmunt Freud zaakceptuje związek córki z inną kobietą?”.

Jeśli ktoś jest tu bowiem bliżej sesji terapeutycznej, to właśnie Freud, a nie Lewis. Tę kwestię akurat rozegrano w scenariuszu zgrabnie: na początku filmu Freud doradza

Lewisowi, by ten usiadł na fotelu, a nie na kanapie. „To kozetka przemienienia” – ostrzega. W finale filmu to targany fizycznym bólem Freud znajdzie się na rzeczonej kanapie. Na zakończenie dojdzie więc do przemienienia: stary despot, który traktował córkę jak służącą, nie chciał jej pomóc swoją psychologiczną wiedzą i odrzucał jej seksualność, zrozumie, że był w błędzie. No i mamy problem: czyli cała wielka dysputa tegich umysłów miała tylko taki cel? Żeby surowy profesor Freud z uśmiechem powitał pod własnym dachem kochankę córki? Byłaby to próba przypomnienia, żeby potępiać grzech, a nie grzesznika? Czy raczej wykorzystanie Lewisa i Freuda, by nakręcić „film modny”, kolejną postępową pogadankę na temat złych białych patriarchalnych starców stojących na drodze szczęścia par homoseksualnych?

Odpowiedź znajdziemy w słowach Armanda M. Nicholi w książce „Pytania o Boga”, od której zaczęła się ta cała historia. W bardzo prosty sposób streszczał on jedną z podstawowych różnic między Freudem a Lewisem w kwestii moralności (cytuję za wywiadem dla PBS z 2004 r.): „Freud nie wierzył w istnienie uniwersalnego prawa moralnego. Uważał, że wymyślamy nasz moralny kodeks tak, jak wymyślamy przepisy ruchu drogowego. C.S. Lewis się z tym nie zgadzał. Twierdził, że uniwersalne prawo moralne istnieje i że odkrywamy je w podobny sposób, w jaki odkrywamy prawa matematyki”.

Nic dziwnego, że prof. Freud musiał ostatecznie zaakceptować Annę i Dorothy siedzące przed nim po raz pierwszy razem na kozetce przemienienia. A Lewis? Profesora Lewisa nie było już wtedy w gabinecie Freuda. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Annę Freud zagrała Liv Lisa Fries (z lewej)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Inny świat



★★★★★

REŻ. BENJAMIN REE

„WYJĄTKOWE ŻYCIE IBELINA” („IBELIN”)

NORWEGIA 2024, NETFLIX

Uśmiercenie głównego bohatera w pierwszym kwadransie filmu – rzecz trudna do przełknięcia.

A w dokumencie wydaje się wręcz niemożliwa. Tak dzieje się w filmie „Wyjątkowe życie Ibelina”, opowieści o Matsie Steenie, norweskim dzieciaku urodzonym z rzadkim defektem genetycznym – dystrofią mięśniową Duchenne’a. Po pierwszych latach życia mięśnie zaczynają zanikać, mało kto dożywa dorosłości; Steen zmarł w wieku 25 lat, przy czym od 10. roku życia musiał poruszać się na wózku.

Ale w tym przypadku śmierć jest początkiem nowej historii. Zdumieni rodzice odkrywają, że słowa współczucia zaczynają napływać do nich od dziesiątek,

jeśli nie setek obcych ludzi z całego świata. Nie mieli pojęcia, że ich syn był w świecie użytkowników gry fantasy on-line „World of Warcraft” szeroko znany jako prywatny detektyw Ibelin Redwood, sympatyczny, dobruśny olbrzym, który mądrym słowem i duchowym wsparciem naprostował niejedno życie. Nasz Mats? Tak, w tym przypadku sekretnie życie może obrócić się na dobre.

Dokument Benjamin Rea wykorzystuje to, co po grachu pozostało: 42 tys. stron zapisu wszystkich interakcji, w których brał udział, logując się do gry. Każde słowo, każdy dialog, zostały ocalone. Drobną część wykorzystana została do stworzenia animacji ukazujących życie Matsa

N

w grze. Cynik powie, że to po prostu kolorowa reklamówka „World of Warcraft”, kto inny (zaliczam się do innych) dostrzeże, że cyberprzestrzeń stała się dla bohatera filmu namiastką prawdziwego życia. Ze swoimi przyjaciółmi z gry mógł na ekranie biegać, tańczyć, walczyć z potworami, a nawet – wirtualnie – przeżyć pierwszy pocałunek. Żadnej z tych rzeczy nie było mu dane zaznać w realu.

„Wyjątkowe życie Ibelina” nie jest reklamą wylogowania się z prawdziwego życia i obietnicą raj w wirtualu, bo Mats w pewnym momencie odkrywa, że kogokolwiek by udawał, nie da rady uciec od swoich prawdziwych problemów. Radość z bycia kimś ważnym i szanowanym w życiu innych ludzi przyska, gdy zmagasz się z własnym lękiem przed ujawnieniem prawdy o chorobie. Prorocy transhumanizmu obiecują nam lekarstwo na życie w postaci oddzielenia duszy od ciała. Na nic to lekarstwo, kiedy dusza cierpi. ©©

GRA TYGODNIA: „SILENT HILL 2” (REMAKE)

Przygotowanie remake’u gry, która uchodzi za jedną z najlepszych w swoim gatunku, to arcytrudne zadanie. Jak wykonało je polskie studio Bloober Team, które na zlecenie Konami zafundowało nam powrót do Silent Hill? Bardzo dobrze!

Szacunek do pierwowzoru udało się pogodzić z unowocześnieniem oprawy i systemu walki, choć trzeba przyznać, że nie wszystkie zmiany wyszły na dobre. Doktrynerzy tu i ówdzie będą kręcić nosem, ale i tak czeka ich wspólna sentymentalna podróż. Nowe



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

★★★★★

pokolenie graczy posmakuje jednego z najlepszych tytułów sprzed dwóch dekad. ©© **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** akcji, survival horror

• **Platforma:** PS5, PC

• **Producent, dystrybutor:** Bloober Team; Konami

Koniec jest początkiem

Kiedy nie chodzi o pieniądze, ludzie naprawdę potrafią być dla siebie dobrzy. Oldskulowy Andy, galernik z pasji i powołania, amator dobrych alkoholi oraz płyt winylowych, żył jak we śnie. Rodziną zajmował się z doskoku, jednak we własnym mniemaniu był nie najgorszym mężem i ojcem. Cóż, los zgotował mu brutalne przebudzenie. Połowica nagle staje się nieosiągalna i trzeba samemu okiełznać parę dziewięcioletnich bliźniaków. Wspólne oglądanie „Casablanki” to rozwiązanie dobre na jeden wieczór. Andy musi schować dumę do kieszeni, czyli zwrócić się o pomoc do dorosłej córki (z nerwami na wierzchu i w zaawansowanej ciąży). Na domiar złego branża, której poświęcił całe życie, dramatycznie się kurczy. Silniejsi pożerają słabszych, młodym pracownikom brakuje pokory i cierpliwości. Artyści też nie są sentymentalni. Idą tam, gdzie jest więcej pieniędzy.

Dylemat naszego bohatera w gruncie rzeczy sprowadza się do jednego pytania: Czy można zmienić się po sześćdziesiątce? Drzewiej takie problemy roztrząsano w gabinecie psychoterapeuty, dziś Woody Allen jest passé. Andy musi nauczyć się



★★★★★

REŻ. HALLIE MEYERS-SHYER
„OJCIEC ROKU”
 („GOODRICH”) **USA 2024**

wyst. Michael Keaton, Mila Kunis, Michael Urie

rozmawiać z ludźmi, których kiedyś traktował jak powietrze, brać pod uwagę cudze uczucia, gotować, a nawet – dosłownie – oddychać. W tych kwestiach scenarzystka przeszarżowała: ciężko uwierzyć, by kreatywny menedżer w kwestiach niezwiązanych z pracą mógł być aż takim gapą i niedorajdą. W porównaniu z banalnym debiutem (komedia „Wszyscy moi mężczyźni”) widać postęp, ale Hallie Meyers-Shyer nadal korzysta z fabularnych protez. Lokuje akcję w okolicach świąt Bożego Narodzenia. Widzów można wzruszać na różne sposoby, jednak umieszczenie bohatera w otoczeniu płaczek to pomysł mało wyszukany.

Rzecz jasna, biedny Andy też – wcześniej czy później – będzie musiał uронić łezkę. Ponadto finałowe przemówienie jest, jak na hollywoodzkie standardy, bardzo krótkie. W uznaniu „Ojca roku” za typowe dzieło z gatunku „feelgood movie” przeszkadza tylko jedna rzecz, a raczej człowiek. To Michael Keaton, który nawet w żółtym sweterku jest wielki. Daje z siebie wszystko, a przecież musi wiedzieć, że choćby stawał na rękach, to Oscara i tak nie dostanie. Dziwny facet. ©© **Wiesław Chelminiak**

KINO

POWRÓT TATY



Frodo Baggins przestał się golić, zapuścił włosy i znów eksploruje nowozelandzkie parki narodowe. Tytułowym molem książkowym jest jednak 11-letnie dziewczę, nad wyraz bystre i dojrzałe. Zamierza wykorzystać pojawienie się ojca, ciapowatego iluzjonisty, który nie zrobił kariery w Las Vegas, do wyciągnięcia rodziny z finansowych tarapatów. Wystarczy zdokumentować rzadki gatunek drapieżnika i konto zaokrągli się o 50 tysięcy. Film chwilami za bardzo przypomina turystyczny folder, lekce sobie waży logikę i rachunek prawdopodobieństwa, lecz ze sporym zapasem przekakuje poprzeczkę, która w przypadku kina rodzinnego zawieszona jest dość nisko. Mildred, jak na „brutalną realistkę” przystało, unika pułapki kliki. Z całym szacunkiem dla Wooda, na ekranie rządzi panna Fisher. Ciekawe, co z niej wyrośnie. ©©



★★★★★

REŻ. ANT TIMPSON
„MILDRED I MI-TYCZNA PANTERA”
 („BOOKWORM”) **NOWA ZELANDIA 2024**

DO ZOBACZENIA

Śpij spokojnie



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? Muzeum Etnograficzne w Krakowie, piwnice Domu Esterki
KIEDY? do 30 marca 2025 r.

Sen fascynuje i fascynował ludzi od zawsze. Ciekawił, inspirował, niepokoił. Sen pozwala przekraczać granice czasu i przestrzeni, bywa miejscem spotkań z tymi, którzy odeszli już z tego świata. Bywa miejscem spełniania marzeń i przerażających obrazów. Czasem dostrzegamy w nim przestrozę przed tym, co nas czeka. W XX w., wraz z rozwojem psychoanalizy, szukano w nim klucza do poznania tajemnic



FOT. MARCIN WĄSIK

umysłu, dostrzeżenia tego, co nieświadomione. Nic dziwnego, że sen to jeden z najpopularniejszych toposów obecnych w wielu kulturach od czasów starożytnych.

Wystawa „Śpij spokojnie, dobrze śnij” „jest próbą spojrzenia etnografów na fenomen snu i śnienia. To opowieść o tym, jak próbujemy sobie radzić ze snaniem i bezsennością, poczynając od przygotowania otoczenia do bezpiecznego spoczynku, poprzez działania mające zapewnić ochronę przed tym, co nieznane. Wystawa ukazuje także bogatą i złożoną symbolikę snu i marzeń sennych”. ©©

MOJA PÓŁKA

Towarzysz Kutasow ma głos

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Wspomnienia Barbary Szackiej, znanej socjolog, specjalistki od badań nad pamięcią zbiorową, przenoszą czytelnika w – zgodnie z tytułem książki – najmroczniejsze lata zeszłego wieku, nie tylko wojny i okupacji, lecz także stalinizmu. A właśnie wtedy przyszło autorce rozpoczynać studia, co w jej wypadku nie było łatwe, gdyż w życiorysie miała potężnego „haka” w postaci zamordowanego w Katyniu ojca. I choć w jej domu najczęściej nie poruszano tego tematu, to właśnie dlatego zachowywała wobec inwazji marksizmu i komunistycznej ideologii dystans, a przecież jak całe jej pokolenie podlegała nieprawdopodobnej wręcz indoktrynacji. I nie pozostała na nią bez reszty odporna, czego wcale nie kryje.

Dziwić się zresztą nie ma czemu. Na przykład późniejsza świetna edytorka Maria Ofierska jedynie dlatego, że nie wstąpiła do ZMP i uczestniczyła w seminarium Stanisława Ossowskiego, pozbawiona została możliwości kontynuacji studiów socjologicznych i dokończyć je mogła dopiero po sześciu latach, już w popaździernikowej atmosferze. Zdarzały się też przypadki niby podobne, a przecież całkowicie odmienne.

„Krystyna Krzymowska – czytamy – jako usunięta z ZMP za zatajenie informacji o podziemnej działalności ojca w czasie wojny i w pierwszych powojennych latach, co opłakiwała kiedyś u mnie, była bez szans na dalsze studia. Mimo to złożyła podanie o przyjęcie na drugi stopień studiów filozoficznych, które oczywiście zostało odrzucone przez Zygmunta Bauman, wówczas bardzo zasadniczego sekretarza miejscowej komórki partyjnej, zresztą studenta teje filozofii, na

którą przyszedł z wojska. Po tej odmowie Krystyna Krzymowska zwróciła się do Niny Assorodobraj, w której seminariach uczestniczyła [podobnie jak autorka omawianych tutaj wspomnień – przyp. K.M.], przedstawiła jej swoją sprawę, po czym usłyszała: »a cóż tu Zygmunt Bauman ma do powiedzenia?« – i w następnym roku akademickim została przyjęta na studia filozoficzne. Przez długie lata znałam taką wersję jej drogi do magisterium, zresztą bardzo prawdopodobną, zważywszy na mocną pozycję polityczną Niny Assorodobraj.

Po wielu dziesiątkach lat, gdy obie byłyśmy już starymi kobietami, dowiedziałam się, że zasadniczą rolę w jej przyjęciu na studia odegrał jeszcze ktoś – oficer UB, który był jej prowadzącym, gdy stała się tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa”.

A w humanistyce polskiej coraz większą rolę odgrywały takie placówki, jak choćby Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, zdaniem Leszka Kołakowskiego: „Na poły cheder, na poły kosza-ry”. Swoją drogą, pisząc o Leszku Kołakowskim, Jerzy Szacki, mąż autorki „Życia i pamięci w mrocznych czasach”, też socjolog, zwracał uwagę, jak bardzo „traumatycznym przeżyciem był dla niego, podobnie jak dla paru innych naszych nauczycieli, krótki pobyt w odpowiednim instytucie moskiewskim, gdzie zobaczył na własne oczy, co może nas czekać na drodze, na którą nieopatrznie weszliśmy”. A zobaczyć można było niemało, usłyszeć także. Krzysztof Pomian wspominał np., jak „w 1950 lub 1951 r. grupa filozofów polskich – m.in. Nina Assorodobraj, Baczeko, Kołakowski, Kroński – wyjechała do Moskwy, by zapoznać się z tą (marksistowską) filozofią u źró-

dła. Podczas jednego z wykładów o filozofii burżuazyjnej, które wygłosił niejaki docent Kutasow [sic! – przyp. K.M.], padło zdanie: »Jest takoj burżuazyjnyj filosof Grusel« (chodziło mu o Husserla). W tym momencie Kroński zemdłał. Baczeko z Kołakowskim wynieśli go z Sali, a Nina Assorodobraj skorzystała z zamieszania i wyszła”.

No cóż, ale Barbara Szacka cytuje również inny list swojego męża, w którym ten mocno się zżyma na obchodzoną w 1957 r. – po latach milczenia – rocznicę wybuchu powstania warszawskiego i narzeka, że „mieszkańcy tego miasta ogarnięci są bez wątpienia obłędem, i to najbardziej niebezpiecznym, bo patriotycznym. Tegoroczna rocznica powstania podnieciła ich wszystkich niemożebnie i »otodziśdzien« jest zupełnie nieznośny. Capstrzyki, chorągiewki, opaski, byle pijak wyciąga jakiś order i zaśłania nim tłuste plamy na klapie. Dogadaliśmy się wczoraj z Leszkiem (Kołakowskim), czego właściwie nie lubimy w Gomułce – jego patriotyzmu!”.

A co z Katyniem? Po latach, w zupełnie innej – zdawałoby się – atmosferze politycznej, w innym miejscu, bo w Nowym Jorku, wysłuchiwała, jak jej młodszy koleś z Instytutu Socjologii, znany opozycjonista Jakub Karpiński i Mirosława Marody, naigrywają się z Parady Pułaskiego, „inteligentnie i złośliwie, tak jak zazwyczaj inteligenci wyśmiewają prymitywne obrazy rzeczywistości tworzone przez ludzi prostych. Nie ominęły platformy, na której przedstawiano Zbrodnię Katyńską. I tutaj żartom nie było końca. Zabolało mnie to bardzo, chodnik pod stopami zaczął falować, ale zamiast po prostu odejść, szłam dalej, chyba nic nie powiedziałam i poszłam z nimi na kawę”. ©



★★★★★
BARBARA SZACKA
„ŻYCIE I PAMIĘĆ
W MROCNICH
CZASACH”
PIW,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

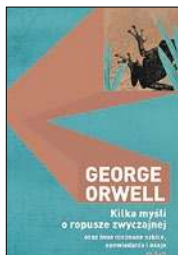
Okiem Orwella

W latach 1935–1939 i 1941–1945 można było bardzo łatwo powziąć przekonanie, że ZSRR porzucił ideę rewolucji światowej, obecnie widać jednak jak na dłoni, iż tak się nie stało. Idea ta nigdy nie została porzucona, uległa po prostu modyfikacji – słowo „rewolucja” coraz bardziej zaczęło być tożsame z podbojem – pisze George Orwell w tekście „Marks i Rosja”, opublikowanym na łamach „The Observer” w lutym 1948 r. Pozwalam sobie przytoczyć ten fragment, by przypomnieć, jak przenikliwym obserwatorem świata i politycznych procesów był autor „Folwarku zwierzęcego”.

„Kilka myśli o ropusze zwyczajnej” to zbiór nieznanych polskiemu czytelnikowi drobniaków z teki Orwella. Mamy tu artykuły prasowe, mamy juvenilia: oto otwiera książkę „Zabójstwo Bellinghama Vernona”, opowiadanie zapisane przez nastoletniego autora w książce przychodów i rozchodów; jak opowiadała po latach jego siostra, w owym okresie nieustannie bazgrał, na czym popadło. Ale oczywiście uwagę miłośników dzieł bardziej dojrzałych zainteresują przede wszystkim notatki poczynione przez Orwella na potrzeby planowanej powieści „Rok 1984”

(zmieniał się ten projekt mocno). Dostajemy też płomienną polemikę Orwella przeciw absurdalnym odczytaniom jego najslawniejszej powieści jako zaplanowanego ataku na rząd labourzystowski. „Chciałem tylko pokazać wypaczenia, jakim łatwo podlega scentralizowana gospodarka, a które stały się częściową praktyką pod rządami komunizmu oraz faszyzmu” – odpowiadał pisarz, by dobitnie przypomnieć: „Idee totalitarne wszędzie zapuściły korzenie w umysłach intelektualistów, dlatego też podjąłem próbę doprowadzenia tych idei do ich logicznych konsekwencji”.

Za wybór, układ i przekład tekstów odpowiada Bartłomiej Zborski (który to już raz!). Warto zwrócić uwagę na benedyktyńską pracę nad przypisami – część Zborski podaje za redakcją angielską, ale wiele przygotował sam. Z tego, co dotąd napisałem, może wynikać, że to książka pełna arcyprawnych tekstów dla bardzo zaawansowanych; otóż nie, mamy tu też sporą dawkę humoru i gawęd, zaglądamy zatem także do ulubionego pubu pisarza. A gdyby ktoś miał ochotę przygotować pudding bożonarodzeniowy wedle Orwella, to przepis znajdzie w uroczym szkicu „Kuchnia brytyjska”. ©©



★★★★★
GEORGE ORWELL
**„KILKA MYŚLI
O ROPUSZE
ZWYCZAJNEJ”**
WYDAWNICTWO
VIS-À-VIS ETIUDA
2024

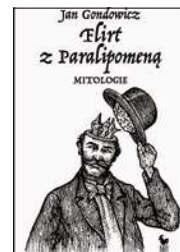
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tytuł oryginału lepszy: „The Path to Paradise. A Francis Ford Coppola Story”, ale sama książka bardzo ciekawa. Obszerna, dobrze udokumentowana, choć chwilami może zbyt czołobitna. Czyta się świetnie.



SAM WASSON
**„FRANCIS FORD
COPPOLA:
REWOLUCJONISTA”**
MARGINESY

Myśli rozczochrane ze zbioru „wiedzy niekoniecznej”, ale zawsze intrygujące – zbiór krótkich erudycyjnych tekstów na tematy wszelkie, ale zawsze wyciągnięte z lektur, w których odbijają się inne lektury. Pycha.



JAN GONDOWICZ
**„FLIRT
Z PARALIPOMENĄ.
MITOLOGIE”**
ISKRY

Było z czego wybierać: klasyk grozy pisał po kilkanaście listów dziennie, a łącznie zostawił ich wiele tysięcy. W tomie zestawionym przez Mateusza Kopacza wśród adresatów są m.in. August Derleth i Clark Ashton Smith.



H.P. LOVECRAFT
**„LISTY WYBRANE.
1906–1927”**
VESPER

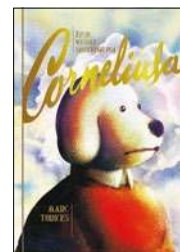
Jak to możliwe, że na miejscu zabójstwa znaleziono ślady DNA należące do mężczyzny nieżyjącego od trzech lat? Sprawę próbuje rozwikłać ulubiony bohater Cobena i czytelników jego thrillerów – Myron Bolitar. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



HARLAN COBEN
**„POMYŚL DWA
RAZY”**
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA:

„CORNELIUS”
Kino bywa snem, snem może być także powieść graficzna Marka Toricesa. Undergroundowy artysta hiszpański oferuje czytelnikom surrealistyczną i wieloznaczną przypowieść o bohaterze, pechowym, cierpiącym, podejmującym fatalne decyzje, a zarazem żądnym sławy, wielkich



MARK TORICES
**„ŻYCIE WESOŁE
SMUTNEGO PSA
CORNELIUSA”**
MANDIOCA 2024

wzlotów, wyzwolenia – Cornelius marzy bowiem o karierze pisarza.

©© **Piotr Gociek**



Lech Mażewski

Polska powinna uczynić wszystko, żeby nie dopuścić do odnowienia się współpracy niemiecko-rosyjskiej, względnie osłabić jej natężenie

W wojnie toczzonej na południowy wschód od naszych granic zanoszą się zwycięstwa Rosji nad Ukrainą. Czy w tej sytuacji Polska miałaby ograniczyć się do zapowiedzi gen. Wiesława Kukuły, szefa Sztabu Generalnego, wygłoszonej do podchorążych wojsk zmechanizowanych – że przyjdzie im walczyć za Polskę, po zwycięstwie wracając do kraju? A może w grę wchodziłby jakiś rodzaj polsko-rosyjskiego *modus vivendi*? Jak ono miałoby wyglądać? Kto miałby tego dokonać? Ale czy owo porozumienie jest w ogóle możliwe?

WYCOFYWANIE SIĘ ZE WSCHODU

Często przyjmuje się, że przełom w stosunkach Polski z jej wschodnimi sąsiadami nastąpił w momencie, gdy na początku lat 50. środowisko „Kultury” uznało nieodwracalność granicy polsko-sowieckiej ustalonej w 1944 r. i potwierdzonej 16 sierpnia 1945 r. umową między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej a rządem ZSRS. W rezultacie przedstawiciele części niepodległościowej emigracji politycznej – a nie tylko przywódcy Polski pozostającej w sowieckiej strefie wpływów – uznali zrzeczenie się przez Polskę Wilna i Lwowa na rzecz, na razie, sowieckiej Litwy i sowieckiej Ukrainy.

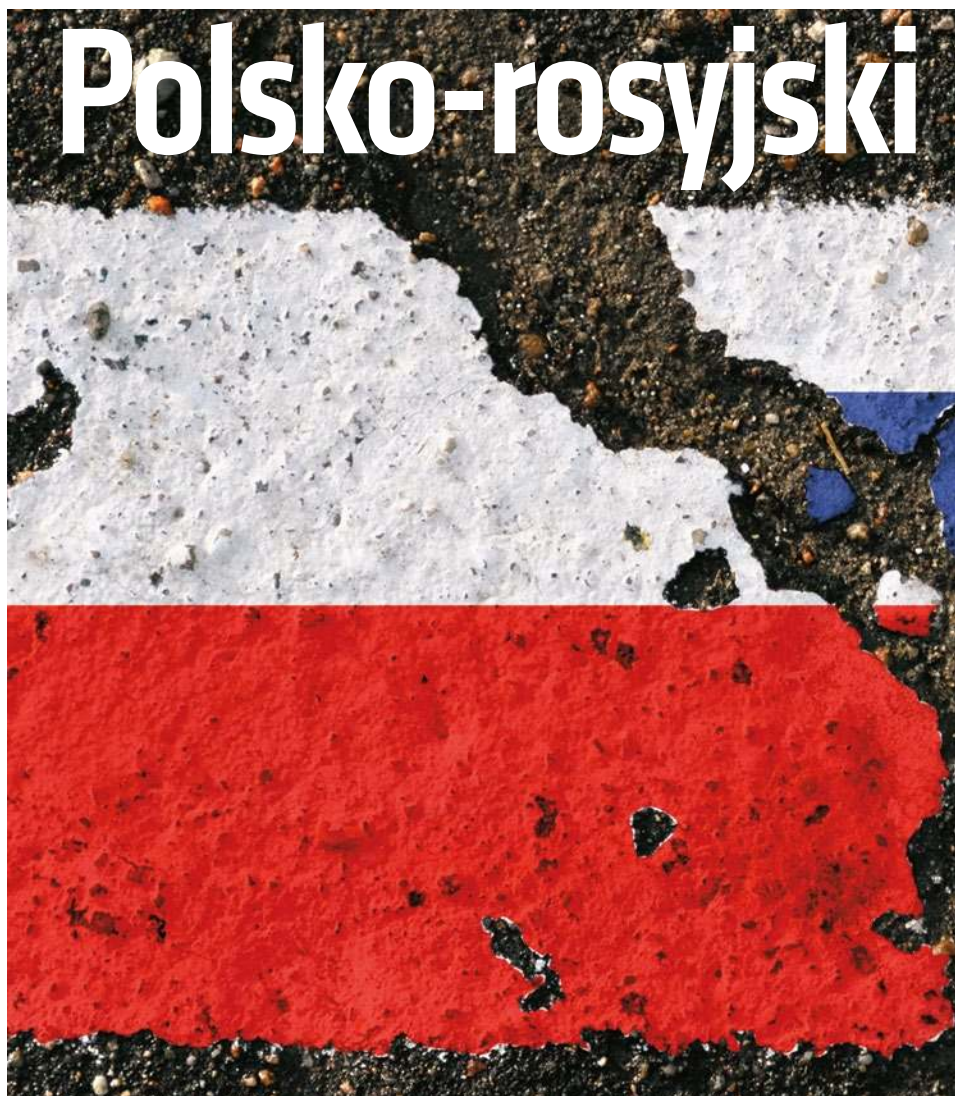
W rozumieniu ośrodka paryskiego nie oznaczało to jednak, że Polska, wycofując się ze Wschodu, miałaby tam definitywnie zakończyć swoją obecność. W rzeczywistości szło o to, aby być tam nadal obecnym, i to nie tylko w znaczeniu dbałości o interesy naszej mniejszości narodowej lub los naszych zabytków czy cmentarzy. Ta nowa forma polskiej obecności miała by się wyrażać we wspieraniu procesów emancypacji i demokratyzacji tworów

państwowych powstałych na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jednocześnie ten ośrodek polskiej emigracji niepodległościowej sądził, że takie rozwiązanie dałoby się jakoś pogodzić z interesami Rosji, a przynajmniej, że byłoby ono do zaakceptowania przez następców KPZS. Innymi słowy, dla środowiska skupionego wokół Maisons-Laffitte dzieje imperium polsko-litewskiego nie byłyby ostatecznie zakończone.

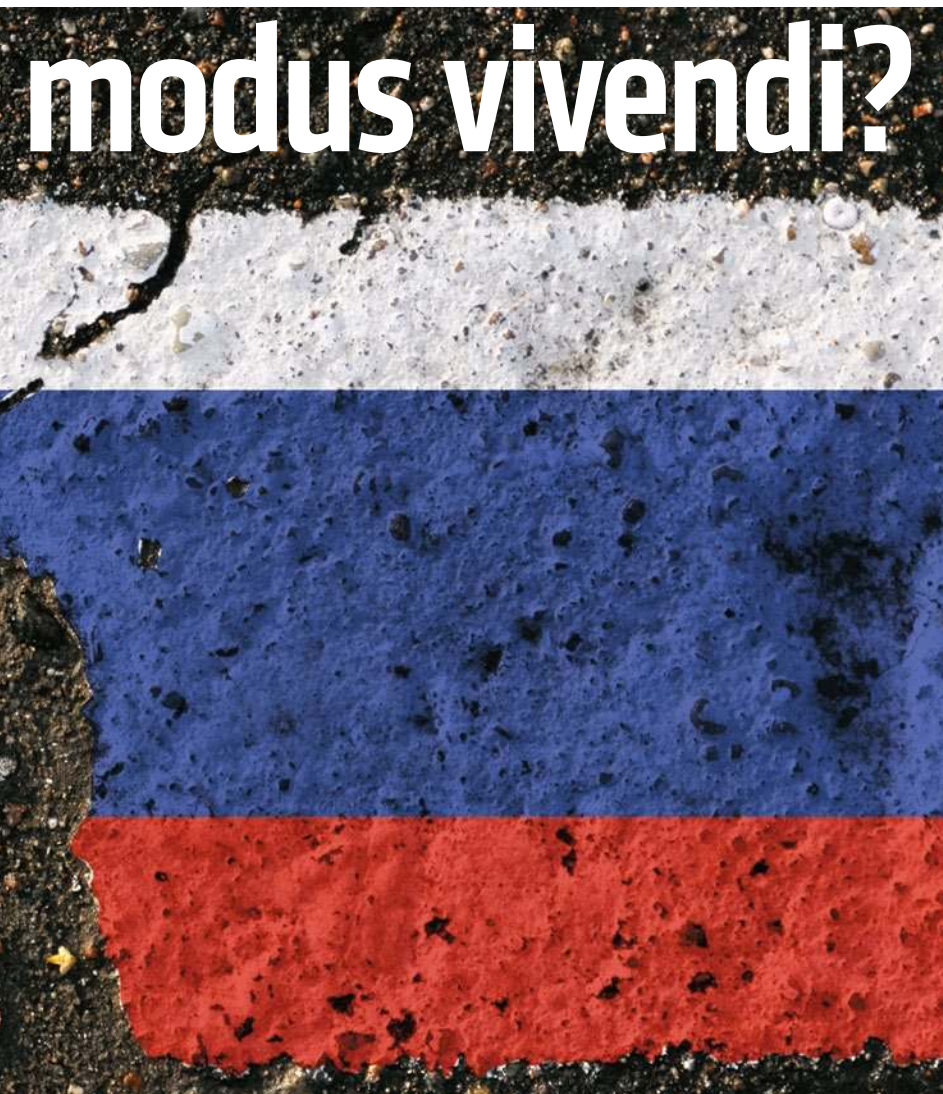
Po 1989 r. władze niepodległej Polski były wierne tej linii postępowania wobec naszych wschodnich sąsiadów, starając się wpływać najpierw na zachodzące w tych państwach procesy emancypacji wobec Związku Sowieckiego (później Rosji), a następnie ich wewnętrznej demokratyzacji. Wystarczy choćby przy-

pomnieć, że Polska jako pierwsza, obok Kanady, uznała niepodległość Ukrainy i niezmiennie wspiera Kijów w wojnie z Moskwą toczoną od 2014 r. Jednak najlepsze, co mogliśmy zrobić, to powiadzić władzom ukraińskim, że po udanej obronie Kijowa na przełomie lutego i marca 2022 r. należało z pozycji odniesionego sukcesu doprowadzić do pokoju z Rosją. Byłby on wtedy na dużo lepszych warunkach, niż stanie się to obecnie.

Natomiast próba obalenia w 2020 r. prezydenta Alaksandra Łukaszenki z udziałem Warszawy nie powiodła się, co zaostrzyło nasze stosunki z Białorusią. Zatem z planowanego wzniesienia kolejnych kolorowych rewolucji od Kijowa przez Mińsk do Moskwy udało się tego dokonać tylko w pierwszym przypadku.



modus vivendi?



Powyższe wydarzenia zmuszają nas do zastanowienia się, czy dobrze określiliśmy, na czym miałyby polegać wycofanie się Polski ze Wschodu? Czy nie należałoby jasno uznać, że dzieje imperium polsko-litewskiego są ostatecznie zakończone i że interes Polski na tych terenach polega jedynie na ochronie naszej mniejszości narodowej, zabytków narodowej kultury, cmentarzy oraz utrzymywaniu dobrych stosunków ze wszystkimi naszymi wschodnimi sąsiadami? Byłaby to treść naszej Ostpolitik. Polska okazała się zbyt słaba, żeby móc efektywnie wpływać na przebieg wydarzeń politycznych na Wschodzie. Najwyższa pora, żeby z tego faktu wyciągnąć wnioski i uznać zwycięstwo Rosji w kilku wiekowych zmaganiach o dominację nad

terenami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

AIDEOLOGICZNE MOCARSTWO

Tłem procesów zachodzących na wschód od naszych granic jest konsolidacja Rosji w roli regionalnego – nie globalnego jak ZSRS – mocarstwa. Proces ten dokonał się w okresie rządów Władimira Putina, które nastąpiły po jelcynowskiej smucie. Wydawało się wtedy, że Moskwa zostanie pozbawiona dochodów z własnych bogactw naturalnych, o których niektórzy przedstawiciele Zachodu zdawali się sądzić, że są jej nienależne. Obrona interesów Rosji, a równocześnie jej pozycji w ramach systemu międzynarodowego, zachwianej w wyniku rozpadu Związku Sowieckiego, stawiała się koniecznością.

Jednocześnie euroazjatycki kolos nie stał się ponownie ideologicznym mocarstwem, próbującym otoczeniu międzynarodowemu narzucić swoje wyznanie wiary. Tak nie jest. Putinowska Rosja nie wraca do komunizmu, nie szerzy idei jedności słowiańskiej, nie jest nosicielem prawosławnego prozelityzmu, nie walczy o realizację zasad demoliberalizmu z nieodzowną dlań ideologią gender, czym tak szczytą się obecnie Stany Zjednoczone, czy nie niesie na sztandarach przeróżnych innych uroszczeń prawo-człowiecznych. W rezultacie nie ma żadnych przesłanek, żeby uznać współczesną Rosję za mocarstwo ideologiczne, przepojone rewolucyjną pasją.

Czy zaprzeczeniem aideologicznego charakteru Rosji jest to, że na jej czele stoi ekipa mająca za sobą służbę w sowieckich strukturach specjalnych (KGB i GRU)? To nic nadzwyczajnego, skoro prezydent George H.W. Bush pełnił uprzednio stanowisko dyrektora CIA. Oczywiście wiemy, że to zupełnie co innego, skoro agencja z Langley działa w interesie demoliberalnego Imperium Dobra. Czy wreszcie obronę własnej strefy wpływów należałoby uznać za właściwy jedynie Moskwie przejaw imperializmu? A co w takim razie z doktryną Jamesa Monroe'a z 1823 r., gdzie uznano całą zachodnią hemisferę za wyłączną domenę Stanów Zjednoczonych, a obecność tam państw trzecich za niepożądaną?

Rosja jest zatem mocarstwem aideologicznym, a jej elity rozumieją system międzynarodowy w kategoriach tradycyjnego koncertu mocarstw i gry narodowych interesów. Strefy wpływów podmiotów dominujących w tym systemie są jego niezbywalnym elementem. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż światowa polityka od zawsze zorganizowana była w ten sposób, że jej aktorami są tylko mocarstwa i ich wasale lub ofiary. Wszystko inne jest niebezpiecznym złudzeniem.

Do schyłku XVII w. imperium polsko-litewskie było mocarstwem, ale później mieliśmy dwie opcje: bycie wasalem lub ofiarą, przy czym częściej wybieraliśmy tę drugą rolę, uważając chyba, że jest bardziej szlachetna.

Dziś Polska wobec rosyjskiego mocarstwa nie stoi przed koniecznością dokonania wyboru: być jego wasalem

■ czy ofiarą, gdyż daje nam to obecność w NATO. To poczucie przynajmniej względnego bezpieczeństwa należy oczywiście wzmacniać powiększaniem własnej siły zbrojnej i odporności państwowej w ogóle.

W momencie uznania przez Polskę, że dzieje imperium polsko-litewskiego są ostatecznie zakończone, a nasz interes na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego ma ściśle określony charakter, o czym już pisałem, znika podstawowe źródło konfliktów polsko-rosyjskich. Możliwość współpracy (zarówno politycznej, jak i gospodarczej) między naszymi państwami wzmacniałaby również a ideologiczny charakter euroazjatyckiego kolosa. Struktura rosyjskiej gospodarki, oparta na eksporcie surowców energetycznych, nie może rodzić groźby zdominowania Polski, jeśli tylko w dostatecznym stopniu dokonamy dywersyfikacji źródeł energii oraz oprzemy się o własne zasoby. Wszystko to razem mogłoby prowadzić do ustanowienia jakiegoś rodzaju *modus vivendi* między Warszawą a Moskwą.

GROŹBA WSPÓŁPRACY NIEMIECKO-ROSYJSKIEJ

Przeciwnicy tak rozumianego *modus vivendi* w stosunkach polsko-rosyjskich powiedzą, że jest ono niemożliwe nie tylko ze względu na sprzeczność interesów występujących między naszymi państwami na obszarze dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego czy rosyjski imperiaлизм, lecz także dlatego, iż po zakończeniu wojny na Ukrainie ponownie dojdzie do zacieśnienia współpracy niemiecko-rosyjskiej, która siłą rzeczy byłaby wymierzona w polskie interesy. To jest ważna teza, dobrze uzasadniona historycznie, gdyż zarówno współpraca prusko-rosyjska w drugiej połowie XVIII w. przesądziła o rozbiorach państwa polsko-litewskiego, jak i porozumienie niemiecko-sowieckie z 23 sierpnia 1939 r. przyczyniło się do kresu niepodległej Polski.

Lekcja, którą powinniśmy wyciągnąć z upadku Rzeczypospolitej pod koniec XVIII w. i losu państwa polskiego u progu drugiej wojny światowej, nie sprowadza się do tego, żeby zostać wasalem któregoś z naszych wielkich sąsiadów – chociaż i tego nie można wykluczyć, gdyby tylko w taki sposób można było

Rosyjskie elity rozumieją system międzynarodowy w kategoriach tradycyjnego koncertu mocarstw

uratować dalsze istnienie własnego państwa.

Jej prawidłowo odczytany sens polega raczej na tym, że należy uczynić wszystko, żeby nie dopuścić do odnowienia się współpracy niemiecko-rosyjskiej, względnie osłabić jej natężenie. W dzisiejszych realiach oznacza to konieczność nawiązania na tyle owocnej współpracy między Warszawą i Moskwą, a z pewnością z udziałem Mińska i być może Kijowa, żeby zelaża chociaż nieco intensywność kooperacji na linii Berlin – Moskwa. Oczywiście to Moskwa decydowałaby, kogo wybierze na swego partnera: Berlin czy Warszawę.

Sprawa staje się pilna w sytuacji nieuchronnego odejścia Stanów Zjednoczonych z Europy, a przynajmniej na minimalizowaniu tej obecności w naszej części kontynentu. Tym samym Polska przestanie być użytecznym antyrosyjskim partyzantem i nadzieje na amerykańskie wsparcie mogą stać się kolejną ułudą, bo nie w tym zakątku Eurazji rozstrzygają się losy hegemonii USA.

Ustanowienie polsko-rosyjskiego *modus vivendi* sprawiłoby, że nasza polityka zagraniczna nareszcie mogłaby przestać być bezalternatywna. Dotąd jakiegolwiek kombinacje dyplomatyczne Polski z udziałem Rosji nie wchodziły w grę. Teraz pojawiłoby się przed nami więcej możliwości wyboru, a to podniosłoby znaczenie naszego państwa w stosunkach międzynarodowych. O takiej sytuacji pisał Adolf Bocheński w 1937 r. w pracy „Między Niemcami a Rosją”, wskazując, że po powstaniu niepodległej Ukrainy moglibyśmy uzyskać możliwość wyboru między nią a Rosją, co zwiększyłoby nasze znaczenie w polityce międzynarodowej. Właśnie w tym momencie obecnie się znajdujemy.

CZY TO MOŻLIWE?

Będąc reprezentantem tradycji antyrosyjskiego patriotyzmu, mógłby tego

dokonać Jarosław Kaczyński. Może wydawać się to niemożliwe, być rodzajem fantasmagorii, ale także w przypadku gen. Charles’a de Gaulle’a, sztandarowego reprezentanta francuskiego patriotyzmu z okresu drugiej wojny światowej, który na początku lat 60. ubiegłego wieku zrezygnował z Algierii, sprawa wyglądała równie nierealnie.

Ale przecież o takiej ewentualności może świadczyc zapomniane orędzie „Do przyjaciół Rosjan”, nawiązujące tylko w tytule do znanego wiersza Adama Mickiewicza, wygłoszone przez prezesa PiS w LXV rocznicę kapitulacji Rzeszy Niemieckiej – święta tak ważnego dla putinowskiej Rosji. Tym razem w roli szlachetnych Rosjan wystąpili nie opozycyjni działacze, a Rosjanie *tout court*, zaskakujący był też brak jakichkolwiek pouczeń, jak mają oni prowadzić swoje sprawy publiczne. „Są w historii takie momenty, które potrafią zmienić wszystko, które potrafią zmienić bieg historii. Mam nadzieję i taką nadzieję mają także miliony Polaków, w tym także ci, którzy popierali Lecha Kaczyńskiego, że taki moment nadchodzi, że dojdzie to tej wielkiej potrzebnej zmiany, dla nas, dla naszych dzieci, dla naszych wnuków” – mówił Kaczyński. Wtedy tak się nie stało. Ale czy nie dałoby się tej sprawy podjąć na nowo? A może wówczas chodziło jedynie o potrzeby kampanii prezydenckiej, w której uczestniczył prezes PiS, a nie o jakiegolwiek działanie o znaczeniu historycznym?

Obecnie widać, że nie będzie polsko-rosyjskiego *modus vivendi* bez względu na to, jak byłoby ono nam potrzebne. Decydują o tym kilkunastoletnia narracja o zamachu smoleńskim dokonanym przez duet Putin-Tusk oraz nieprzytomna nagonka antyrosyjska i antyputinowska rozpętana po zintensyfikowaniu wojny na Ukrainie pod koniec lutego 2022 r. Polska nie prowadzi żadnej własnej polityki wobec Wschodu – jest jedynie narzędziem w rękach państw zachodnich, co potęgowane jest rodzimą chorobą na Moskała. Mimo wszystko nie można wykluczyć boskiej niespodzianki, cytując Charles’a Maurrassa w kontekście upadku III Republiki w wojnie z Niemcami w 1940 r., choć nic o tym nie wiemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Miesiąc temu „Gazeta Wyborcza” pisała: „Lex Kamilek» paraliżuje pracę szkół”. Ja w „Do Rzeczy” pisałem, że tak będzie, już pod koniec sierpnia. Było to jasne dla każdego, kto umiał czytać ustawy, znał praktykę funkcjonowania polskiego państwa i rozumiał związki przyczynowo-skutkowe. Odpowiedzialnych za chaos i zwyczajnie głupie prawo dziś oczywiście nie ma. A może po prostu mają poważniejsze problemy – wszak za „lex Kamilek” stało Ministerstwo Sprawiedliwości z czasów Zbigniewa Ziobry, a konkretnie – wiceminister Marcin Romanowski.

Ta ustawa, w teorii mająca chronić dzieci, a w praktyce tworząca cały zestaw absurdalnych albo całkowicie fikcyjnych obowiązków, to typowy przykład fatalnego populizmu prawnego – czy może raczej populizmu w ogóle – którego kolejne przykłady pojawiają się regularnie.

Mają one wspólne cechy. Po pierwsze – prawie zawsze impulsem do podjęcia gorączkowych działań są pojedyncze wydarzenia. Niemal nigdy się nie sprawdza, jak mają się one do ogólnej statystyki. Inaczej mówiąc, podejmuje się działania regulacyjne, nie patrząc w ogóle, czy dotyczą one czegoś, co można określić jako „zjawisko” lub nazwać systemowym problemem, czy też mamy do czynienia z odizolowanym, pojedynczym faktem lub ewentualnie całkowicie sporadycznymi incydentami.

Po drugie – sprawa, którą na warsztat biorą politycy, musi epatować „słuszością moralną”. Inaczej nie jest atrakcyjna. Po trzecie – regulacje przygotowywane są na chybcika, byle jak, z błędami i bez odpowiedniej analizy skutków. Po czwarte – podjęte działania oznaczają wprowadzenie zakazów lub nakazów i ograniczenie wolności. Przy czym i tak są stosowane wybiórczo, bo zwykle są niemożliwe do konsekwentnego i masowego egzekwowania. Po piąte – skutki na ogół są fatalne i utrudniają życie zwykłym ludziom. Po szóste wreszcie – populizm prawny to ulubiona zabawka każdej władzy. Uprawiał go rząd PiS i teraz uprawia rząd koalicji KO-Trzecia Droga-Nowa Lewica.

O dwóch przypadkach populizmu prawnego w „Do Rzeczy” w ostatnim czasie pisałem. Jeden to wspomniana „lex Kamilek”, drugi to walka z alko-

kami. Trzeci przykład, o którym więcej w dalszej części artykułu, to walka z „bandytami drogowymi”. Przypomnijmy najpierw jednak pokrótce dwa pierwsze przypadki, pokazując, że idealnie pasują do opisanego wyżej schematu. Najpierw „lex Kamilek”.

TRAGEDIA JAKO IMPULS

Po pierwsze – impuls. Impulsem do stworzenia regulacji była tragiczna sprawa z początku 2023 r. Ośmioletni chłopiec z Częstochowy był dręczony i katowany regularnie przez swojego ojczyma. Zmarł w szpitalu na początku maja tamtego roku. Rodziną zajmowały się wcześniej ośrodki pomocy społecznej

czające m.in. konieczność opracowywania przez tysiące instytucji zbędnych i nie niewnoszących „standardów ochrony małoletnich”, czytałem, że bronię dręczycieli dzieci.

Po trzecie – regulacje przygotowano w tempie zaiste stachanowskim. Kamilek zmarł 8 maja, a ustawę Sejm uchwalił już 13 lipca. Czy w takim czasie można przygotować sensowne prawo, obejmujące wiele dziedzin działania państwa oraz instytucji państwowych i prywatnych? To oczywiście pytanie retoryczne.

Po czwarte – zakazy i nakazy. Ustawa nie tylko oznacza multum zbędnych i uciążliwych wymogów dla instytucji i obywateli, lecz także powoduje, że

Prawny populizm



Łukasz Warzecha

**Przez jedną tragedię dziecka wiele osób musi zdobywać
zbędne zaświadczenia, a przez jeden wypadek ucierpią
miliony zwykłych kierowców**

oraz sądy rodzinne w Częstochowie i Olkuszu. Przy czym zaproponowane po tej sprawie regulacje mają się nijak do tego konkretnego przypadku, ponieważ Kamilek był katowany w domu. Nawet gdyby ustawa „lex Kamilek” już wtedy istniała, praktycznie nic by tutaj nie zmieniła. Problemem było stosowanie już istniejących przepisów.

Po drugie – słuszość moralna. Ten czynnik jest oczywisty. Gdy wskazywałem na fatalne przygotowanie prawa i jego absurdalne konsekwencje, ozna-

wielu z nich nie będzie mogło uczestniczyć w aktywnościach z dziećmi tak jak do tej pory. Nie dlatego, że byli karani, tylko dlatego, że uzyskanie zaświadczenia o niefigurowaniu w rejestrze karnym oraz sprawdzenie, czy dana osoba jest notowana w rejestrze przestępców na tle seksualnym, staje się zbyt dużą uciążliwością, zwłaszcza jeśli potrzebne jest to komuś nie do pracy zawodowej, ale do dodatkowej aktywności, którą zajmował się dotychczas w wolnym czasie i na zasadach wolontariatu.

■ Po piąte – skutki to wspomniany paraliż w wielu dziedzinach, godziny zmarowane w kolejkach po zaświadczenia, standardy ochrony małoletnich w szkołach nakładające na nauczycieli idiotyczne ograniczenia, np. zakaz posiadania uczniów wśród znajomych w mediach społecznościowych. Nieprzewidywanie tych rezultatów wystawia zdolnościom intelektualnym projektodawców „lex Kamilek” jak najgorsze świadectwo.

Po szóste – tę regulację przygotował rząd Zjednoczonej Prawicy. Także ten właśnie rząd – również pod wpływem pojedynczego wypadku – wprowadził fatalny przepis o konfiskacie pojazdów „pijanym” kierowcom. Obecny rząd zasłużył się walką z alkotubkami, a teraz intensywnie pracuje nad populistycznym uderzeniem w kierowców. Populizm prawny nie ma barw partyjnych.

AWANTURA O ALKOTUBKI

Spójrzmy teraz na sprawę alkotubek, ponieważ od czasu, gdy pisałem o niej na stronach naszego tygodnika, rzecz lekko posunęła się do przodu. Najpierw wysłany został przez premiera Tuska do resortu „Czesław” (Siekierski, minister rolnictwa), który miał załatwić sprawę rozporządzeniem w ciągu paru godzin. Rozporządzenie faktycznie się pojawiło, z tym że od 17 października tkwi na etapie Komisji Prawniczej Komitetu Stałego Rady Ministrów. To oznacza, że stan prawny się nie zmienił – alkotubki są wciąż całkowicie legalne, podobnie jak były w dniu afery.

W projekcie rozporządzenia zastosowano zaś kompletnie niejasne pojęcie „budzenia wątpliwości”: „Wprowadzane do obrotu napoje spirytusowe w opakowaniach w postaci butelki albo puszki nie mogą budzić wątpliwości ani wprowadzać w błąd odnośnie do danych umożliwiających identyfikację środka spożywczego oraz odróżnienie go od innych środków spożywczych”. „Budzenie wątpliwości” jest terminem nieostrym – nie wiadomo, na czym takie wątpliwości miałyby polegać. Jak je zmierzyć i kto miałby je mieć? Inspektorzy Państwowej Inspekcji Handlowej? Przypadkowi klienci? Czy może sam premier? Tego typu regulacja jest nieakceptowalna z punktu widzenia swobody handlu. Przedsiębiorca musi mieć jasność, co mu wolno, a czego nie.

Mamy też na stronach kancelarii premiera informację o projekcie zmian w Ustawie o wychowaniu w trzeźwości (na razie projektu nie ma w wykazie prac Rządowego Centrum Legislacji). „Proponowane rozwiązania odnoszą się zarówno do kwestii wyglądu opakowania napoju alkoholowego oraz wyglądu i treści zamieszczanych na nim informacji, jak i do materiału, z którego może być wykonane opakowanie – w przypadku opakowań o ilości nominalnej do 300 ml. Zaproponowano, aby opakowania te mogły być wykonane wyłącznie ze szkła lub metalu” – czytamy. Nietrudno sobie wyobrazić, że producenci podejść do sprawy tak, jak podchodziło się do socjalistycznych bzdur w PRL: wypuszczą na rynek opakowania o pojemności nominalnej 301 ml, których ograniczenia nie będą obejmować. Wówczas urzędnicy podejmą kolejną batalię z wyimaginowanym problemem, bazując na kryterium numer dwa z przytoczonych powyżej, czyli na moralnym wzmożeniu publiki domagającej się skutecznej walki z „rozpijaniem społeczeństwa”.

CZY WARTO ZMIENIAĆ PRAWO PO WYPADKU?

Spójrzmy teraz na trzecią odsłonę populizmu prawnego: walkę z „mordercami drogowymi”. Tutaj impulsem był przede wszystkim dramatyczny wypadek na Trasie Łazienkowskiej w połowie września, a także w jakimś stopniu wspomnienie o wypadku na A1, do którego doszło rok wcześniej. Gdyby polskie państwo podchodziło do takich sytuacji rozsądnie i na chłodno, a nie w duchu populizmu, prace nad ewentualnymi zmianami w prawie wyglądałyby zupełnie inaczej. Zamiast podniosłych tyrad o konieczności powstrzymania „drogowych morderców” zaczęto by od dokładnej identyfikacji problemu. Musiałoby to oznaczać drobiazgową analizę statystyk wypadków, tak aby stwierdzić, czy faktycznie mamy znaczący statystycznie kłopot z wydarzeniami tak tragicznymi jak to w Warszawie, a w związku z tym – czy w ogóle warto tu zmieniać prawo.

Dla porządku przypomnieć trzeba, że według danych Europejskiej Rady Bezpieczeństwa Transportu Polska w ciągu dekady 2013–2023 wykonała największy postęp w redukcji liczby śmiertelnych

Rezultaty populistycznych rozwiązań są zawsze takie same: problemy pozostają nierozwiązane, a pojawiają się skutki uboczne



wypadków na drogach spośród wszystkich państw UE. W tym czasie zanotowaliśmy spadek aż o 44 proc.! W tym samym okresie największy wzrost odnotowała zafiksowana na walce z tradycyjną motoryzacją Holandia: 20 proc. O tyle samo wzrosła liczba wypadków śmiertelnych na Słowacji, wychwalanej przez polskich ekspertów od bezpieczeństwa ruchu drogowego za drakońskie kary. Ba, Słowacja, stawiana w Polsce nierazko za wzór, to w ogóle ciekawy przypadek: odnotowywała w tej statystyce wzrosty niezależnie od tego, który okres weźmiemy pod uwagę. Tak samo było w czasie zawężonym tylko do lat 2019–2023: plus 9 proc. i 2022–2023: także 9 proc. W tym ostatnim okresie w Polsce nie nastąpiła żadna zmiana.

Przed zaproponowaniem zmian w ustawodawstwie trzeba by poszukać faktycznych, pierwotnych przyczyn tragicznych zdarzeń drogowych. Zbadać, w jakich one dokładnie okolicznościach miały miejsce – na jakich drogach, z jakim stanem infrastruktury, o jakiej porze dnia i roku. Trzeba by sprawdzić, jaki



FOT. ANDRZEJ STUCK

był stan techniczny pojazdów, a także spróbować zidentyfikować wspólne cechy sprawców: staż za kierownicą, wiek, liczbę otrzymanych wcześniej kar w związku z kierowaniem pojazdem. Dopiero taka analiza mogłaby wskazać, co powinno się zmienić w prawie. Jeśli w ogóle cokolwiek, bo całkiem możliwe, że żadne zaostrożenie przepisów nie jest potrzebne, a kluczem do zapobiegania dramatom jest lepsza egzekucja.

Mogą na to wskazywać okoliczności wypadku na Trasie Łazienkowskiej. Tam za kierownicę wsiadł człowiek kompletnie pijany, a przede wszystkim wielokrotnie karany orzeczeniami o zakazie prowadzenia pojazdów. Taki zakaz obowiązywał go również w momencie, gdy doprowadził do śmierci 37-latka.

Żona zabitego wypowiedziała się po raz pierwszy zaledwie trochę ponad tydzień temu. Portalowi brd24.pl powiedziała: „Ja się z jednej strony cieszę, że sprawa naszego wypadku została tak nagłośniona w mediach, bo dzięki temu wiem, że śmierć mojego męża będzie miała znaczenie. I mam nadzieję, że

może ktoś wyciągnie z tego wnioski, bo takich zdarzeń są setki”.

Można zrozumieć osobę wypowiadającą się w emocjach po śmierci kogoś najbliższego. Ale politycy nie mogą na takiej podstawie stanowić prawa. Wypowiedź żony ofiary nie ma zresztą wiele wspólnego ze statystyką wypadków. W 2022 r. uczestnicy ruchu będący pod wpływem alkoholu (może to oznaczać zarówno stan po spożyciu, który w wielu krajach pozwala normalnie poruszać się samochodem, czyli np. 0,21 promila, jak i kompletne upojenie alkoholowe, czyli np. 2 promile; może to również oznaczać kierujących samochodami i rowerami albo pieszych) spowodowali 1729 wypadków, w których zginęło 220 osób. Mówienie o „tysiącach” jest zatem całkowicie bezzasadne. Policja nie podaje niestety tak szczegółowych danych, ale wypadków tak drastycznych jak ten z Trasy Łazienkowskiej – sprawca kompletnie pijany, z zakazem prowadzenia pojazdów – z pewnością nie są tysiące ani nawet nie setki. Prawdopodobnie można je liczyć najwyżej w dziesiątkach lub nawet w jeszcze mniejszych liczbach.

Już na pierwszy rzut oka widać, co w tym konkretnym zdarzeniu – i podobnych – było problemem. To przede wszystkim nieegzekwowanie zakazu prowadzenia pojazdów. Wydawałoby się zatem, że cały wysiłek władzy powinien pójść w stworzenie skutecznego systemu nadzoru nad osobami, wobec których taki zakaz zostanie orzeczony.

Tymczasem dostaliśmy pakiet zapowiadanych zmian, które albo niczego w sprawie łamania zakazu kierowania nie zmieniają, albo uderzą w zwykłych kierowców niemających nic wspólnego z czynami takimi jak ten z września, którego sprawcą był Łukasz Ż. Dla przykładu: jeśli rząd planuje karać osoby prowadzące pojazd mimo orzeczonego zakazu zakazem dożywotnim, to nie będzie to mieć żadnego wpływu na wypadki w rodzaju tego na Trasie Łazienkowskiej, o ile nie zostanie uszczelniony system nadzoru. A na to pomysłów specjalnie nie ma. Zatrzymywanie praw jazdy za przekroczenie prędkości powyżej 50 km/h ma być poszerzone na drogi jednojezdniowe poza obszarem zabudowanym. Co to ma wspólnego z przypadkiem z Trasy Łazienkowskiej? Kompletnie nic. Co więcej, tego typu sankcje powinny być poprzedzone dokładną kwerendą obowiązujących ograniczeń, dzisiaj bowiem nietrudno trafić na absurdałne ograniczenie do 30 km/h pozostawione na takiej właśnie drodze po remoncie. Wystarczyłoby tam pojechać 81 km/h, żeby stracić prawo jazdy na trzy miesiące.

Rezultaty populistycznych rozwiązań są zawsze takie same: problem, który miały rozwiązać, pozostaje nierozwiązany, za to pojawiają się absurdałne skutki uboczne, dotyczące osób niestanowiących zagrożenia. Po wejściu zapowiadanych zmian w życie ludzie z orzeczonym zakazem prowadzenia będą jeździć nadal. Tak jak po wejściu w życie „lex Kamilek” krzywdziciele dzieci wciąż dzieci katują. Za to drakońskie kary dotkną już tysiące przeciętnych kierowców, a zaświadczenia o niekaralności muszą zdobywać nauczyciele gry na pianinie w domach kultury czy rodzice, których szkoły chciałyby wziąć do pomocy na szkolnej wycieczce. Ludzie zaś cały czas wierzą, że wszystko to dzieje się dla ich dobra.

Elon Musk niezwykle mocno zaangażował się w finisz kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych po stronie Donalda Trumpa, dwojąc się i trojąc na swoim osobistym koncie o imponujących zasięgach w posiadanej przez niego sieci społecznościowej X (dawniej Twitter), a także w terenie, w kluczowych do wygrania wyborów swing states. Odbывa tam spotkania z wyborcami oraz występuje z przytupem na co ważniejszych wiecach samego Trumpa. Musk na tym finiszu również obficie rozdaje swe dolary na rzecz mobilizacji amerykańskich obrońców konstytucji do udziału w głosowaniu, założony przez niego fundusz wyborczy America PAC ma zaś z założenia kontrować równie możliwe wpływy innego miliardera, znanego ze swej wyborczej filantropii George'a Sorosa.

To klarowane pozycjonowanie się i zaangażowanie Muska w tym wyjątkowo brutalnym starciu wyborczym wystarczająco tłumaczy, dlaczego ten popularny z racji swych licznych sukcesów technologicznych miliarder stał się, obok kandydata republikanów, głównym przedmiotem agresywnych werbalnych ataków pokroju niezwykle często stosowanej w tych dniach *reductio ad Hitlerum* (et consortes), w USA i nie tylko.

ALTER EGO PUTINA

Otóż w Elona Muska uderzył robiący sensację nagłówek z „Wall Street Journal”, a następnie uderzenie to zostało zwielokrotnione w wiodących amerykańskich mediach (i nie tylko), odpowiednio komentowane ad hoc przez eksperckie autorytety, to znaczy: intensyfikujące atmosferę sensacji, oburzenia i domyślnego potępienia. Nagłówek brzmiał: „Tajemne rozmowy Elona Muska z Władimirem Putinem” i był opatrzony nachalnie sugerującą grafiką, kolażem twarzy obu panów sugerującym wprost, że Musk i Putin to w zasadzie jedno i to samo. Wprawdzie brakowało jeszcze w tym wszystkim przywoływanej na pomoc przez demokratycznych zaklinaczy rzeczywistości postaci Adolfa Hitlera, ale z wypełnieniem tej luki w imaginariu odbiorców bezbłędnie poradził sobie dyżurny komentator Michael McFaul, były ambasador USA w Moskwie, dopowiadając w wypowiedzi dla CNBC: „To jak rozmowa z Hitlerem w czasie drugiej wojny światowej!”.

Kapiszonowe uderzenie w Muska



Elon Musk i Donald Trump podczas wiecu wyborczego w Butler w stanie Pensylwania, 5 października 2024 r.

FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES



Wojciech Golonka

Zaangażowanie Elona Muska w wyjątkowo brutalnym starciu wyborczym w USA tłumaczy, dlaczego ten popularny miliarder stał się, obok kandydata republikanów, głównym przedmiotem agresywnych werbalnych ataków

Co prawda, McFaul przyznał kiedyś między wierszami, przyparty do muru w debacie Munk Debates, że amerykańska dyplomacja sprawadza się do kłamania ile wlezie, niemniej karykaturalne odgrzanie przez „Wall Street Journal” skądinąd znanych już medialnie faktów zrobiło swoje – w eter poszła informacja, że jeden z filarów Trumpa w tej kampanii wyborczej, a zarazem prekonizowany przezeń na głowę departamentu do spraw wydajności rządu (i redukcji budżetu) to alter ego Putina. W zasadzie kryptoneonazista, a przynajmniej człowiek, który lada dzień może podjąć w administracji Trumpa na nowo dialog z Kremlem, bo przecież już jest notorycznie, ale jednak potajemnie, na łączach z Putinem. (Pamiętajcie zatem, czytelnicy, na kogo głosujecie i nie mówcie, że was nie ostrzegaliśmy).

Tymczasem absurd tego wyreżyserowanego polowania na czarownice potęgowało to, że wiele rozmaitych politycznych osobistości z różnych krajów, z sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych Antóniem Guterresem na czele, rozmawiało dokładnie w tym samym czasie z Władimirem Putinem na szczycie państw BRICS w rosyjskim Kazaniu i pozowało z nim z uśmiechem na ustach do politycznych shake-handów w świetle fleszy i kamer.

Napisałem, że chodziło o odgrzanie starych wieści na potrzeby bieżącej kampanii wyborczej i – w rzeczy samej – były to w dużej mierze fakty, o których Musk w przeszłości sam dyskutował publicznie: jego usługi „polowego” Internetu dla sił zbrojnych Ukrainy, ograniczenia, które w nich wprowadził w kwestii np. uderzeń ukraińskich na Krym, czy jego aprecjacja

tego konfliktu w ogóle, z obawą o możliwość eskalacji jądrowej w przypadku takich działań jak ukraińska próba odbicia Krymu. I wprawdzie Musk nie przechwalał się wcześniej, że to sami Rosjanie postawili go do pionu w kwestii Starlinka, jak głosił artykuł, grożąc mu odpowiedzialnością, jeśli z jego pomocą ukraińska armia zniszczyłaby np. Flotę Czarnomorską, to mimo wszystko o tej odpowiedzialności mówił wówczas otwarcie: „Gdybym przysłał na prośbę ukraińskich władz, SpaceX [dostawca Starlinka] byłby jawnie współodpowiedzialny za bardzo poważny akt zbrojny i eskalację konfliktu”.

Posunięcie Muska, troszczącego się o swój biznes, nie zmieniało jednak tego, że to właśnie z pomocą Starlinka siły zbrojne Ukrainy skutecznie polowały dronami na rosyjski sprzęt. Amerykańska generalicja chwaliła nawet, że dzięki satelitarnemu Internetowi Muska amerykańskie satelity wojskowe mogą skupić się na czymś innym (satelity, które skądinąd też są w stanie naprowadzać ukraińskie drony morskie – tym razem jednak na odpowiedzialność rządu USA). Pentagon przyjął też bez większych problemów do wiadomości deklarację Muska, że jego firma nie będzie w stanie ponosić dalej kosztów obsługi tysięcy terminali Starlink na Ukrainie, które to koszty Musk wyceniał na 20 mln dol. miesięcznie. Pentagon znalazł do tego ochotnika w postaci polskiego rządu i dalej robił w najlepsze wspólne interesy z Muskiem, przy okazji zamówień nośników rakietowych dla amerykańskich sił zbrojnych.

Jest to w sumie aspekt, który jedynie ukradkiem wybrzmiał we wspomnianym artykule „Wall Street Journal”, a co podkreślali co bardziej symetryczni komentatorzy: amerykańska administracja wie o kontaktach Muska ze stroną rosyjską, a jej jedyną reakcją jest w sumie „poczucie dyskomfortu” z tego powodu. Administracja natomiast nie potwierdziła doniesień o rzekomych regularnych kontaktach Muska z samym Putinem, do których odwoływali się autorzy artykułu, powołując się na bliżej nieokreślonych „amerykańskich, europejskich i rosyjskich oficjeli”.

NIECH MUSKIEM ZAJMIE SIĘ WOJSKO!

Reakcja Muska na sam artykuł była lakoniczna, choć znacząca: „Wszyscy wie-

dzą, że »New York Times« jest lewicową machiną propagandową. To, co mniej oczywiste, to to, że »Wall Street Journal« jest kontrolowany przez związki zawodowe dziennikarzy (lewicowych), a nie Ruperta Murdocha! To samo tyczy się prawie wszystkich starych koncernów medialnych”.

Reagował on także na komentarze, zwłaszcza te dotyczące dziennikarza Keitha Olbermanna, który grzmiał: „Trzeba zatrzymać Elona Muska i natychmiast pozbawić wolności. Działa na rzecz Rosji. Anulować wszystkie jego kontrakty, przejąć jego placówki, zamknąć w jednostce wojskowej. Teraz, prezydencie, nie jutro”. Co istotne, podobne brednie Olbermann wypisywał bez cenzury na należącym do Muska portalu X, gdzie ma ponad milion obserwujących. Korzystał więc właśnie z tego, o co Musk w ostatnim czasie tak zaangażowanie walczy: o wolność słowa, jak deklaruje, a przynajmniej o pluralizm informacyjny, bo na to wychodzi to w praktyce.

I dlatego nie bez powodu zbiorowy atak medialny na Muska należałoby w rzeczywistości łączyć z jego nieustanną krytyką stronniczości dawnych mediów, które według niego stały się tubami propagandowymi, i przeciwstawianiem im świetnie rozwijającego się portalu X, bijącego rekordy popularności wśród mediów społecznościowych, mimo złowieszczych wróżb bankructwa przy okazji zakupu Twittera przez Muska. Atak ten należy także zestawić z wypowiedzianą przez Muska wojną wyborczym wpływom Sorosa (i być może nie przez przypadek cios wyszedł właśnie z „Wall Street Journal”, który ma słabość do rodzinnego imperium filantropa – to na jego łamach inaugurował swe rządy Alexander, który przejął oficjalnie schedę po ojcu George’u), choć trzeba tu podkreślić diametralnie różną strategię Muska. Otóż jeśli rewolucjonista filantrop ochoczo dotował media celem doprowadzenia do zwycięstwa wyborczego swych pupili, to Musk zaangażował nie mniej okazałe środki w proces wyborczy, ale celem obrony ideałów amerykańskiej konstytucji z korzyścią nie dla mediów, a dla obywateli. Jego fundusz wyborczy America PAC zorganizował bowiem petycję w obronie pierwszej i drugiej poprawki do konstytucji, czyli wolności słowa i prawa obywateli do

noszenia broni (Musk zdroworozsądkowo twierdzi, że druga poprawka jest po to, aby chronić pierwszą). Jednak petycja jest jednocześnie loterią – wśród podpisujących codziennie, aż do wyborów, losowani są zwycięzcy czeków na milion dolarów każdy, przy czym podpisać petycję mogą jedynie wyborcy zarejestrowani w swing states.

Jaki był cel błyskotliwego miliardera? Ewidentnie, aby wyborcy identyfikujący się z amerykańską konstytucją i wynikającymi zeń wolnościami zarejestrowali się i poszli zagłosować, ponieważ wie on, że jest to petycja, która przypadnie do gustu w większości potencjalnym wyborcom Trumpa, których należy zmobilizować do wyborów. Nie jest też tajemnicą, że podobna petycja może jedynie budzić zgrzyt w samym obozie Kamali Harris – w ostatnim czasie takie tuzy demokratów jak John Kerry czy Hillary Clinton otwarcie krytykowały wolność słowa jako przeszkodę w kontrolowaniu ludzi i realizowaniu ich agendy politycznej. Stąd nie dziwi, że demokraci, którym dotychczas nie przeszkadzały szkle rewolucjonisty spod znaku społeczeństwa otwartego, chcą prawnie ograniczyć działalność Muska zachęcającą amerykańskich patriotów do pójścia do głosowania w kluczowych dla amerykańskich wyborów stanach.

Na razie wychodzi im to bez skutku i w sumie żałośnie. Wprawdzie do krytyki Elona Muska przystąpił sam Joe Biden, wytykając mu rzekomą hipokryzję, jako że Musk sprzeciwia się nielegalnej imigracji, a sam będąc na wizie studenckiej (a nie robotniczej), podjął w USA pracę zarobkową. Pomijając, czy jest to w ogóle zgodne z prawdą, trzeba przyznać, że jest to argument bardzo słabego kalibru przeciwko komuś, kto miał być zagrożeniem numer jeden dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych Ameryki i miałby trafić do wojskowego więzienia. Na razie zamiast pasiakiem Musk przechwalała się na wiecach kulturową kurtkę, którą dostał od sił powietrznych USA w ramach współpracy. Za kilka dni dowiemy się, czy Amerykanie wyślą go nie za kraty, a do Białego Domu, wraz z ekipą Donalda Trumpa, by mógł zapisywać kolejne karty historii USA. Obok tych, które już napisał.

Uroczystą Mszę Świętą w bazylice św. Piotra w niedzielę 27 października zakończył się Synod o synodalności. Dzień wcześniej zgromadzeni w watykańskiej auli Pawła VI synodaliści – nie tylko biskupi, lecz także świeccy – przegłosowali przyjęcie dokumentu końcowego. Wcześniej po każdym synodzie papież wydawali własne dokumenty, tylko w jakiejś części czerpiące z dorobku zgromadzenia. Tym razem Franciszek zrobił inaczej: ogłosił, że nie napisze osobnego tekstu, bo synodalny jest wystarczający. Papież nadał mu tym samym znaczny autorytet, wskazując, że wszystko, co w nim zapisano, trzeba traktować poważnie.

PRZEBUDOWA KATOLICYZMU

Tekst zawiera bardzo wiele sugestii reform w Kościele – i to nie byle jakich. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami w treści znalazły się praktycznie wszystkie wątki, na których bardzo zależało środowiskom progresywnym, głównie z krajów germańskich, ze Stanów Zjednoczonych i z Ameryki Łacińskiej. Z woli synodu w Kościele ma dojść do zmian w obszarze roli, którą odgrywają kobiety – możliwe jest nawet wprowadzenie żeńskiego diakonatu. Ma zostać przeprowadzona kolejna reforma liturgiczna – oczywiście o „synodalnym” charakterze. Na wszystkich etapach życia kościelnego – od parafii, przez diecezję i Konferencję Episkopatu, aż do Kościoła powszechnego – mają powstawać nowe gremia konsultacyjne, z dużym udziałem osób świeckich. Zmianie ma ulec sposób sprawowania władzy przez biskupa. Wreszcie – inaczej rozumiana będzie jedność w Kościele, oglądana teraz przez pryzmat różnorodności i odmienności rozmaitych kultur. Kościół katolicki będzie inny – a zmiany zostaną wdrożone w ciągu najbliższych kilku lat. Ich ostatecznym efektem będzie przebudowa katolicyzmu na miarę nowego soboru powszechnego. Ci, którzy sądzili, że po Soborze Watykańskim II Kościół nie spotka jeszcze długo porównywalnie wielkie trzęsienie ziemi, muszą zrewidować swoje przekonania.

Stali czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy” pamiętają może moje pierwsze teksty na temat synodalności, publikowane jeszcze w 2021 r., kiedy Franciszek ogłosił

Papież ogłosił rewolucję



Paweł Chmielewski

Synod chce zmian – i będzie te zmiany wprowadzać. Progresywni rewolucjoniści osiągnęli cele i doprowadzili do rozpoczęcia procesu głębokiej transformacji Kościoła. Z woli Franciszka nadchodzi drobiazgowa i dogłębna przebudowa katolicyzmu

rozpoczęcie globalnego procesu synodalnego. Wskazywałem wtedy – podobnie jak czyniło to wielu kardynałów i biskupów – że fundamentalnym problemem Synodu o synodalności jest to, że Kościół ma debatować nad czymś kompletnie niezdefiniowanym. Nikt nie wiedział, czym jest synodalność – i przyznawali to nawet ludzie otaczający papieża, mówiąc, że to pojęcie... trzeba dopiero bliżej określić. Wydawało się to kompletnym absurdem. Ojciec Święty przekonywał, że „synodalność” jest „konstytutywną cechą” Kościoła. Jak jednak „konstytutywne” może być coś, czego nie ma?

Sugerowałem wtedy, że skoro nie jesteśmy w stanie precyzyjnie określić przedmiotu całego procesu, to znaczy, że musi w tym wszystkim chodzić o coś innego – bynajmniej nie o jakąś enigmatyczną „rozmowę o byciu razem”, ale

Dokument finalny jest wprost usiany hasłami o „różnorodności” Kościoła

o całkiem konkretne reformy strukturalne, które głęboko przetworzą katolicyzm, który znamy. Nie wziąłem tych przypuszczeń z powietrza: dokładnie tak przedstawiali to kościelni liberałowie, którym papież powierzył nadzór nad całym procesem. Mieli rację. Dziś możemy stwierdzić, opierając się na twardych faktach: synodalność była i pozostaje workiem, do którego swoje idee napchali ludzie głęboko niezadowoleni z – ich zdaniem – nazbyt konserwatywnego kursu Kościoła



Uroczystą Mszą Świętą w bazylice św. Piotra w niedzielę 27 października zakończył się Synod o synodalności

FOT. STEFANO SPAZIANI/DPA/PAP

za pontyfikatów św. Jana Pawła II i Benedykta XVI; ci, którzy marzyli o pojednaniu katolicyzmu z nowoczesnością, przyjmując za własne zasadnicze postulaty oświecenia, z rewolucyjnymi hasłami wolności, równości i braterstwa na czele.

Jeżeli któryś z czytelników otworzyłby dokument finalny synodu, to musiałby zadać sobie pytanie: Jaka tak właściwie filozofia kryje się za tym tekstem? Nie ma tam odwołań do żadnej konkretnej eklezjologii, czyli nauki o Kościele. Wszystko opiera się wyłącznie na głęboko emocjonalnym entuzjazmie i przekonaniu, że rozpoczynamy nową epokę, w której Duch Święty objawia Kościołowi jakieś nieznane dotąd prawdy i sposoby istnienia w świecie. W praktyce mamy do czynienia z ożywieniem tego samego poglądu, który kierował najbardziej rewolucyjnymi interpretatorami

Soboru Watykańskiego II: ludźmi, których w najmniejszej nawet mierze nie interesowała treść tekstów przyjętych przez sobór, a którzy kierowali się wyłącznie własnymi oczekiwaniami i wyobrażeniami, przedstawiając je bałamutnie jako rzekomą „wolę Ducha” na nasze czasy. W tekście synodalnym jest tak samo: jedyną „twardą” podstawą propozycji jest po prostu niczym nieograniczona wola wprowadzania zmian.

„RÓŻNE OBlicZA” KOŚCIOŁA

Jakie to będą zmiany? Absolutnie kluczowa brzmi: decentralizacja. Dokument finalny jest wprost usiany hasłami o „różnorodności” Kościoła, który musi czerpać z lokalnych kultur po to, żeby „inkulturować” i „dostosowywać” Ewangelię. Słyszymy nieustannie o bogactwie „wielości”, o „różnych obliczach” Kościoła,

a nawet o odmiennym „tempie”, w którym katolicy mają „iść naprzód” w zależności od zakątka świata.

Decentralizacja rozumiana jako narastające lawinowo pogłębianie różnic w rozumieniu wiary i moralności narasta w Kościele od lat 60. XX w. Zaczęła się, kiedy św. Paweł VI wydał encyklikę „Humanae vitae”, przypominając o zakazie stosowania sztucznej antykoncepcji. Wiele episkopatów na świecie odrzucało wówczas nauczanie papieża, ogłaszając własne wytyczne w tej sprawie, niezgodne z linią Stolicy Apostolskiej. W kolejnych dekadach następował coraz większy rozdźwięk pomiędzy oficjalną nauką przekazywaną z Watykanu a tym, co głosili biskupi i księża w różnych krajach, przede wszystkim na Zachodzie. Papieże nie potrafili sobie z tym poradzić, ale do roku 2013 uznawali, że tego rodzaju atomizacja doktrynalna i moralna jest czymś zasadniczo złym.

Wraz z pontyfikatem Jorge Maria Bergoglia diametralnie się to zmieniło. Franciszek w swoim pierwszym dokumencie, adhortacji „Evangelii gaudium”, wezwał właśnie do decentralizacji, krytycznie oceniając ludzi, którzy „śnią o monolitycznej doktrynie”. Zaczął wydawać decyzje sankcjonujące rozbięcie jedności wiary i moralności: „Amoris laetitia” o Komunii Świętej dla rozwodników w 2016 r., zgoda na udzielanie Eucharystii niektórym protestantom w 2018 r., wreszcie błogosławienie par LGBT pięć lat później. To, co uchodziło dotąd za ranę w organizmie Kościoła, stało się nagle normą. Dokument synodalny, naszpikowany pochwałą „różnorodności”, mierza w oczywisty sposób do strukturalnego usankcjonowania tego stanu rzeczy.

SKRAJNE INTERPRETACJE

Miałem w ostatnim czasie okazję pytać o to wielu hierarchów i być świadkiem wielu rozmów na ten temat – zarówno w Polsce, jak i w Rzymie. Biskupi progresywni, tacy jak Georg Bätzing, Franz-Josef Overbeck czy Robert McElroy, nie ukrywali, o co chodzi, i mówili o decentralizacji doktryny i moralności zupełnie wprost. Biskupi z Polski unikali jasnych deklaracji, przekonując zawsze, że chodzi, owszem, o możliwości podejmowania w różnych krajach własnych decyzji, ale „w jedności”

z Kościołem powszechnym. O jakiej jedności jednak mowa, kiedy rzeczy stanowiące dla katolika w Polsce grzech śmiertelny dla katolika w Niemczech są powodem do dumy? To kpina. Nie ma co ukrywać: w Kościele katolickim mamy do czynienia z intensywnym procesem „anglikanizacji” – poszczególne wspólnoty na świecie zgadzają się co do głównych zasad, ale różne rozwiązania „szczegółowe” interpretują skrajnie odmiennie. To będzie się teraz szybko pogłębiać – taka jest wyraźna wola papieża Franciszka, taką decyzję podał synod. Żaden z kardynałów i biskupów, których słyszałem, nie był w stanie wskazać, w jaki sposób synodalność miałaby doprowadzić do ujednolicenia wiary. Podkreślam: żaden. Kierunek jest odwrotny i jest to na tę chwilę nieodwracalne.

Zmiany dotkną też innych obszarów. Jedną z największych ma stać się zupełnie nowa rola kobiet. Dokument synodalny położył bardzo duży nacisk na konieczność przekazywania kobietom funkcji kierowniczych w Kościele, na wszystkich poziomach. Chodzi nie tylko o władzę w różnych istniejących już instytucjach, radach i organizacjach, lecz także o tworzenie nowych przestrzeni, w których będą mogły wykazać się aktywnością. Dotyczy to również posług liturgicznych. Papież Franciszek już po Synodzie Amazońskim wprowadził możliwość delegowania paniom posług akolitu oraz lektoratu – przygotowywania ołtarza i naczyń liturgicznych, udzielania wiernym Komunii Świętej, wykonywania czytań z Pisma Świętego podczas mszy itd. Synod wyraził jasne oczekiwanie stworzenia kolejnych nowych posług.

Jedną z nich może być diakonat. Od wielu wieków diakonat jest rozumiany w Kościele jako stopień sakramentu święceń, czyli kluczowy element przygotowania do kapłaństwa. W dokumencie synodalnym czytamy, że kwestia dopuszczenia do tej posługi kobiet jest „otwarta” i zostanie poddana refleksji. Wiemy, że najważniejsi ludzie wokół papieża są zdecydowanymi zwolennikami wydania w tej sprawie zgody. To np. Maltańczyk Mario Grech i Luksemburczyk Jean-Claude Hollerich, obaj z woli papieża zarządzający procesem synodalnym. Po przyjęciu powyższych zapisów w dokumencie synodu swojej radości nie kryli

Niemcy. Biskupi i świeccy z tego kraju oznajmili, że przeformowanie otwarcia debaty nad diakonatem kobiet jest ich wielkim sukcesem; tak jest w istocie.

Ma też dojść do przebudowy liturgii. Synod wyraził głębokie oczekiwanie uczynienia liturgii „bardziej synodalną”, to znaczy opartą o znacznie większe niż teraz „aktywne” uczestnictwo ludzi świeckich. W Rzymie pytałem o to polskiego kardynała Grzegorza Rysia, który brał udział w dyskusjach synodalnych, a tematy liturgiczne zna też z dyskusji prowadzonych w watykańskiej Dykasterii do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Kardynał, powołując się na prefekta tej instytucji, Anglika kard. Arthura Roche’a, powiedział mi, że „reforma liturgiczna jeszcze się w Kościele nie wydarzyła”, bo dziś Msza Święta jest „teatrem jednego aktora” i na skutek synodu ma to ulec zmianie. Przyznam, że słuchałem tych wyjaśnień z dużą konsternacją. Każdy człowiek obeznany z historią zmian liturgicznych po Soborze Watykańskim II wie, że w liturgii wprowadzono gigantyczne zmiany – o wiele większe, niż rzeczywiście życzyli sobie tego ojcowie soborowi. Kardynał Ryś powiedział jednak, że doszło tylko do „zewnątrznych” transformacji, a chodzi o to, by wprowadzić reformę odpowiadającą „duchowi”. Jak domniemywam, duchowi soborowo-synodalnemu. Tak jak wskazywałem wcześniej, nieważna jest litera przyjętych tekstów, ważne jest, czego oczekują pracy do przebudowy katolickiej liturgii awangardziści „odmienionego Kościoła”.

ZAMACH NA APOSTOLSKĄ STRUKTURĘ KOŚCIOŁA

Co jeszcze zaproponował synod? Na przykład znaczące wzmocnienie roli, którą odgrywają konferencje episkopatów. Takie konferencje wprowadzono w Kościele katolickim relatywnie niedawno, jako odpowiedź na powstanie państw narodowych. Biskupi zrzeszeni w ramach konferencji danego kraju mieli podejmować różne wspólne działania, żeby odpowiadać sprawnie na wyzwania, które postawiło przed nimi zaistnienie świeckiego republikańskiego państwa. Konferencja episkopatu powstała w tym sensie jako ciało de facto polityczne, dlatego nie miała nigdy struktury opartej

na sakramentalnej hierarchii i stąd nie mogła krępować swobody decyzji pojedynczego biskupa. Zgodnie z konstytucją Kościoła to właśnie biskup, jako następca apostołów, odpowiada za powierzonych sobie wiernych. W dokumencie synodalnym proponuje się jednak nadanie konferencjom nowych kompetencji – aż do możliwości zobowiązywania każdego biskupa, który brał udział w obradach tejże konferencji. Mówiąc wprost: to po prostu zamach na apostolską strukturę Kościoła, która miałaby zostać teraz zamieniona na strukturę bardziej polityczną. Podobnych propozycji jest znacznie więcej i nie sposób ich tu wszystkich omówić; będę na pewno wracać do nich w kolejnych tekstach na ten temat.

Zmiany nie wejdą w życie od razu; trzeba przygotować się na relatywnie długi proces. W październiku 2023 r. papież Franciszek powołał dwie specjalne komisje, którym powierzył zadanie przygotowania szczegółowych projektów reform. W lutym 2024 r. dołączył do nich 10 kolejnych. Teraz w dokumencie synodalnym wyrażono oczekiwanie stworzenia jeszcze kilku komisji. Jest zatem prawdopodobne, że wkrótce przy Franciszku będzie działać nawet kilkanaście takich gremiów, nasyconych ekspertami wybranymi przez zwolenników synodalności. W oczywisty sposób narzuca się analogia do schematów opracowanych przed Soborem Watykańskim II. Komisje mają zakończyć swoją pracę w połowie przyszłego roku. Podejrzewam, że Franciszek każe przedyskutować ich schematy kolejnemu zgromadzeniu synodalnemu. Zostaną wprowadzone różne zmiany, a następnie – może ok. 2027 r. – zbierze się jeszcze jeden synod. Wtedy zostanie uchwalona nowa, szeroko zakrojona reforma, swoista Konstytucja Kościoła Synodalnego na XXI w.

Kościół z „odnowioną” liturgią; zupełnie nową rolą świeckich, w tym kobiet; z całą masą synodalnych rad i gremiów obradujących na każdym możliwym etapie; z ograniczonymi kompetencjami biskupów; rozwijający się różnorodnie, zależnie od miejsca, kultury, kontynentu – to będzie inny Kościół niż ten, który znamy. Czy lepszy i wierniejszy Ewangelii? To pozostawiam już państwu do oceny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest publicystą portalu PCh24.pl.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Czy KL Warschau nie istniał?

Warszawa była jedyną stolicą kraju podbitego przez III Rzeszę, w której powstał niemiecki obóz koncentracyjny. Na szczęście dla nas działał tylko na skalę eksperymentalną, choć plany były dalekosiężne. Przyczyny ograniczenia tej skali były różne, ale najważniejsza dotyczyła braku możliwości jego względnego ukrycia przed świadkami.

O KL Warschau od lat toczy się spór – od całkowitej negacji jego istnienia do nadzwyczajnego powiększania jego rozmiarów i liczby ofiar.

Zajmijmy się tymi pierwszymi, czyli negacjonistami. Gdyby nie było konkretnych dokumentów z epoki (źródeł niemieckich oraz tych wytworzonych przez polskie organizacje konspiracyjne), a byłoby wyłącznie relacje i świadectwa, złożone kilkadziesiąt lat po wojnie, to można byłoby się spierać. Ale tak nie jest. Dokumenty niemieckie są rozstrzygające i zanegować się ich nie da. KL Warschau jest umieszczony nawet na mapach niemieckich z jednoznacznym jego wskazaniem.

Ale dla nas bardzo ważne są również polskie świadectwa. Według raportu wywiadu NSZ z Warszawy z 19 listopada 1943 r.: „W b[ylej] dzielnicy żydowskiej [...] w komorze gazowej zagazowano po raz pierwszy 150 Polaków, zatrzymanych z ostatnich łapanek na ulicach Warszawy [...]. Komora gazowa po pierw-

szym wypróbowaniu ma być czynną dla dalszych mordów Polaków. Przy ul. Gęsiej 26, gdzie się mieści komora gazowa, stoi czteroosobowy posterunek SS i nikt obok tego domu i do budynku nawet z wojskowych niemieckich nie jest wpuszczany, z wyjątkiem gestapowców”.

Nie jest to oczywiście świadectwo jedyne. Raport Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury Rządu z 22 listopada 1943 r. informował: „[...] w Warszawie ginie co dzień ok. 300 Polaków, którzy oprócz publicznych egzekucji traceni są w komorze gazowej, w więzieniu na Dzielnej oraz pod Raszymem”. Zachowało się również sporo raportów szczegółowych. Nie możemy ich odrzucić, bo przecież były sporządzane na bieżąco, a nie na użytek dzisiejszy.

Istnym kuriozum były natomiast enuncjacje Władysława Bartoszewskiego: „Nie było w Warszawie komór gazowych. Nie mieliśmy żadnych informacji o uśmiercaniu ludzi gazem”. Zaraz. Czyli kto nie miał żadnych informacji? Bartoszewski czy Polskie Państwo Podziemne? „Niemożliwe, by umknęło mi istnienie wielkiego obozu koncentracyjnego”.

Komu można w tej sprawie zaufać: dokumentom czy jednak negacjonistom, którzy kierowali się nie do końca znanymi nam przesłankami? Warto być przyzwoitym i nie zostawiać po sobie tak kompromitujących śladów. © ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

I była Polska na pierwszego

Jeżeli jedną z definicji „powstania” jest „zbrojne wystąpienie ludności przeciw dotychczasowej władzy okupacyjnej”, to wydarzenia z listopada 1918 r. można nazywać kolejnym powstaniem narodowym. Akcja zbrojna stała się bowiem koniecznością na ziemiach zajmowanych przez Austrię, której armia przestała istnieć, a żołnierze przemienili się w maruderów zagrażających bezpieczeństwu ludności cywilnej. Potrzebą chwili było zorganizowanie władzy, która zapobiegłaby rabunkom i gwałtom.

Rozbrajanie garnizonów austriackich rozpoczęło się 1 listopada i nie był to termin przypadkowy. Należało bowiem zneutralizować zdemoralizowanych żołdaków, a jednocześnie zadbać o środki do życia dla cywilów. Bezpieczeństwo miało bowiem wymiar także finansowy, a pierwszy dzień miesiąca był tradycyjnym dniem wypłat. Rozbrojenie garnizonów w tym terminie umożliwiałoby zabezpieczenie gotówki przed pozbawionym dyscypliny wojskiem i normalne funkcjonowanie społeczeństwa.

Jako pierwsze miasto w Polsce wyzwolony został 31 października Tarnów, kilka godzin później oswobodzono Kraków. Nie było żadnych ofiar śmiertelnych, zapewne dlatego tych wydarzeń nie nazywa się „powstaniem”,

a jedynie „rozbrajaniem wojsk okupacyjnych”.

Jak później mówiono, „ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego”. Rzeczywiście, akcję zbrojną przeprowadzono na terenach okupacji i zaboru austriackiego głównie pierwszego dnia listopada. Natomiast siedem dni później w Lublinie powołano Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Nazwa była wyjątkowo ważna, gdyż zrywała z ideą monarchistyczną (i oczywiście z Radą Regencyjną), poza tym gabinet miał być „ludowy”, czyli zapowiadający działania zgodnie z duchem sprawiedliwości społecznej. Faktycznie „rząd lubelski” obiecywał daleko idące reformy: upaństwowienie istotnych działów przemysłu oraz infrastruktury, reformę rolną połączoną z wywłaszczeniem ziemian, bezpłatną edukację, obowiązkowe ubezpieczenia społeczne.

Rząd lubelski istniał wprawdzie tylko przez kilka dni, ale jego znaczenie było olbrzymie. Wytyczył bowiem kierunek, w którym musiały iść kolejne polskie gabinety – w stronę państwa o ustroju republikańskim i demokratycznym. Uniemożliwił również bolszewizację Polski. Stało się bowiem jasne, że reformy społeczne będą realizowane przez rządy i niepotrzebne są do tego żadne rady robotniczo-chłopskie czy żołnierskie. © ©

Mężczyzna Prawdziwy



ks. prof. dr hab.
Adam Rybicki

Jeśli młody mężczyzna szuka dziś wzorców męskości, to powinien spojrzeć na Łukasza Cieplińskiego „Pługa”

Od wielu lat prowadzę spotkania i rekwizycje dla mężczyzn. Często sięgam do męskich wzorców osobowych, np. z Biblii czy filmów. „Wzorzec osobowy” to realna lub fikcyjna osoba, która przez swoją osobowość doskonałość wzbudza w innych osobisty „pociąg” do naśladowania oraz identyfikacji z przeżywanymi i rzeczywistymi przez nią wyższymi wartościami.

W dotychczasowej kulturze, nie tylko europejskiej, wzorce osobowe odgrywały wielką rolę w edukacji i wychowaniu, a naśladownictwo, zaliczane do silnych instynktów człowieka, jest w nas obecne już od wieku niemowlęcego.

W kulturze europejskiej jeden z najważniejszych wzorców osobowych mężczyzn wyłonił się z tzw. etosu rycerskiego: od „Iliady” do Sparty – te elementy ukształtowały potem etos średniowiecznego rycerza. Później też chętnie sięgano do etosu rycerskiego, chociaż nie wszystkie składniki dają się pogodzić z wyzwaniem i kulturą współczesności.

Przygotowując ten artykuł, stawiałem sobie za cel ukazanie mężczyzny, który dla innych mężczyzn mógłby być wzorcem osobowym. Żył całkiem niedawno. Nie zdezaktualizowała się żadna wartość, którą reprezentował i której służył. Mężczyźni, którym o nim opowiadałem, nie tylko mieli ciarki na plecach, lecz także poczuli podobne pragnienia, które miał ten Mężczyzna Prawdziwy.

1 marca to dzień śmierci Łukasza Cieplińskiego, właśnie ta data została ustanowiona jako Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Pułkownik Łukasz Ciepliński „Pług”, „Ostrowski”, „Ludwik”, „Apk”, „Grzmot”, „Bogdan” (1913–1951) jest postacią, która obok Witolda Pileckiego staje się symbolem walki Polaków z reżimem komunistycznym w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej. Walczył najpierw w wojnie

FOT. IPN

obronnej 1939 r. od pierwszych dni aż do kapitulacji Warszawy. W czasie wojny wykazał się wielką odwagą, bohaterstwem i poświęceniem, co potwierdzili świadkowie konkretnych zdarzeń i co zostało w niezwykle sposób uhonorowane Orderem Virtuti Militari. Kierował strukturami Armii Krajowej, włączył się potem w konspirację antykomunistyczną (WiN), stając się jednym z jej najważniejszych przywódców. Po okrutnym śledztwie i więzieniu trwającym trzy lata został zamordowany z wyroku sądu komunistycznego.

Długo po śmierci był wymazywany z pamięci potomnych lub jego pamięć była bezczeszczona m.in. przez nienawistne i kłamliwe publikacje. Ostatnia z nich ukazała się jeszcze w 1986 r. w tygodniku „Perspektywy”.

17 listopada 2013 r. w Rzeszowie stanął poświęcony mu pomnik. W ostatnich latach tych wyrazów upamiętnienia Łukasza Cieplińskiego jest coraz więcej, jednym z ostatnich jest wybita w 2019 r. przez Narodowy Bank Polski moneta o nominale 10 zł w ramach numizmatycznej serii „Wykłęci przez komunistów żołnierze niezłomni”. 1 marca 2021 r. Poczta Polska upamiętniła go na okolicznościowym znaczku pocztowym.

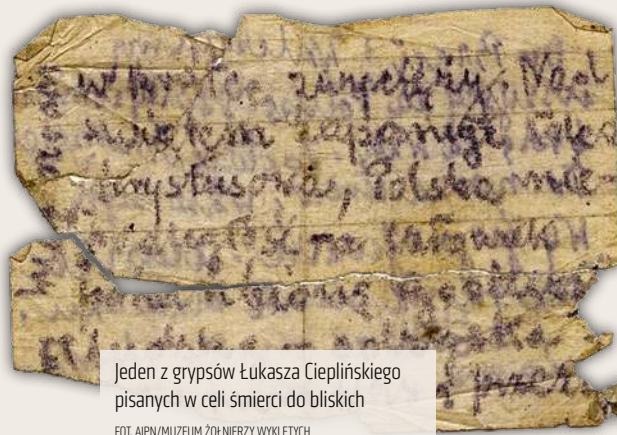
PISANE W CELI ŚMIERCI

Grypsy Łukasza Cieplińskiego są źródłem specyficznym i wyjątkowym z wielu względów. Były pisane w celi śmierci w okresie od grudnia 1950 r. do 3 lutego 1951 r. (czyli z ostatnich tygodni jego życia) jako pewnego rodzaju syntetyczne przesłanie skierowane do żony – Jadwigi Cieplińskiej, syna Andrzeja i innych członków najbliższej rodziny, a także żołnierzy. Są nie tylko symbolem pożegnania i ideowego (w tym duchowego) testamentu konkretnego człowieka, lecz całego pokolenia, nie tylko odsłaniają ostatnie życzenie, lecz także stanowią przesłanie moralno-duchowe.

Poza najwcześniejszym, pochodzącym z października 1950 r., napisanym na paczce po papierosach pozostałe grypsy napisane są ołówkiem chemicznym na bibułkach papierosowych o wymiarach 6,5 x 4,4 cm. Znane są miejsca przechowy-

wania oryginałów tych bibułek (w liczbie 38), natomiast kilka innych grypsów znanych jest tylko z publikacji, nieznany jest los oryginałów. „To, że dziś można je oglądać i odczytywać, wydaje się graniczyć z cudem” – napisali wydawcy najnowszej wersji z 2020 r. Począwszy od faktu możliwości pisania w celi naszpikowanej donosicielami, poprzez sposób wydostawania się ich z celi, a skończywszy na ich historii po wojnie, cudownego ocalenia i eksplozji zainteresowania nimi w czasach współczesnych, wszystko to jest ciągiem niewiarygodnych zdarzeń.

Według współczesnej wiedzy jest to jedyny tak duży i w swojej treści tak niezwykły zbiór nieoficjalnych listów osoby skazanej w latach reżimu komunistyczne-



Jeden z grypsów Łukasza Cieplińskiego
pisanych w celi śmierci do bliskich

FOT. AIPN/MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH

Przesłuchiwany był przez słynących z największego okrucieństwa oprawców UB: płk. A. Fejgina, płk. J. Różańskiego czy ppłk. J. Świątkę. Wiele miesięcy spędził w bardzo małej celi bez okien, z palącą się dzień i noc bardzo silną żarówką. Całymi miesiącami nie mógł wyjść na spacer ani się umyć. Podczas przesłuchań tłuczono jego głową o ścianę, wyrywano mu włosy z ciała, ze skroni, miażdżono jądra, wkładano ołówki między palce u rąk i ściskano. Gdy w czasie przesłuchania leżał już nieprzytomny na ziemi, przesłuchujący wchodzili na niego i deptali go. Gdy mdłał z bólu, oblewano go lodowatą wodą. Z powodu bicia w głowę omdlewał. Z przesłuchiwań przynoszono go do celi nieprzytomnego na kocu, zbroczonego krwią i wodą.

Co prawda, w ostatnim okresie między wyrokiem a śmiercią (czyli wtedy, gdy pisał grypsy) nie był już torturowany fizycznie, jednak ślady brutalnego traktowania były ciągle świeże. Jak w takim stanie mógł być autorem tak głęboko przemyślanych, logicznych, bogatych językowo tekstów, jak mógł zachować umysł pozwalający na formułowanie myśli zasługujących na określenie „pereł polskiej literatury więziennej”, pozostaje tajemnicą.

MŁODY „RYCERZ MARYI”

Fundamentami jego charakteru były oczywiście dom rodzinny oraz – w wieku, w którym wykuwa się męski charakter – lata spędzone w Korpusie Kadetów nr 3 w Rawiczu.

Rodzice wychowywali dzieci w duchu patriotyzmu i wiary katolickiej, byli dobrze sytuowani, ojciec Łukasza prowadził w Kwilczu piekarnię i sklep kolonialny. Jako dziecko był pilnym uczniem, a także wysportowanym i ciekawym życia chłopcem. O jego dziecięcym zachowaniu i charakterze świadkowie mówią w samych superlatywach. Znane były także jego zdrowa pobożność i uczestniczenie w praktykach religijnych.

Jego wstąpienie w wieku 16 lat do Korpusu Kadetów zostawiło w nim trwałe i głębokie ślady najważniejszych cech osobowościowych, wartości męskich, patriotycznych i religijno-duchowych.



Łukasz Ciepliński na czele pododdziału
62. Pułku Piechoty FOT. AIPN

Warto przypomnieć, że Korpusy Kadetów były elitarnymi szkołami na prawach liceum ogólnokształcącego, jednak z uwagi na to, że kształciły przyszłą kadrę oficerską, w swoim programie miały też szkolenie wojskowe i formację moralno-patriotyczną oraz duchową. W kadeckiej formacji chodziło także o nawiązanie do starej tradycji rycerskiej, jednak nowoczesność tych szkół polegała m.in. na tym, że program ogólnoedukacyjny i wojskowy ubogaczano takimi elementami jak: zwiedzanie zabytków Warszawy i Krakowa, wystaw, muzeów, miejsc kultury narodowej, fabryk, elektrowni, manufaktur itd. Kadeci uczestniczyli też w rocznicach powstań i innych wydarzeń patriotycznych, a także uroczystościach i wydarzeniach kulturalnych poświęconych takim postaciom jak Chopin, Mickiewicz, Reymont, Żeromski, Staszic, Słowacki, Sienkiewicz, Kościuszkowski, Kasprzowicz, Skłodowska.

Ślad tej szerokiej edukacji i formacji znajdzie się również w grypsach Łukasza Cieplińskiego. Jednak z czasów Korpusu Kadetów najbardziej zapamiętanym wydarzeniem przez młodego Łukasza będzie spotkanie z uczestnikiem powstania styczniowego, który mówił o swoich walkach, cierpieniach wojennych i więziennych znoszonych dla Boga i ojczyzny, a także o tym, że w jego pamięci tamtych wydarzeń pozostaje „nieracjonalne, wprost mistyczne przeświadczenie, że to, co polskie, osłonięte jest przyjaźnią tym, co boskie”.

W Korpusie Kadetów na zakończenie nauki został ogłoszony prymusem szkoły, a mogąc samemu wybrać nagrodę,

poprosił o ryngraf Matki Bożej, bo już w dzieciństwie obiecał Maryi, że będzie Jej „rycerzem”. Jeden z pierwszych biografów Cieplińskiego tak komentuje to wydarzenie: „Było to tak istotne w życiu polskich szkół militarnych, że zdjęcie Łukasza nagrodzonego ryngrafem Matki Bożej obiegło całą Polskę [...]. Decyzja Łukasza przypadła na czasy świadomości szerzonego sceptycyzmu – zarówno w stosunku do wiary jako życiowo istotnego faktu, jak i w stosunku do całego zakresu przeświadczeń wynikających z wiary. W czasie dominacji wielorakich nurtów myśli ateistycznej [...] decyzja młodziutkiego oficera polskiego wojska była trudna do zrozumienia”. Młody absolwent A.D. 1934 Korpusu Kadetów musiał także przy tej okazji wygłosić przemówienie. Łukasz osadził je na motywach tarczy i miecza: powiedział wtedy, że istotą podejmowanej działalności przez każdego polskiego żołnierza jest umiejętność chronienia tego, co jest Polakom drogą i bliskie (tarcza) oraz walki z każdym, kto te prawa narusza (miecz).

Po latach, w pierwszej o nim publikacji, która mogła ukazać się tylko za granicą, osobiście znający Cieplińskiego jezuita Stanisław Kluz napisał: „Zdolny organizator, ostrożny konspirator, patriota, idealista, a przy tym człowiek nadzwyczaj praktyczny. Posiada on przede wszystkim wielką umiejętność podejścia do ludzi i ich pozyskiwania oraz sięgania do ludzi nowych. Takich też ludzi ma wokół siebie. Prawie połowa z nich posiadała wyższe wykształcenie [...]”. Ciepliński wyprowadza WiN na najwyższy szczebel w historii jego istnienia, tak pod względem organi-

zacyjnym, jak i ideowym”. Łukasz Ciepliński w grypsach więziennych napisał, że dowodził 20 tys. żołnierzy.

ZAKORZENIENIE, CZYLI UWENWĘTRZNIE ZASAD

Na poziomie osobowości było w nim widoczne połączenie dojrzałej emocjonalności, błyskotliwego intelektu, sprawności sportowej, wrażliwości na sztukę, kulturę oraz głębokiej duchowości. Ta integracja to także połączenie żołnierskiego bohaterstwa z artystyczną wrażliwością i czułością wobec najbliższych, a na poziomie wyznaczanych wartości poważnego podejścia do Boga i kwestii etyki. To zakorzenienie duchowo-religijne norm moralnych – jak napisał kiedyś A. Kołakowski – pociąga za sobą głębokie konsekwencje, mianowicie wrażliwość na innych, świadomość wartości przekraczających osobiste dążenia.

Ten duchowy korzeń jest uzasadnieniem poświęcenia się dla innych, a także walki i przeciwstawienia się prawu stanowionemu, jeśli sprzeciwia się prawu naturalnemu. Zakotwiczenie postawy moralnej w religii – stwierdził A. Kołakowski – chroni godność osoby ludzkiej oraz jej prawdziwą, wewnętrzną wolność. Jako przykład autor podał trzy osoby: T. More’a, W. Pileckiego oraz właśnie Ł. Cieplińskiego. Kołakowski ocenia, że u źródeł postaw i bohaterskich zachowań wszystkich trzech mężczyzn były nie poglądy polityczne czy jakiegokolwiek osobiste dobra, lecz głęboka wiara i uwewnętrznione zasady moralne, obecne w ich codziennym życiu.

Ciepliński w jednym z grypsów zwraca się do swojego synka, Andrzeja: „Bądź Polakiem, to znaczy całe zdolności użyj dla dobra Polski i wszystkich Polaków [fragment nieczytelny]. Bądź katolikiem, to znaczy pragni[j] poznać wolę Bożą, przyjmij ją za swoją i realizuj w życiu. Katoli[k] to nie niedołęga, ale zdolny, przedsiębiorczy, służący dobru i walczący ze złem. Przez wyks[z]tałcenie umysłu i charakteru osiągnąć musisz odpowiednie stanowisko społeczne – by cele te móc realizować”. Ciepliński (w grypsach jest to obecne kilka razy) pragnie dla swojego syna „zajęcia stanowiska społecznego” – może domagać się tego z tego względu, że jakiegokolwiek „kariery” społeczną traktuje wyrażnie i wyłącznie na sposób służby.

W podobnym duchu w innym grypsie zwraca synowi uwagę na kwestię

pieniędzy: „Pamiętaj, środki materialne, pienią[dze], odgrywają dużą rolę, nigdy jednak nie mogą być Twoim celem”.

MĘŻCZYZNA WOLNY I SPOKOJNY

Mimo swojej głębokiej religijności i przywiązania do wartości etycznych, patriotycznych itd. Ciepliński nie utożsamia siebie z ideą, on jej służy, daje mu to wewnętrzny spokój, również wtedy, gdy spadają na niego cierpienia. Nasuwa się tu skojarzenie z wewnętrznym spokojem Jezusa w czasie pojmania, niesprawiedliwego procesu, biczowania itd. (podczas gdy Piłat i inni go nie zachowują).

Jak wynika z zeznań jednego ze współwięźniów, dr. Kazimierza Papary, współtowarzysze niedoli, których na sali było 30, gdy wyprowadzano „Pługa” na śmierć, ustawili się w dwusereg w pozycji „na baczność” i pożegnali pułkownika (i jego siedmiu kolegów) odprowadzanych na swoją ostatnią drogę. Ciepliński, wezwany do opuszczenia sali, prosił tylko o pamięć o sobie, żonie i synku. Nie rozpacział, lecz uśmiechem i uściskiem dłoni pożegnał się z towarzyszami.

W grypsach kilkakrotnie pojawia się termin „Idea Chrystusowa”: nie chodzi tu tylko o relację z Osobą Chrystusa, ale całą Ewangelię, o wierność Jego nauczaniu, co stanowi główny nurt duchowości Nowego Testamentu („Kto mnie miłuje, będzie zachowywał moją naukę” [J 14, 23]). Wymieniana tyle razy w grypsach „Idea Chrystusowa” jest fundamentem ideałów patriotycznych i cnót żołnierskich w jego życiu: „Świat zapadł się [w] nienawiści, brudzie i złej woli. Potrzeba nowych myśli i właściwego rozwiązania, którą Chrystusowa Idea” – napisał Ciepliński na bibule 20 stycznia 1950 r. To zdanie i kilka innych wskazują, że „Chrystusowa Idea” nie była wyłącznie czymś w teraźniejszości, za co warto dać życie, lecz także pewną nadzieją, która w przyszłości się spełni, nawet po jego śmierci.

Ksiądz Józef Maj zapisał, że przebywając w więzieniu, Ciepliński wyrażał wdzięczność księdzu kapelanowi Wardęrze za to, że będąc jeszcze w Rzeszowie i będąc zmuszony do częstych wyjazdów, nie mogąc być obecny na Eucharystii, został przez księdza nauczony tzw. Komunii

Świętej duchowej. To dało mu możliwość życia – jak zapisał ks. Maj – w ciągłej komunii z Jezusem, co było pomocne „nawet na tym dniu ludzkiego piekła”.

Ciepliński w jednym z grypsów zwraca się do żony: „Krzyż nieś mężnie, z godnością i spokojem”. Tak właśnie on sam podchodził do własnych cierpień i nadchodzącej śmierci. Świadkowie wyznali, że gdy był już wyprowadzany z celi na wykonanie wyroku śmierci, w pewnym momencie zatrzymał się, wyjął coś z buta i połknął. Był to maryjny medalik, który „Pług” nosił na szyi: chodziło o możliwość rozpoznania jego zwłok po śmierci – Ciepliński wiedział, że nie będzie miał pogrzebu, lecz jego zwłoki zostaną wyrzucone do bezimiennego grobu. Biorąc to pod uwagę, chciał zostawić w swoim ciele dowód do identyfikacji zwłok, gdy zostaną w przyszłości odnalezione.

DUCHOWOŚĆ TO ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Zapoznając się z grypsami odsłaniającymi charakter i duchowość „Pługa”, przypominają się słowa św. Pawła: „Nie dał nam

REKLAMA



ABP ANTONI BARANIAK

Obrońca Kościoła i bohater, którego nie możemy zapomnieć

NAJNOWSZA BIOGRAFIA AUTORSTWA CZESŁAWA RYSZKI

~~69,90 zł~~
48,90 zł

Zamów na www.esprit.com.pl
lub pod numerem telefonu 12 267 05 69



■ Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia” (2 Tym 1, 7). Moc, trzeźwe myślenie, a także miłość widoczne są niemal na każdym skrawku bibuły, na którym skazany pisał. Warto jeszcze dodać, że o „byciu mężnym” sam Ciepliński również wspominał, zwracając się do swojej żony: „bądź mężna!”. Wezwanie to pojawia się w kontekście poczucia niesprawiedliwości („zrobiono ze mnie bandytę i nie pozwalają mi tego wyjaśnić”), a także zachętę kierowanych do innych, by byli mężni. Ciepliński umacniał szczególnie tych, za których czuł się odpowiedzialny, było to widoczne w jego postawie o wiele wcześniej, już w czasie wojny, potem konspiracji i więzienia: wszędzie tam świadkowie zapewniają o jego trosce o podopiecznych żołnierzy.

Ten rodzaj męskiej troski – będącej wyrazem męskiej dojrzałości – można również, i to w podobnej sytuacji zagrożenia, zobaczyć w scenie Jezusa w Ogrójcu, gdy Pan mówi do żołnierzy: „Jeżeli więc mnie szukacie, pozwólcie tym odejść” (J 18, 8). Tutaj Jezus, sam będąc w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, troszczy się, by nic złego się nie stało jego uczniom.

W przypadku niewinnego cierpienia i krzywdy możemy obserwować u ludzi bardzo różne postawy, od złości, poprzez apatię, aż do skłonności do autodestrukcji. Jezus pokazuje w Ogrójcu w całej swojej postawie niezwykłą dojrzałość – troskę Pasterza o powierzone mu „owce”. Ciepliński sam cierpiąc, w bólu pociesza żonę w sposób, który przypomina troskę Jezusa o Maryję czy o płaczące niewiasty na drodze krzyżowej, gdy w grypsach pisze o swojej miłości do żony, używając określenia „święta miłość”.

OJCIEC ZZA KRAT

Ciepliński w grypsach zachęca (wtedy jeszcze malutkiego) syna, by wyjechał na studia na Zachód i tam „starał się zapoznać z bieżącymi problemami życia naukowego, gospodarczego, społecznego, kulturalnego i politycznego”. Wszystko to po to, „by uzyskać odpowiednią pozycję, aby móc realizować powyższe cele”. Andrzej powinien także dbać o zdrowie i sprawność fizyczną. W innym grypsie Ciepliński zaleca żonie, by sprawiła, aby syn „był rzutki, przedsiębiorczy, miał dużo inicjatywy, pracowity, prawdo-

mowny i odważny”. W dalszej części tego samego listu zwraca żonie uwagę, by zbliżyła syna do muzyki i sztuki, ponieważ „te dziedziny człowieka uszlachetniają”. Andrzej powinien także uczyć się angielskiego (dodatkowo: francuskiego lub niemieckiego) i łaciny – ta ostatnia „będzie mu potrzebna”.

W tych radach jest bardzo wiele wartościowych treści, które ojciec stara się przekazać synowi, jest jednak świadom – i o tym często w grypsach pisze – że niestety obecna sytuacja krzyżuje jego plany wielorakiego poświęcenia dla syna, towarzyszenia mu w jego wzroście. Ciepliński bardzo nad tym boleje.

Najważniejszym grypsem, niejako porządkującym wszystkie pragnienia ojca wobec syna, jest bibuła z 20 stycznia 1950 r., w której Ciepliński w punktach przekazuje „program” celów i zasad, którymi powinien kierować się w życiu. Do osobistych życzeń wobec syna należy też prośba, aby zachował on pamięć o wielu tysiącach bohaterów, którzy wraz z nim giną za ojczyznę, aby w przyszłości z żywymi nawiązał kontakt i opisał wszystko, co działo się w aktualnym czasie.

W grypsie, którego data ani miejsce pobytu oryginału nie są znane (opublikowany został jedynie w książce „Wierny przysiędze” Gabriela Brzęka), znajduje się krótki, trzyzdaniowy wpis, który w sposób niezwykle skondensowany oddaje ostatnie życzenie Cieplińskiego wobec syna: „Andrzejku! Pamiętaj, że istnieją tylko trzy świętości: Bóg, Ojczyzna i Matka. Bądź dobry dla Matki, zostań lekarzem, inżynierem, naukowcem lub ekonomistą, co wolisz. Nie zapominaj o ojcu i jego idei”. Wpis ten z jednej strony wyraża wszystkie pragnienia Cieplińskiego wobec swojego dziecka, z drugiej strony akcentuje konieczną wolność („co wolisz”), którą sam w sobie pielęgnował i cenił.

GRÓB SYNA I OJCA

Syn Łukasza Cieplińskiego, Andrzej, zmarł w wieku 26 lat w 1972 r. Na jego grobie w Rzeszowie spontanicznie powstał pewien rodzaj czci dla jego ojca. Z powodu braku wiedzy o miejscu pochówku pułkownika stworzono symboliczną mogiłę na grobie syna, czasem ktoś przychodzi tu modlić się i oddawać cześć „Pługowi”, na grobie Andrzeja od-

prawiało się swego czasu także Mszę św. Fakt ten jeden z biografów Cieplińskiego skomentował, że po wielu wiekach – dzięki Łukaszowi Cieplińskiemu – odżył w Rzeszowie starochrześcijański (pochodzący już z II w.) zwyczaj odprawiania Eucharystii na (w tym wypadku symbolicznym) grobie męczenników.

Chciałem ukazać Łukasza Cieplińskiego szczególnie jako mężczyznę. Kiedyś wzory męskości były przekazywane z pokolenia na pokolenie, dziś ten łańcuch już się rozsypał, młodzi mężczyźni nie mają wzorców w domach, stają wobec pytania: Jakim ja mam być mężczyzną? Jeśli jakiś młody chłopak szuka takich wzorców poza domem, to też trafia różnie. A tu mamy Mężczyznę Prawdziwego. Oczywiście ukazałem tylko niektóre z jego cech, warto jeszcze dodać wiele innych widocznych w grypsach, np. pewnego rodzaju „kobieca” tzn. wrażliwą, opiekuńczą, czułą stronę, widoczną w sposobie zwracania się do żony czy syna. Łukasz miał też jasną świadomość celu i sensu swojego życia oraz swoich działań, a także świadomość konieczności nieustannej pracy nad swoim charakterem. Obie te rzeczy dla dzisiejszych młodych mężczyzn to raczej strefa pustki. Nie widzą głębszego sensu życia i działań, nie wiedzą, jak pracować nad charakterem.

Łukasz Ciepliński naprawdę może być stawiany za wzór młodym mężczyznom: począwszy od odwagi, uczciwości, sprawności ciała i umysłu, poprzez wiedzę i kulturę osobistą, a skończywszy na cechach moralnych i zdrowej duchowości. Badania historyczne tej postaci to dopiero pierwszy krok, pozostałe jeszcze popularyzowanie i promowanie takich mężczyzn jak on. Siłą wzorców osobowych jest najpierw to, że stają się znane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wykorzystałem obszernie fragmenty mojego artykułu pt. „Pułkownik Łukasz Ciepliński (1913–1951) jako wzór osobowy w chrześcijańskiej formacji mężczyzn. Studium na podstawie jego grypsów więziennych”, „Roczniki Teologiczne” 2022, nr 11, s. 173–195. W tym samym numerze czasopisma artykuł ukazał się także w wersji angielskojęzycznej, aby „otworzyć” wiedzę o Łukaszu Cieplińskim na świat. Obie wersje są dostępne na stronach internetowych „Roczników Teologicznych”.

PROKURATORZY NA LEWYCH ZWOLNIENIACH

Prokurator generalny Andrij Kostin ogłosił rezygnację z urzędu. Powód? Postępowanie ukraińskich służb bezpieczeństwa wykazało, że istniał szeroki program korupcyjny, dzięki któremu prokuratorzy w tym kraju uzyskiwali zwolnienia od służby wojskowej. Załatwiali sobie masowo orzeczenia o niepełnosprawności. Do tej pory unieważniono ponad 4 tys. takich orzeczeń, a wobec członków Komisji Ekspertów Medycznych i Społecznych prowadzone jest dochodzenie w sprawie nielegalnego wydawania zaświadczeń.



z powodu bomby. Okazało się, że służby w ten sposób przejęły z pokładu Ramana Pratasiewicza, który był szefem rosyjskojęzycznego kanału Nexta na Telegramie, wspierającego społeczne protesty na Białorusi. Okazało się, że po ułaskawieniu przez Łukaszenkę Pratasiewicz udziela licznych wywiadów, w których krytykuje dawnych znajomych z opozycji, i przekonuje, że na Białorusi żyje się świetnie.

KOGUT RICO PRZED SĄDEM

W małej francuskiej wiosce Bourgoin-Jallieu pewien kogut stał się przyczyną sądowego sporu. Sąsiad pozwał właścicieli Ricca, twierdząc, że jego pianie jest nie do zniesienia. Ci bronią się i dowodzą, że kogut pieje tylko o określonych porach dnia. Wszystko wskazuje na to, że tradycyjna francuska wieś odchodzi w zapomnienie, skoro nawet naturalne dla niej dźwięki przeszkadzają mieszkańcom. ©

Łukasz Zboralski

TAYLOR BEZ BEZDOMNYCH

Gubernator Luizjany polecił przesiedlić bezdomnych. Chodziło o 75 osób mieszkających pod wiaduktem w okolicy obiektu, na którym miały odbyć się koncerty megagwiazdy Taylor Swift.

Biuro gubernatora poinformowało media, że chce, aby Nowy Orlean wyglądał jak najlepiej, gdy zjadą do niego fani artystki (szacowano, iż może ich przybyć nawet 150 tys.). Obrońcy praw człowieka protestowali, wskazując, że to zaprzęcać wszystkie programy dla osób w kryzysie bezdomności, które tam prowadzono.

NAGŁA PRZEMIANA OPOZYCJONISTY

W 2020 r. samolot lecący z Aten do Wilna został zmuszony do lądowania na Białorusi – rzekomo



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa w tarapatach

Przestawiciele Volkswagena, dawnej perły w koronie niemieckiej gospodarki, ogłosili, że zamierzają zamknąć co najmniej trzy fabryki, zwolnić dziesiątki tysięcy pracowników i radykalnie obciąć pensje tym, którzy zachowają pracę. Cięcia są możliwe, bo we wrześniu VW anulował program bezpieczeństwa zatrudnienia, który obowiązywał przez ponad trzy dekady.

O skali obecnych problemów grupy świadczyć może to, że będą to pierwsze zamknięcia fabryk Volkswagena w Niemczech w historii tego kraju. Obecnie najwięk-

szą niemiecką grupą przemysłową zatrudnia w ojczystym kraju ok. 120 tys. osób.

Kancelarz Olaf Scholz (SPD) deklaruje co prawda, że „ewentualne błędne decyzje kierownictwa z przeszłości nie mogą odbywać się kosztem pracowników”, ale nie wiadomo, ile miejsc pracy ostatecznie uda się uratować.

Trudno się dziwić próbie zrzućenia winy na „kierownictwo” za kryzys, który będzie mieć poważne znaczenie nie tylko dla gospodarki, lecz także polityki. Kłopoty VW nie wynikają bowiem wyłącznie z ewentualnych błędów jego szefów

czy też z obserwowanej w wielu krajach UE niechęci konsumentów do dokonywania dużych zakupów.

Jednym z ważnych źródeł problemów motoryzacji w UE są wysokie koszty, wynikające m.in. z koszmarnie drogiej energii. Jej ceny są zaś skutkiem represyjnego podejścia UE do polityki klimatycznej, której założenia są nie tylko nierealne, lecz także szkodliwe dla europejskich firm i samych Europejczyków. Innym źródłem problemów jest słaba sprzedaż forsowanych przez Brukselę samochodów elektrycznych. Czy kryzys VW wystarczy, by skończyć z tym szaleństwem? ©

Trump idzie po Biały Dom



Jacek Przybylski

Szali tych wyborów nie zdołali przeważać ani Taylor Swift, ani Hulk Hogan, ani miliardy dolarów wydane na kampanię. Do ostatnich dni Donald Trump i Kamala Harris szli niemal łeb w łeb. I chociaż ostatnie sondaże dają nadzieję na zwycięstwo republikanów – tak w wyścigu do Białego Domu, jak w walce o obie izby Kongresu – to tegoroczne wybory są najbardziej nieprzewidywalne we współczesnej historii Ameryki



Zaledwie 537. Tyle głosów zdecydowało w roku 2000 o ostatecznym wyniku wyborów na Florydzie. Głosy na wnioski sztabów obu kandydatów przeliczano wówczas wielokrotnie. Ostatecznie sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, którego orzeczenie zakończyło proces wyborów. Czterdziestym trzecim prezydentem USA został wówczas gubernator Teksasu George W. Bush. Zanim do tego doszło, Ameryką wstrząsnął niespodziewany polityczny thriller pełen zaskakujących zwrotów akcji. Początkowo zaczęło się odwrotnie niż u Hitchcocka: wszystko przebiegało zgodnie z przewi-

dywaniami. Gdy reporterzy w studiach telewizyjnych relacjonowali kolejne wyniki exit poll, obaj kandydaci wygrali w tych stanach, w których spodziewano się, że wygrają. O ostatecznym wyniku wyścigu miała zdecydować wygrana na Florydzie.

CZTERY GŁOSY PRZEWAGI

Podczas nocy wyborczej 8 listopada stacje telewizyjne orzekły, że wybory wygrał George W. Bush, który odebrał wówczas tradycyjny telefon z gratulacjami od pokonanego Ala Gore'a. Kilka godzin później ten sam Al Gore zadzwonił do Bu-

sha raz jeszcze – tym razem poinformował swego rywala, że jednak nie uznaje jego wygranej. Wówczas do boju ruszyli prawnicy. Skracając tę historię: 26 listopada 2000 r. władze Florydy ogłosiły zwyciężcą George'a W. Busha, ale Al Gore ciągle nie chciał zaakceptować takiego wyniku. 8 grudnia Sąd Najwyższy stanu Floryda nakazał ponowne ręczne przeliczenie kilkudziesięciu tysięcy głosów odrzuconych przez maszyny liczące. Jednak 9 grudnia Sąd Najwyższy USA zawiesił wykonanie tej procedury. 12 grudnia Sąd Najwyższy USA ostatecznie pozbawił Ala Gore'a szans na prezydenturę. A 13 grudnia Al Gore



ło się 51 głosów, czy w 1832 r., gdy o tym, kto wygrał wybory prezydenckie w stanie Maryland, zdecydowały zaledwie... cztery głosy.

Obowiązujący w USA system elektorski od dawna budzi wielkie emocje. Kandydat, którego w całej Ameryce poparło więcej wyborców, wcale nie musi więc wygrać. Wybory rozstrzygają zwycięstwa w poszczególnych stanach i to elektorzy dokonują wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dzięki temu w 2016 r. prezydentem został Donald Trump, chociaż zdobył niemal 3 mln głosów mniej niż kandydatka demokratów – Hillary Clinton.

REMIS ZE WSKAZANIEM

Tegoroczne wybory mogą się okazać równie zacięte jak te z roku 2000, a być może i te z XIX w. W przeważeniu szali zwycięstwa nie pomogły nawet ikony amerykańskiej popkultury. Słupki sondażowe zatrzymały się w połowie mimo wsparcia piosenkarki Taylor Swift (nawołującej do głosowania na Kamalę Harris) oraz aktora i legendarnego wrestlera Hulka Hogana (który określił Donalda Trumpa mianem „bohatera” i „gladiatora” oraz oficjalnie wsparł byłego prezydenta). Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, pewne wydawało się tylko to, że o ostatecznym wyniku starcia Trumpa z Harris przesądzą wyborcy w zaledwie siedmiu stanach znanych powszechnie jako „swing states” (czyli tych fragmentów spolaryzowanej Ameryki, w których kandydaci obu partii mają podobne szanse na zwycięstwo).

W badaniu Atlas Intel – uznawanym za wyjątkowo wiarygodne – przeprowadzonym od 25 do 29 października, Donald Trump uzyskał 49,5 proc. głosów, a Kamala Harris 47 proc. Co jeszcze ważniejsze, były prezydent wygrywał w zdecydowanej większości tzw. stanów wahadłowych (ang. swing states). Sondażowe zwycięstwa osiągał w Arizonie, Georgii, Nevadzie, Wisconsin, Michigan i Pensylwanii, tymczasem obecna wiceprezydent miała przewagę jedynie w Karolinie Północnej (wygrywała tam stosunkiem głosów 48,9 proc. do 48,4 proc.). Tymczasem jeszcze we wrześniu Harris wygrywała w sondażu Atlas Intel zarówno w Karolinie Północnej, jak i w Nevadzie. Najwięcej głosów elektorskich do ugrania jest jednak w Pensylwanii (gdzie według ostatnich sondaży wygrywa Trump). Może się więc okazać, że były pre-

Jeśli sondaże przeszacowują znów wynik demokratów, to Donald Trump może być już niemal pewny zwycięstwa

zydent poprowadzi Partię Republikańską do największego zwycięstwa w wyborach prezydenckich od roku 1988.

W sondażu przeprowadzonym na zlecenie „Wall Street Journal” Donald Trump także miał większe szanse na zwycięstwo niż Kamala Harris, ale różnica między kandydatami również tu była niewielka (47 proc. do 45 proc.). Tak wyrównane wyniki mogą świadczyć albo o wyjątkowej polaryzacji poglądów wśród Amerykanów, albo o bezprecedensowej pomyłce sondażowni.

Niezależnie od wszystkiego w ostatnich dniach kampanii zarówno Trump, jak i Harris w kluczowych dla wygranej stanach walczyli dosłownie o każdy głos. Kamala Harris robiła, co mogła, aby tylko zwiększyć szansę na swoje zwycięstwo. Bez skrupułów podczas wiecu w Pensylwanii nazwała więc Donalda Trumpa faszystą i przed kamerami porównała byłego amerykańskiego prezydenta do Adolfa Hitlera, ostrzegając wyborców, że jeśli jej konkurent zwycięży, to będzie chciał przemienić amerykańską armię w służbę wierną jedynie prezydentowi, a nie amerykańskiej konstytucji, i „że jeśli drugi raz zostanie prezydentem, to nikt go już nie powstrzyma przed jego najgorszymi impulsami”. Podczas wiecu w Waszyngtonie apelowała zaś do Amerykanów, aby „nie poddawali się woli drobnego tyrana”. Tak ostra retoryka mimo dwóch zamachów na życie Donalda Trumpa mogłaby dziwić, ale wizja możliwej przegranej w prezydenckim wyścigu sprawiła, że demokratom puściły wszelkie hamulce.

PESYMIZM DEMOKRATÓW

Amerykanie, którzy swego prezydenta w głosowaniu powszechnym wybierają od roku 1824, od dekad słyną z tego, że chętnie chodzą do urn. Wyborcy po obu stronach politycznej barykady wydają się mieć szczególną świadomość wagi tegorocznych wyborów. Bardzo możliwa jest więc rekordowa frekwencja. Wyjątkowe

– który w głosowaniu powszechnym w całej Ameryce zdobył ponad pół miliona głosów więcej niż Bush – ogłosił: „Dla dobra naszej jedności jako narodu i siły naszej demokracji – ustępuję”. Kolejny raz zadzwonił do Busha z gratulacjami i obiecał, że tym razem nie zadzwoni raz jeszcze, aby zmienić zdanie (choć różnica głosów na Florydzie wynosiła 0,009 punktu procentowego).

Wcześniej w historii Stanów Zjednoczonych wyjątkowo wyrównane wybory odbyły się choćby w 1892 r. w Kalifornii, gdy o wyniku zdecydowało 147 głosów, w roku 1904, gdy rozstrzygających okaza-

■ zainteresowanie wyborami widać już bardzo wyraźnie w danych dotyczących przedterminowego głosowania. Chociaż większość Amerykanów do urn pójdzie we wtorek 5 listopada, to ponad 50 mln osób oddało swoje głosy osobiście w lokalach wyborczych lub korespondencyjnie jeszcze przed końcem października.

Liczne badania opinii publicznej wskazują na to, że republikanie mają ogromne szanse nie tylko na odzyskanie Białego Domu, lecz także na zdobycie przewagi w obu izbach Kongresu. Liberałowie mają też świadomość, że poparcie w sondażach w poprzednich dwóch wyborach prezydenckich zakładało wyższe poparcie dla demokratów niż rzeczywiste wyniki. Jeśli tak będzie też tym razem, to Donald Trump i politycy Partii Republikańskiej mogą być niemal pewni miażdżącego zwycięstwa. Tak ogromna wygrana znacząco ułatwiłaby nowemu prezydentowi realizację pomysłów politycznych. Republikanie mogą odnieść ogromne zwycięstwo, ponieważ wyborcy bardziej niż Harris ufają Trumpowi w kwestiach dotyczących gospodarki oraz imigracji (a te są kluczowe dla wielu Amerykanów). Demokraci mają jeszcze nadzieję, że decydująca w wyborach okaże się kwestia aborcji.

Wiarę w zwycięstwo Kamali Harris straciło w ubiegłym tygodniu wielu amerykańskich polityków, urzędników i dziennikarzy, nawet tych z najbardziej liberalnych kręgów. W piątek 25 października szefowie „The Washington Post” ogłosili, że w tegorocznych wyborach redakcja jednego z najstarszych i najbardziej wpływowych dzienników za oceanem nie poprze oficjalnie żadnego kandydata. Oficjalnie – jak wyjaśniał Will Lewis, wydawca „The Washington Post” – to po prostu powrót do długoletniej tradycji niewskazywania żadnego faworyta (dziennik zachowywał formalną bezstronność od 1877 r. do 1976 r.). Wielu komentatorów za oceanem przypuszcza jednak, że przyczyna takiej decyzji jest czysto biznesowa. Właściciel dziennika, Jeff Bezos, już kilkanaście dni przed wyborami mógł być przekonany, że na pewno wygra je Donald Trump, i nie chciał wskazywać na Kamalę Harris, aby nie narażać się przyszłemu prezydentowi, który już podczas pierwszej kadencji w Białym Domu nie ukrywał, iż do fanów Bezosa nie należy. Na reakcję rozczarowanych brakiem poparcia

dla Harris czytelników nie trzeba było długo czekać: do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” prenumeratę dziennika „The Washington Post” anulowało ponad 200 tys. osób.

PRZEDWYBORCZY ROLLERCOASTER

Niezależnie od ostatecznego wyniku tegoroczne wybory można uznać za wyjątkowe pod wieloma względami. Po pierwsze, w grę wchodziły naprawdę duże pieniądze. Kamala Harris pobiła rekord w tempie gromadzenia funduszy, zbierając w ciągu tylko jednego kwartału aż 1 mld (!) dol. Łącznie kandydaci na prezydenta obu partii wydali podczas tegorocznej kampanii przedwyborczej 2,8 mld dol. Wielka kasa to zaś tylko jeden z elementów politycznego thrilleru pod roboczą nazwą „Wybory 2024”. W scenariuszu znalazły się też dwie wyjątkowo ważne debaty telewizyjne. W pierwszej z nich urzędujący prezydent zaprezentował się jako polityk tak bardzo niedoświadczony, że jego własne otoczenie skłoniło go do „dobrowolnej rezygnacji” z walki o reelekcję. Dzięki temu z pominięciem procedur demokratycznych (czytaj: właściwych praw wyborów) kandydatką Partii Demokratycznej została Kamala Harris. Polityk mało popularna jako wiceprezydentka, gdy tylko ogłosiła, że zamierza być prezydentem USA, nagle z dnia na dzień stała się liderką wielu sondaży (choć od dwóch miesięcy trend w badaniach jest dla Harris niekorzystny).

Jakby tego wszystkiego było mało, do historii tegorocznej kampanii należy dopisać dwie próby zamachu na Donalda Trumpa, w tym jedną tak poważną, że nawet tak wielki grzesnik jak Trump pokornie i publicznie dziękował za ocalenie Bogu.

CZY POKONANI UZNAJĄ WYNIK?

Bardzo wyrównane notowania obojga kandydatów w przedwyborczych sondażach sprawiły również, że liberalne media przez ostatnie tygodnie konsekwentnie wzniewały strach przed potencjalnymi próbami podważenia wyników listopadowych wyborów i możliwą falą przemocy. Według sondażu przeprowadzonego na zlecenie agencji Associated Press czterech Amerykanów na dziesięciu przyznaje, że są „ekstremalnie” lub „bardzo” zaniepokojeni potencjalnymi próbami podważe-

nia wyników listopadowych wyborów. Podobny odsetek Amerykanów obawia się w tym przypadku zarówno wariantu siłowego, jak i użycia w tym celu środków prawnych. Jeden wyborca na trzech twierdzi z kolei, że „ekstremalnie” lub „bardzo” boi się możliwych prób uniemożliwienia sfinalizowania wyników przez lokalne lub stanowe władze wyborcze. Zaledwie jedna trzecia respondentów nie jest „bardzo” lub „w ogóle” zaniepokojona realizacją jednego z powyższych scenariuszy. Ogółem: tylko jedna trzecia wyborców spodziewa się, że Donald Trump zaakceptuje wyniki, jeśli przegra głosowanie. Podział na zwolenników i przeciwników byłego prezydenta jest tu wyjątkowo widoczny: wiarę w to, że Trump zaakceptuje porażkę zwolenników Partii Demokratycznej, deklaruje zaledwie jeden pytany na dziesięciu. Wśród sympatyków Partii Republikańskiej ok. dwóch trzecich wyborców uważa, że w razie przegranej Donald Trump uzna wyniki wyborów.

Czterech Amerykanów na dziesięciu „bardzo” boi się prób podważenia wyników listopadowych wyborów

Teoretycznie lęk dotyczy nierespektowania wyników niemal wyłącznie przez Donalda Trumpa i jego zwolenników. A jakiej reakcji na przegraną spodziewają się Amerykanie po Kamali Harris? Ogółem ośmiu respondentów na dziesięciu sądzi, że uzna ona wyniki wyborów. Sądzi tak 93 proc. zwolenników Partii Demokratycznej, 71 proc. wyborców niezależnych i 59 proc. sympatyków Partii Republikańskiej. Nie jest jednak wcale wykluczone, że w razie przegranej Kamali Harris, nawet jeśli ona sama uzna wynik wyborów, jej najbardziej radykalni zwolennicy postanowią „bronić Ameryki przed faszyzmem”. Pamiętajmy bowiem, że pod wpływem agresywnej retoryki Partii Demokratycznej dwóch zamachowców próbowało rozprawić się z Trumpem jeszcze podczas kampanii. Pewne jest jedno: niezależnie od wyniku wyborów Ameryka pozostanie podzielona niemal równo na pół...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pod koniec października grupa robocza do spraw upamiętnień we lwowskiej radzie miejskiej jednogłośnie zdecydowała o ufundowaniu pomnika Romana Szuchewycza. Inicjatorem uhonorowania dowódcy UPA jest Anton Petrykiwski. O budowę pomnika zaapelował w połowie maja, publikując obszerny wpis na Facebooku. Swoją myśl motywował tym, że 1 stycznia 2024 r. Rosjanie zbombardowali budynek, w którym Szuchewycz zginął w potyczce z NKWD, a w którym wspólnie znajdowało się jego muzeum. Jak pisze Petrykiwski, zarówno „walka wyzwolenicza UPA”, jak i sama postać jej dowódcy „to były bardzo bolesne strony okupacji Ukrainy podczas drugiej wojny światowej oraz w okresie powojennym”. To zasługa banderowców, że Moskwa nie udało się zrusyfikować Ukrainy Zachodniej, tak jak to miało miejsce na ziemiach Ukrainy Wschodniej. Nie udało się „zetrzeć pamięci narodowej”. Petrykiwski nie dodaje przy tym, że ceną tej „zasługi” upowców było ludobójstwo na polskiej ludności cywilnej. Z jego wpisu można się dowiedzieć jedynie, że UPA walczyła o wolność z Moskwą. To zresztą dość powszechne przekonanie na Ukrainie.

„Minęło 70 lat od momentu heroicznej śmierci głównodowodzącego UPA, a on dalej nie daje spokoju tym samym okupantom. Co więcej, Moskwa [pisownia oryginalna – przyp. red.] zdaje sobie sprawę z tego, że Siły Zbrojne Ukrainy są prawnym następcą UPA w wojnie o tę samą niepodległość Ukrainy. Dlatego wszelkimi sposobami próbuje dyskredytować tę walkę i wszystkich jej uczestników, w tym poprzez swoich agentów wpływu w Europie” – pisał dalej Petrykiwski.

HEROIZACJA UPA

We wpisie zwrócił się bezpośrednio do mera Lwowa Andrija Sadowego, który zresztą atak na muzeum Szuchewycza nazwał „symbolicznym i cynicznym” elementem wojny o historię. Zdaniem Petrykiwskiego, żeby Ukraina tę wojnę wygrała, musi kontynuować heroizację UPA. A świetnym w tym kierunku gestem byłoby ustanowienie pomnika we Lwowie, czyli w rodzinnym mieście dowódcy tej armii. Nieprzypadkowe jest też

Szuchewycz wiecznie żywy



Maciej Pieczyński

Dowódca UPA, odpowiedzialny za rzeź wołyńską, będzie miał swój pomnik we Lwowie. Inwazja rosyjska tylko wzmocniła kult nacjonalistycznych zbrodniarzy nad Dnieprem. Może i Ukraina ma nowych bohaterów, dla których jednak bohaterami wciąż są Bandera i Szuchewycz

miejsce, w którym ma stanąć monument – plac Hasyna. Po pierwsze, to centrum miasta. Po drugie, Ołeksza Hasyn też był dowódcą UPA. Niedaleko placu znajduje się dawna cytadela, w której – jak pisze inicjator powstania pomnika – po wojnie będzie można stworzyć „muzeum walki narodowowyzwolenczej, którą prowadzili Ukraińcy na przestrzeni całej swojej historii”.

Warto podkreślić, że Petrykiwski nie jest żadnym działaczem skrajnej, marginalnej organizacji nacjonalistycznej. Jest natomiast żołnierzem 80. Samodzielnej Brygady Desantowo-Szturmowej Sił Zbrojnych Ukrainy. Walczy na froncie od początku inwazji rosyjskiej. Co więcej, apel Petrykiwskiego wsparło ponad 50 weteranów i czynnych żołnierzy z 10 różnych jednostek wojskowych ze Lwowa i z obwodu lwowskiego.

Inicjatywa nie spotkała się z żadną głośną krytyką nad Dnieprem. W pierwszych miesiącach inwazji rosyjskiej można było mieć nadzieję, że wojna zrodzi nowych bohaterów, wolnych od kontrowersji, którzy – brutalnie rzecz ujmując – jeśli będą mieć na sumieniach zbrodnie wojenne, to na pewno ich ofiarami nie będą Polacy. A wtedy do lamusa odejdą starzy bohaterowie – banderow-

cy. W końcu UPA to historia, której nikt nie pamięta, przez którą Ukraińcy kłócą się z Polakami, a czasem też (choć coraz rzadziej) sami ze sobą. Tymczasem nie bardziej mylnego. Jak widać na przykładzie lwowskiej inicjatywy pomnikowej, Bandera i Szuchewycz często są bohaterami również dla współczesnych bohaterów Ukrainy. Wspominał o tym niedawno również były szef Ukraińskiego IPN Wołodymyr Wjatrowycz w jednym z wywiadów. I trudno się z nim w tej sprawie nie zgodzić.

KULT SZUCHEWYCZA

W szeregach Sił Zbrojnych Ukrainy, rzecz jasna, walczą nie tylko zagorzali nacjonaści. Tyle że nad Dnieprem nie trzeba nawet świadomości takich poglądów wyznawać, żeby oddawać cześć i chwałę banderowcom. Nawet znana ukraińska pisarka, zadeklarowana feministka o poglądach lewicowo-liberalnych Oksana Zabuzko wyznaje kult Romana Szuchewycza. W 2016 r., w kolejną rocznicę jego śmierci, napisała o nim na Facebooku, że to „idealny hollywoodzki bohater”, który „stworzył najpotężniejszą armię oporu w Europie”, oraz że Ukraina potrzebuje „jego ducha”, żeby zwyciężyć. Ukraińskie elity niepodległościowe, od lewicy do

► prawicy, od liberałów do nacjonalistów, po prostu uwielbiają UPA, traktując tę formację, tak jak w Polsce traktuje się AK. A cóż dopiero mówić o żołnierzach na froncie, którzy potrzebują bohaterskich wzorców... Nie tylko formacje stworzone na bazie środowisk nacjonalistycznych (jak brygada „Azow”, której twórcy akurat bardziej fascynowali się kozaczyzną i Rusią Kijowską niż OUN-UPA) przesiąknięte są fascynacją upowcami. Na ich wyobraźnię działa mit straceńczej walki, podjętej przez banderowców z Sowietami po drugiej wojnie światowej. Zresztą 1 stycznia 2023 r., w rocznicę urodzin Stepana Bandery, nawet ówczesny głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Wałerij Żałuzny dał się sfotografować z „jubilatami”. A zdjęcie opublikował profil Rady Najwyższej w mediach społecznościowych, po czym, być może po naciskach ze strony Warszawy, je usunął. A przecież gen. Żałuzny nie jest żadnym polakożercą, nie wiadomo też, by się szczególnie fascynował historią OUN czy UPA. Co więcej, to właśnie on, jak ustalił Zbigniew Parafianowicz, w nieoficjalnej rozmowie ze stroną polską przyznał, że w Przewodowie spadła ukraińska rakietą, i w swoim imieniu za to przeprosił.

Szuchewyca bohaterem nazwał wzięty do niewoli przez Rosjan mer Chersonia Wołodymyr Mykołajenko, i to w rozmowie z rosyjskim dziennikarzem, przed kamerami. Nie trzeba dodawać, że uznano to za czyn bohaterski. Koktajl Mołotowa Ukraińcy na froncie nazywają „banderowskim smoothie”. Taki też tytuł nosi internetowy serial komediowy o obecnej wojnie – patriotyczny oczywiście. Były prezydent Ukrainy Petro Poroszenko demonstracyjnie przekazywał siłom zbrojnym „banderomobile” – czyli samochody terenowe, oklejone nacjonalistyczną symboliką i „upiększone” portretem przywódcy OUN. Sam Poroszenko wiele uczynił zresztą, jeszcze będąc głową państwa, dla utrwalenia kultu zbrodniarzy. A gdy wspomniane muzeum Szuchewyca zostało zbombardowane, przekazał 4 mln hrywien na jego odbudowę. Dodatkowe 100 tys. hrywien przeznaczył na stworzenie wirtualnej wycieczki po obiekcie.

Niedawno Ukraiński IPN ogłosił, że planuje przeprowadzić prace poszukiwawcze szczątków Polaków zamordowa-

1 stycznia 2023 r., w rocznicę urodzin Stepana Bandery, ówczesny głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy dał się sfotografować z „jubilatami”

nych na Wołyniu. Decyzja zapadła w odpowiedzi na wniosek przewodniczącej stowarzyszenia Pojednanie Polsko-Ukraińskie Karoliny Romanowskiej. Wymowa oficjalnego komunikatu UIPN była mniej więcej taka: „Nie możemy dojść do porozumienia z państwem polskim, więc wspaniałomyślnie realizujemy prośbę zwykłych obywateli polskich”. Wygląda to na cyniczną taktikę Kijowa, który w ten sposób chce wbić klin pomiędzy władzę a opinię publiczną nad Wisłą i pokazać, że ma dobre intencje. Tymczasem od zgody na prace poszukiwawcze do godnego pochówku ofiar droga jest bardzo daleka. Przekonała się o tym związana z Michałem Dworczykiem fundacja Wolność i Demokracja, która w 2022 r. również otrzymała zgodę, a nawet przeprowadziła poszukiwania, odnalazła szczątki pomordowanych, ale potem sprawa utknęła. Ukraińcy przeciągali sprawę, zasłaniając się niedopełnieniem formalności po stronie polskiej. A gdy Polacy uzupełnili wszystkie dokumenty, Kijów zaczął zwlekać ze zwołaniem komisji międzyresortowej, która decyduje o ekshumacjach. I zwleka do tej pory.

SYMETRIA WIN

Możliwe zatem, że z wnioskiem Romanowskiej będzie podobnie. Ekshumacje wznowiłyby dyskusję o okrucieństwie UPA (bo przecież ustalana byłaby przyczyna śmierci), dałyby argument przeciwnikom wspierania Ukrainy. Cynicznie rzecz ujmując, dla Kijowa to ryzykowne politycznie i wizerunkowo. Dlatego chyba tylko szantaż „zdjęcie zakazu ekshumacji albo zakaz wstępu do UE” może poskutkować. Ponadto, co znamienne, Ukraińcy mocno akcentują to, że blokada (od której od czasu do czasu czynione są wyjątki) dotyczy prac poszukiwawczych, nie ekshumacji. To szczegół, bo bez pierwszego praktycznie nie jest możliwe

Wielu Ukraińcom, niestety, wydaje się, że skoro Bandera (na zdjęciu jego pomnik we Lwowie) i Szuchewycz „walczyli z Rosją”, to ich kult powinien być bezwarunkowo zaakceptowany na Zachodzie

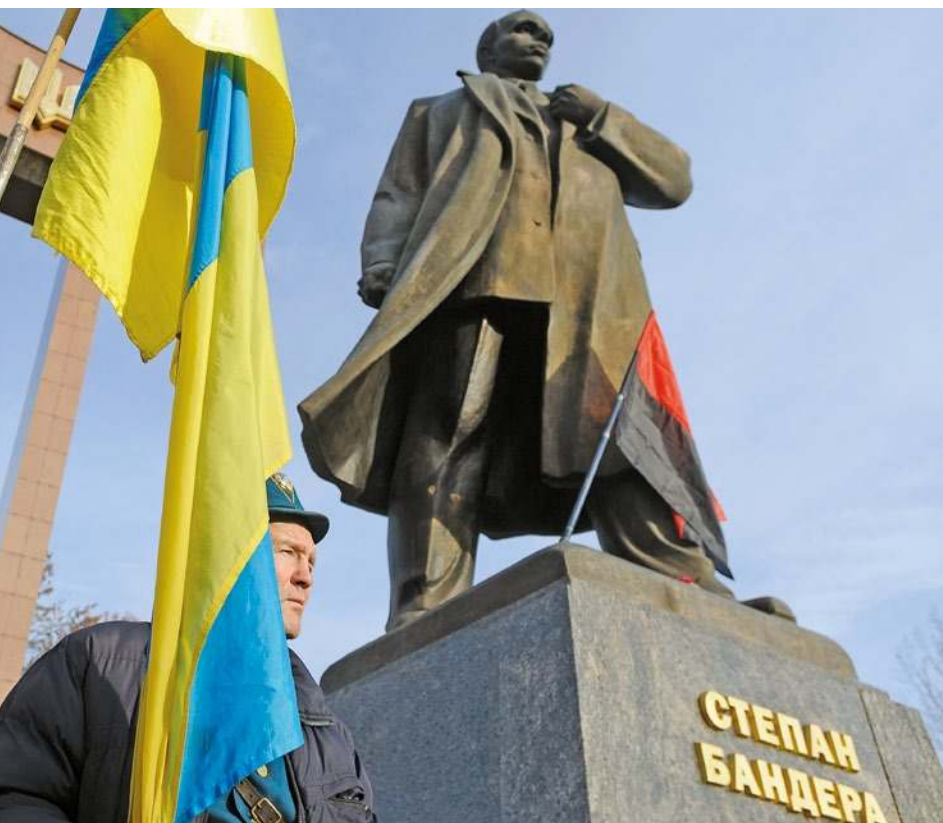
FOT. MYKOŁA TYŚ/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES



drugie. Ale szczegół istotny, bo wizerunkowo lepiej brzmi blokada poszukiwań (mniej działa na wyobraźnię).

Przed wszystkim jednak trzeba pamiętać, jaki warunek Kijów stawia Warszawie. Chodzi o odnowienie w dawnym kształcie (z nazwiskami zabitych i napisem „Zginęli za wolną Ukrainę”) tablicy upamiętniającej poległych upowców na górze Monasterz. Wiele wskazuje jednak na to, że to tylko pretekst. Ponadto, z punktu widzenia Kijowa, planem maksimum jest jednoczesna zgoda na legalizację nielegalnych i odnowienie zniszczonych wszystkich miejsc pamięci polskich na Ukrainie i ukraińskich w Polsce.

Gdyby Warszawa się na to zgodziła, oznaczałoby to akceptację doktryny o symetrii win między naszymi narodami. Tę symetrię nad Dnieprem wyznają praktycznie wszystkie liczące się siły polityczne, medialne, większość historyków. Z tej perspektywy Wołyń nie był ludobójstwem, tylko mało znaczącym epizodem wojny polsko-ukraińskiej, w której obie strony wyrzynały się nawzajem, ale przyczyną była „antyukraińska polityka II RP”. Zrównanie pochówków czy miejsc pamięci UPA z pochówkami



czy miejscami pamięci polskich ofiar UPA to cel strategiczny polityki historycznej Kijowa od dawna. Inwazja rosyjska tylko Ukraińców w tym celu utwierdziła. Bo, niestety, Szuchewycz i Bandera są twarzami oporu przeciwko Rosji. Jedni Ukraińcy nie mają pojęcia o tym, za jakie zbrodnie odpowiadają ich idole. Inni doskonale sobie z tych zbrodni zdają sprawę, ale wierzą swoim historykom, że te zbrodnie były obopólne. Jedni i drudzy uważają upowców za bohaterów walki z Sowietami. Jednak, w pewnych okolicznościach, antyrosyjskie dziś ostrze neobanderyzmu może zwrócić się znów przeciwko dawnym wrogom – „polskim panom”. Oczywiście droga do tego bardzo daleka, niemniej trzeba brać pod uwagę taki scenariusz, w którym dojdzie do antypolskich incydentów pod flagą czerwono-czarną.

Sam zaś UIPN przykłada się mocno do utwierdzenia kultu UPA w kontekście wojny z Rosją. Najlepszym dowodem niech będzie zorganizowany przez instytut projekt „Niezlomni” [„Neskoreni” – tak na Ukrainie nazywa się upowców; „Neskorenyj” to też tytuł pochwalnego filmu biograficznego o Szuchewyczu – przyp. red.]. Polega on na tym, że w krót-

kich nagraniach wideo „o żołnierzach UPA opowiadają ich potomkowie, którzy dziś na pierwszej linii frontu bronią Ukrainy przed agresją rosyjską”. Mychajło Hałuszczak z 24. Brygady Zmechanizowanej im. Króla Daniela jest dumny z brata swojego dziadka, który walczył w szeregach UPA.

Wreszcie kult albo przynajmniej próby usprawiedliwienia ukraińskiego nacjonalizmu dotyczą do pewnego stopnia nawet zadeklarowanych hitlerowskich kolaborantów. Pamiętny skandal związany z uhonorowaniem w Kanadzie, na oczach Zełenskigo, weterana SS Galizien też nie zmusił Kijowa do posypania głowy popiołem. Bardziej niż ukraiński prezydent kajał się Justin Trudeau, a media nad Dnieprem w dużej części wręcz usprawiedliwiały nazistowskich kolaborantów, argumentując, że walczyli za ojczyznę, a poza tym w Norymberdze niczego im nie zarzucono. Nawet szylł SS nie wszystkim na Ukrainie przeszkadza.

ICH WARTOŚCI

Latem 2023 r. znany ukraiński politolog Serhij Taran pisał, że tradycyjnie rosyjskojęzyczny wschód kraju staje się „banderowski”. A to dlatego, że w tym

regionie rośnie poparcie dla wejścia do NATO i UE. To bardzo symptomatyczne. Wielu Ukraińcom, niestety, wydaje się, że skoro Bandera i Szuchewycz „walczyli z Rosją”, to ich kult powinien być bezwarunkowo zaakceptowany na Zachodzie. Wrzucają do jednego worka z napisem „nasze wartości” wszystko, co antyrosyjskie albo takie się wydaje: nacjonalizm, feminizm, LGBT, NATO, UE... Niemniej ostatni zwrot asertywny w polskiej dyplomacji doprowadził przynajmniej do wzrostu zainteresowania mediów nad Dnieprem tematem „tragedii wołyńskiej”. Z reguły, oczywiście, ukraińscy politycy i historycy tłumaczą swoim odbiorcom, dlaczego Bandera i Szuchewycz byli wielkimi bohaterami. Świątełkiem w tunelu jest natomiast podcast „Historia realna” Akima Halimowa, w którym, obok Wjatrowycza i byłego szefa MSZ Pawła Klimkina, wypowiadają się również polscy historycy: prof. Grzegorz Motyka i dr Łukasz Adamski (wiceszef Centrum Mieroszewskiego, z którym we współpracy film powstał), prezentując polski punkt widzenia na ludobójstwo. Po raz pierwszy na Ukrainie publicznie został pokazany rozkaz Szuchewycza o usunięciu Polaków z Galicji. Rozkaz jednak zawierał wyraźną „humanitarną” wskazówkę – Polaków wypędzić, zabić zaś dopiero wtedy, gdy będą stawiać opór. Niemniej, choć racje obu stron rozłożyły się po równo, prowadzący życzliwiej odnosił się do swoich rodaków, którzy do żadnej z polskich tez przekonać się nie dali. I raczej się nie dadzą.

Niestety, kult Bandery i Szuchewycza będzie tylko się umacniał. Kult, a nawet sakralizacja. Niedawno UIPN opublikował krótki film z okazji prawosławnego święta Pokrowy (Opieki Matki Bożej), które na Ukrainie jest również świętem UPA. Twórcy podkreślają, że jest to święto tradycyjnie związane od wieków z ukraińskim wojskiem. W tym kontekście na jednym z ujęć obok Matki Bożej pojawiają się bohaterowie narodowi. Nie tylko poeci Taras Szewczenko czy Iwan Franko, lecz także Bandera i Szuchewycz. Skojarzenie nasuwa się tylko jedno – napisana w Rosji ikona Matki Bożej Mołocarskiej, na której przedstawieni są Stalin i marszałkowie Armii Czerwonej...

Wielkie zwycięstwo Partii Pracy w lipcowych wyborach parlamentarnych (przypomnijmy: w Izbie Gmin 411 mandatów na 650, niemal dwie trzecie składu), zrodzone z wielkich oczekiwań, przyniosło równie wielkie rozczarowanie. Mówią o tym wszystkie badania opinii podsumowujące 100 dni Keira Starmera. Najnowszy sondaż instytutu YouGov jest wręcz fatalny: dobrze ocenia go tylko 26 proc., źle – aż 58 proc.

Początki Rishiego Sunaka, jego poprzednika, choć też nienadzwyczajne, były lepsze: 29 proc. ocen dobrych, 53 proc. złych. Obu daleko do konserwatysty Davida Camerona, który w 2010 r. odebrał władzę Partii Pracy. Jego działania u progu rządów akceptowało 59 proc, odrzucało tylko 32 proc. Czy premierzy są coraz gorsi czy też oczekiwania wobec nich coraz większe?

Imigracja, służba zdrowia, przemiany obyczajowe – w Wielkiej Brytanii, jak niemal wszędzie, rządy stoją wobec tych samych, bardzo trudnych problemów. Politycy, by uspokoić nastroje, odpowiadają lawiną obietnic. Rozbudzają oczekiwania – a to, skoro większości obietnic nie da się spełnić od razu, a czasem w ogóle, jest samobójstwem.

Keir Starmer i tak jest pod tym względem dość powściągliwy. Przed wyborami obiecywał realistyczne podejście: rząd skupi się na tym, co da się zrobić. W jego wypowiedziach po objęciu władzy pojawił się jednak element w jakiejś mierze zaskakujący: po rządach tych okropnych konserwatystów kraj jest w stanie tak opłakany, że teraz może być już tylko lepiej. Zarówno przesadną krytykę, jak i ową obietnicę odebrano nie najlepiej.

BOJOWNIK Z PRZEKONANIA

W wypadku Starmera na trend spadkowy poparcia poza rzeczywistymi problemami i ludzkimi obawami o przyszłość składają się także rozmaite wydarzenia, bardzo różnego kalibru, które fatalnie zaciążyły na jego reputacji. To nie pojedynczy błąd, wpadka czy nieprzemyślany krok, lecz cała seria. A nie jest dobrze, gdy premier i ministrowie niemalże co tydzień muszą się z czegoś tłumaczyć.

Na domiar złego rządowi zupełnie zabrakło wyczucia, jak rozłożyć w czasie ogłoszenie decyzji. Tak się złożyło, że tego

Brytyjski premier w opałach



Teresa Stylińska

Keir Starmer rządzi Wielką Brytanią od czterech miesięcy, a już pobił rekord. Żaden z brytyjskich premierów nie zanotował tak zawrotnego spadku poparcia w tak krótkim czasie



FOT. DARREN STAPLES/REUTERS/FORUM

samego dnia, gdy kanclerz skarbu Rachel Reeves ogłosiła ograniczenie skali dopłat do opału na zimę dla najbardziej potrzebujących, z więzień, w ramach programu rozładowania łodzi – czemu winien, rzecz jasna, jest poprzedni rząd – wypuszczono pierwszą grupę więźniów, którym obniżono czas odbywania kary. Zamieszczone w mediach obrazy rozradowanych więźniów, otwierających butelki szampana i deklarujących, że „Keir Starmer jest wielki”, oni zaś do końca życia będą głosować na Partię Pracy, nie mogły przysporzyć rządowi uznania. Co dopiero, gdy na jaw wyszło, że akcja zwalniania przebiegała bez należytego przygotowania oraz kontroli i że niejednen skazaniec nie powinien był opuścić więziennych murów.

Na niekorzyść Starmera, paradoksalnie, działa jego nieposzlakowana reputacja – człowieka przyzwoitego, poważnego, skromnego, angażującego się w sprawy innych, stroniącego od reklamy, publicity i PR-owskich sztuczek. Człowieka, który mimo skromnego pochodzenia skończył studia prawnicze na dobrych uniwersytetach, osiągnął doskonałą pozycję zawodową i w dodatku otrzymał szlachectwo (stąd używana forma sir Keir). To w dużej mierze określa oczekiwania.

Opinia publiczna nie była zachwycona, gdy Boris Johnson dużym kosztem, zresztą za pieniądze jednego ze sponsorów Partii Konserwatywnej, przeprowadził renowację rezydencji przy Downing Street. Jakoś to jednak przełknęła. Ekscentryczny

Johnson przyzwyczaił Brytyjczyków do tego, że z zasadami bywa na bakier. Gdy jednak na jaw wyszło, że drogie ubrania państwa Starmerów finansuje lord Alli, bogaty sponsor Partii Pracy, oburzeniu nie było końca. Bo nie mieści się to w stylu lewicowego, bądź co bądź, ugrupowania ani samego Starmera, który przedstawia się jako człowiek czynu i idei.

„Pochodzę z klasy robotniczej. Przez całe życie walczyłem. Jako premier będę walczył o was” – napisał Starmer na Instagramie, gdy już było jasne, że zostanie premierem. Te szumne deklaracje nie bardzo jednak przystają do noszenia ubrań z wysokiej półki, do korzystania z bezpłatnych biletów na mecze piłkarskie i do załatwienia sobie spotkania z Taylor Swift, gdy koncertowała w Londynie. Brytyjska opinia publiczna bez trudu to wyczuła, a to, że premier postanowił zwrócić pieńdże, nastrojów wcale nie uspokoiło.

PAN DARCY

Bojowa, lewicowa retoryka nie powinna dziwić, bo Keir Starmer jest człowiekiem lewicy z urodzenia, wychowania i drogi życiowej. Świadczy o tym już samo jego imię, podobno bowiem otrzymał je na cześć Keira Hardiego, jednego z założycieli Partii Pracy.

Sześćdziesięciodwuletni dziś Starmer dorastał w miasteczku Oxted w południowo-wschodniej Anglii. Ojciec był ślusarzem narzędziowym, matka, z którą jest bardzo mocno emocjonalnie związany, pielęgniarką. Ma troje rodzeństwa. Starmer podkreśla, że jest pierwszym w swej rodzinie człowiekiem, który zdobył wyższe wykształcenie. Studiował na uniwersytecie w Leeds, a później w Oksfordzie. Jest również uzdolniony i wykształcony muzycznie: gra na flecie, fortepianie i skrzypcach. Jest zagorzałym kibicem Arsenalu, od zawsze zresztą sam gra w piłkę nożną.

Już podczas studiów w Leeds Starmer angażował się w działalność laburzystowskiej młodzieżówki, po ich ukończeniu jednak skoncentrował się na pracy zawodowej. Był adwokatem, następnie jednym z szefów urzędu prokuratury dla Anglii i Walii. Przede wszystkim zaś wyrobił sobie pozycję jako obrońca praw pracowników i praw człowieka.

Rozgłos przyniosła mu sprawa przeciwko firmie McDonald's, znana jako „Mc-

Libel case” (o zniesławienie), czytelne nawiązanie do nazwy potentata fast foodów. Reprezentował wówczas dwoje działaczy ekologicznych, którzy zarzucali firmie liczne uchybienia – zarówno wobec pracowników, jak i środowiska. Sprawa ciągnęła się długo, z licznymi zwrotami akcji, bo nie wszystkie zarzuty się potwierdziły, dla Keira Starmera jednak to ona, jak się wydaje, była odskocznią od rozpoczęcia nowego, politycznego rozdziału. Starmer tak bardzo pasował do roli współczesnego obrońcy ludzi, że – jak twierdzi dziennik „Guardian” – to on stał się pierwowzorem prawnika Marka Darcy'ego, jednego z bohaterów cyklu książkowego o Bridget Jones.

Keir Starmer jest człowiekiem lewicy z urodzenia, wychowania i drogi życiowej

W roku 2015 Starmer został wybrany do Izby Gmin i od tej chwili jego kariera w Partii Pracy potoczyła się błyskawicznie. W gabinecie cieni, u boku ówczesnego lidera Jeremy'ego Corbyna, został wiceministrem spraw wewnętrznych, później zaś otrzymał bardziej eksponowane stanowisko ministra do spraw brexitu. W 2020 r., gdy radykalnie lewicowy Corbyn został zmuszony do ustąpienia, sir Keir stanął na czele partii.

Starmer ożenił się późno, mając 45 lat, z Victorią Alexander, również prawniczką. Mają dwoje dzieci, syna i córkę, nie uważają jednak, by należało wciągać je do życia publicznego ani nawet dzielić się z mediami informacjami na ich temat. Nie wiadomo nawet, jakie mają imiona. Opinia publiczna zdołała jednak, przypadkiem, zerknąć do domu państwa Starmerów, gdy jeszcze podczas kampanii sir Keir powiedział, że gdy zostanie premierem, w piątki będzie chciał kończyć pracę przed godz. 18. Zdziwionym wyjaśnił, że jest to czas szabasu, podczas którego chce być z rodziną. Jego żona jest bowiem Żydówką.

CO NA TO DONALD TRUMP?

Czy Starmer nadal, jak zawsze do tej pory, jest człowiekiem lewicy? Lewicowi

komentatorzy wytykają mu przecież, że zamiast skupić się bezpośrednio na sprawach ludzi i poprawieniu ich bytu, koncentruje się raczej na kwestii pobudzenia wzrostu gospodarczego. Nawet jeśli, przynajmniej na razie, nie zaniedbuje spraw ludzkich, bo jego rząd zapowiada wybudowanie aż 1,5 mln mieszkań, obietnica wisi trochę w próżni, bo nie wiadomo, czy nie udaremni jej sprzeciw zielonych, chroniących naturę, siedliska żab itp. Choć w planach Starmera wysokie miejsce zajmuje też oczywiście zapewnienie ekologicznych źródeł energii.

Niemniej cała masa planów na przyszłość i już podjętych decyzji zdradza, jak bardzo lewicowo, by nie powiedzieć lewacko, widzi świat nowy premier. Jedną z jego pierwszych decyzji było zamknięcie zainicjowanego przez torysów programu odsyłania nielegalnych imigrantów do Rwandy, gdzie mieliby czekać na decyzję w sprawie azylu. W planach są walka z papierosami i zakaz ich sprzedaży (gwoździł prawdy trzeba odnotować, że wystąpił z tym wcześniej Rishi Sunak). Starmer zgodził się także na wniesienie do Izby Gmin poselskiego projektu ustawy o eutanazji i planuje reformę Izby Lordów, z której być może zostaną usunięci biskupi Kościoła anglikańskiego.

No i portrety. O stanie ducha i przekonaniach sir Keira bez wątplenia świadczy usunięcie z Downing Street portretu Williama Gladstone'a, jednego z najwybitniejszych premierów w historii Wielkiej Brytanii. Portret powędrował do magazynu, ponieważ rodzina Gladstone'ów posiadała niewolników! Wcześniej ze ściany gabinetu Margaret Thatcher zdjęto jego portret, poruszenie opinii publicznej było jednak na tyle duże, że wizerunek wrócił, choć na mniej eksponowane miejsce.

Prawdziwie trudny czas może jednak nadejść, jeśli wybory prezydenckie wygra Donald Trump. I sam Starmer, i niektórzy z jego ministrów, w tym szef dyplomacji David Lammy, nie szczędzili mu bowiem w swoim czasie krytyki i uszczypliwości.

Starmer otwarcie winił Trumpa za atak na Kapitol, który – jak się wyraził – stanowił „punkt kulminacyjny lat polityki nienawiści i podziałów”. Nawet jeśli pierwsze spotkanie obu panów przebiegło gładko, to nie wiadomo, czy w jakiejś trudnej chwili animozje nie dadzą o sobie znać.

Pro-lifer Xi Jinping



Katastrofa demograficzna jest już namacalna, ale Pekin wciąż nie uruchomił odpowiednika programu „500+”

FOT. GONG BO/VCG/GETTY IMAGES



Piotr Włoczyk

Chińskie władze zaczęły promować prorodzinny przekaz, pod którym bez wahania mogliby się podpisać nasi obrońcy życia. Widać już także pierwsze sygnały, że Pekin zaczyna ograniczać prawo do aborcji

Płaskorzeźba ma ok. 6 m długości i 2 m wysokości. Widać na niej dziewięć kółeczek reprezentujących kolejne miesiące ciąży, a w nich wizerunki przedstawiające rozwój małego człowieka. Płody oświetlone są promieniami słońca, a pośrodku umieszczono niemowlaka trzymanego w – zapewne matczynej – rękach. Nie, ta płaskorzeźba nie znajduje się na terenie kościelnym, nie jest to też dzieło artysty, który postanowił się podzielić ze światem swoim chrześcijańskim światopoglądem.

Ta pro-liferska instalacja ustawiona została niedawno w publicznym parku w Miyun, na północno-wschodnich przedmieściach Pekinu, które do tej pory znane były głównie z wijącego się w tej okolicy Wielkiego Muru Chińskiego. Władze centralne wybrały Miyun jako jedno z miejsc wielkiego pronatalistycznego eksperymentu – partia chce zobaczyć, co najlepiej działa w kwestii poprawy tragicznych chińskich wskaźników urodzeń. Niedaleko tej pro-liferskiej płaskorzeźby widać kolejną prodziecięcą

instalację – wycięci z blachy kobieta i mężczyzna idą, trzymając się za ręce z trojgiem dzieci, nad ich głowami latają ptaki, a towarzyszący temu dziełu napis głosi, że pary nie powinny zwlekać z rodzicielstwem.

RZEŹNICY WEGANAMI

W tej kwestii Pekin w spektakularny sposób przełożył „wajchę”. Jeszcze nie tak dawno temu w miejscach publicznych w Chinach zobaczyć można było przekaz zgoła odmienny – jedno dziecko w zupełności wystarczy, odpowiedzialność wymaga, by nie „przejadać” owoców wzrostu gospodarczego kolejnymi dziećmi. Teraz, co pokazał m.in. niedawny raport „The New York Timesa”, władze w Pekinie mają nadzieję, że skoro interwencja państwa przyniosła tak spektakularne efekty w kwestii polityki jednego dziecka, to teraz, odkąd w 2021 r. wprowadzono politykę trojga dzieci, uda się powtórzyć sprawczość rządu centralnego i Chinę przewyciężać katastrofę demograficzną.

Powstałe w 1980 r. Chińskie Stowarzyszenie do spraw Planowania Rodziny,

które w szczyście antynatalistycznego szaleństwa prowadziło śledztwa w sprawie „nielegalnych” ciąży (czasem takie dochodzenia kończyły się nakładaniem bardzo dolegliwych kar finansowych, a czasem nawet przymusowymi aborcjami), teraz promuje z kolei pozytywny wizerunek dużych rodzin i przekonuje, że kolejne „bobaski” to szczęśliwa przyszłość dla rodzin i całego społeczeństwa.

Wang Pei'an, wiceszef tej organizacji, który przez lata twardą ręką spychał dzietność w kierunku przepaści, teraz opowiada o cudzie miłości rodzicielskiej, piętnuje ludzi, którzy wciąż realizują w życiu rodzinnym wytyczne partii sprzed dekady, i domaga się od chińskich producentów filmów i seriali kładzenia większego nacisku na „subtelne” pokazywanie szczęścia rodzinnego.

„Ciało kobiety stało się narzędziem” – napisała jedna z użytkowników Weibo, chińskiego odpowiednika portalu X (dawnego Twittera). – Jeżeli państwo chce, żebyś urodziła, to masz to robić, choćby nie wiem co. Ale gdy nie chce, nie wolno ci rodzić, bo może ci za to grozić nawet śmierć”.

W liczącym 500 tys. mieszkańców Miyun powołano nawet specgrupę składającą się z 500 pracowników prodemograficznych, którzy wydzwaniają po parach w wieku rozrodczym, dopytują o dzieci, przekonują, że państwo będzie wspierało rodziców na każdym kroku, i przypominają, że im kobieta starsza, tym trudniej jest zajść i utrzymać ciążę. Niektóre kobiety twierdzą, że urzędnicy pytają ich o datę ostatniej miesiączki...

Przykład idzie resztą z samej góry. Jak ogłosił niedawno Xi Jinping, należy „aktywnie kultywować nową kulturę małżeństwa i rodzicielstwa, a także wzmacniać u młodych ludzi pozytywny wizerunek małżeństwa, rodzicielstwa i rodziny”.

Eksperci są jednak sceptyczni. „Rząd może zredukować liczbę narodzin poprzez przymusową sterylizację, aborcję, ale nie może zakazać antykoncepcji, zmusić ludzi do małżeństw czy uporać się z coraz bardziej powszechną nieplodnością – mówi „Do Rzeczy” dr Yi Fuxian, chiński ekspert do spraw demografii pracujący w USA. – Pod względem kulturowym kilka dekad państwowej polityki planowania rodziny i antyreligijna edukacja zniszczyły tradycyjne wartości rodzinne, sprawiając, że wręcz

pożądane przez pary stało się posiadanie, o ile w ogóle, najwyżej jednego dziecka. Wyraźnie widać, że w młodszych grupach chińskich kobiet panuje coraz większa niechęć do dzieci". Zdaniem dr. Yi „posiadanie dzieci nie jest jak woda z kranu, którą można dowolnie zakręcać i odkręcać”.

Feministki szczególnie martwi zapowiedziany przez chiński resort ochrony zdrowia plan „ograniczenia aborcji, które nie wynikają z przyczyn zdrowotnych”. Po tylu latach realizowania polityki jednego dziecka ChRL znajduje się dziś na szczycie listy państw pod względem liczby aborcji i „zabieg” ten nie budzi w tamtejszym społeczeństwie większych kontrowersji. Słychać już jednak doniesienia o piętrzeniu tu i ówdzie przez państwo trudności w uzyskaniu odpowiednich zaświadczeń, bez których nie da się dokonać legalnej aborcji.

DŁUGI A DEMOGRAFIA

W zeszłym roku w Chinach odnotowano zaledwie dziewięć milionów urodzeń, choć jeszcze dekadę temu liczba ta była dwa razy wyższa (dla porównania:

w Polsce w 2013 r. urodziło się 370 tys. dzieci, natomiast rok temu na świat przyszło ich 270 tys.).

Chociaż katastrofa demograficzna w Chinach jest już namacalna, to jednak Pekin wciąż nie uruchomił swojego odpowiednika programu „500+”. To od zamożności samorządów zależy, czy w danym regionie – jeżeli w ogóle – wypłacane są dodatki na dzieci. Problem w tym, że w Chinach władze lokalne są bardzo zadłużone.

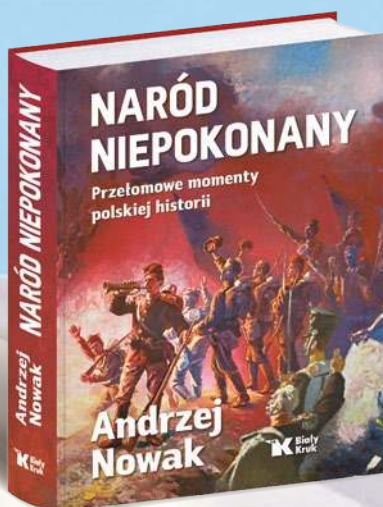
„Musi minąć 20 lat, zanim dziecko stanie się podatnikiem. Obciążone długami lokalne władze nie mają więc motywacji, by w ten sposób zachęcać do rodzicielstwa. Nie można jednak wykluczyć, że niektóre samorządy będą wprowadzały jakiegoś rodzaju środki przymusu, co jednak najpewniej spotka się z oporem społecznym i okaże się przeciwskuteczne. Na razie władze centralne w Pekinie nie zdecydowały się na wprowadzenie żadnych drastycznych metod” – podkreśla dr Yi.

Według przewidywań tego badacza Chiny będą miały olbrzymi problem, by ustabilizować swój wskaźnik dzietności

na poziomie 0,8 (do zastępowalności pokoleń konieczny jest wskaźnik wynoszący co najmniej 2,1, w Chinach obecnie wynosi on ok. 0,9, a w Polsce 1,16), co oznaczałoby, że pod koniec obecnego stulecia populacja Państwa Środka będzie wynosiła ok. 300 mln ludzi (niemal pięć razy mniej niż obecnie)... Opinia dr. Yi jest w tym kontekście o tyle istotna, że badacz ten jest powszechnie ceniony w środowisku demografów za trafne przewidywanie trendów w Chinach i demaskowanie tamtejszych zabiegów propagandowych mających ukryć katastrofalne wyniki w kwestii dzietności. Trzeba też rozumieć, że wskaźnik dzietności na poziomie 0,8 to scenariusz optymistyczny, zważywszy na deklarowaną przez młode Chinki liczbę dzieci, które chciałyby one urodzić. Na razie w Chinach realizuje się najczarniejszy scenariusz demograficzny i z powodu „przeorania” tamtejszego społeczeństwa przez dekady prowadzenia polityki jednego dziecka nawet wszechobecny „pro-liferski” przekaz raczej na niewiele się zda Pekinowi. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRZEŁOMOWE MOMENTY POLSKIEJ HISTORII



Najnowsza książka
prof. Andrzeja
Nowaka

PREMIERA!

79 zł

151 ilustracji, 424 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa

PRAWDZIWA HISTORIA PRL



Każdy Polak
zachowujący
wierność Bogu,
Kościołowi i Ojczyźnie
musi(ał) liczyć się
z represjami

NOWOŚĆ!

89 zł

187 ilustracji, 432 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa

Dla czytelników „Do Rzeczy” 25% taniej! Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy **DORZECZY25**

ZAMÓW: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 783 250 300 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.

Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.



FOT. ADOBE STOCK



Z ekologiem i hydrobiologiem
dr. Grzegorzem Chocianem,
prezesem Fundacji Konstrukttywnej Ekologii
EcoProBono

rozmawia Tomasz Cukiernik

Można zablokować Zielony Ład

TOMASZ CUKIERNIK: Jakie widzi pan największe zagrożenia dla Polski, jeśli chodzi o Europejski Zielony Ład?

DR GRZEGORZ CHOCIAN: Przede wszystkim utratę konkurencyjności oraz, po drugie, utratę suwerenności w podejmowaniu decyzji. Ogromna część decyzji będzie podejmowana nie tutaj, tylko poza Polską, albo na zasadzie uznaniowej, albo na zasadzie takiej, że zostaną formalnie wpisane różne wymogi dotyczące np. ochrony przyrody. I my zamiast korzystać na tym, że mamy duże zasoby przyrody, będziemy karani poprzez ograniczanie rozwoju, bo w miejsce procedury oceny oddziaływania na środowisko, minimalizacji lub/i kompensacji zostaną wprowadzone zakazy.

Ma pan m.in. na myśli unijne rozporządzenie Nature Restoration Law?

Jeśli mamy renaturyzację obszarów, np. rolnych, i wyłączenie z produkcji rolnej i leśnej pod egidą rozwoju bioróżnorodności, to mam pytanie, dlaczego równolegle mówi się, że pewne tereny w Unii Europejskiej będą mogły być wyłączone z tego programu, jeśli są już tak antropogenicznie zmienione, że nie da się przywrócić tego stanu pierwotnego. Założmy, że jest to logiczne na gruncie efektywności ekonomicznej. Tylko jakie rodzi skutki? Więc będzie derogacja taka, że chociażby holenderskie rzeki, kanały, drogi wodne będą objęte wyłączeniami, bo tam się nie da przywrócić wysokiej jakości siedlisk i bioróżnorodności – bo przywrócenie oznacza zalanie Holandii, ich polderów, ale w zamian będzie trzeba więcej zakazów wprowadzić w Polsce, żeby w bilansie europejskim się zgadzało. Czyli na Wiśle, na Odrze, tu więcej zabronimy po to, żeby skompensować to, czego w Holandii nie można zrobić. Metodą na wdrożenie będzie zwykłe finansowe przekupstwo samorządów i osób fizycznych, które będą sprzedawać, oddawać teren pod renaturyzację. Więc nam się oberwie za to, że mamy dużą bioróżnorodność i zarobimy raz na sprzedaży ziemi lub stale w małych rekompensatach finansowych za utrzymywanie stanu niedorozwoju, ale z danego terenu trwale ograniczymy swój rozwój na rzecz państwa, które już jest rozwinięte i nadal zamierza się rozwijać. Taka merkantylna „Unia dwóch prędkości”. Nam nie będzie

wolno rozwijać gospodarki i dróg wodnych. U nas się będzie kompensowało to, że gospodarki na Zachodzie się świetnie rozwijają. I tak jak do tej pory ciągle było, że to odbywa się naszym kosztem, tak teraz to jest beczelnie naszym kosztem, ponieważ to nam należy płacić za to, że mamy bioróżnorodność pomimo stałego rozwoju, a nie nas ograniczać, bo mamy bioróżnorodność.

Pana teza jest taka, że Polska mogłaby zablokować Europejski Zielony Ład poprzez zaskarżenie go do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, gdyż przy uchwalaniu poszczególnych jego elementów złamano unijne procedury. Jakże to procedury były złamane?

W pierwszej kolejności złamano elementy dotyczące strategicznej oceny oddziaływania na środowisko przy uchwalaniu dokumentu programowego. Otóż dokument programowy musi przejść strategiczną ocenę oddziaływania na środowisko, by ustalić, czy społeczeństwu, gospodarce i środowisku przyrodniczemu to się opłaca, przy czym elementy środowiska są wyceniane w ramach gospodarki. Nie zrobiono tego, dlatego zaczęły się protesty żółtych kamizelek we Francji, rolników w Holandii, branży

Zielonej Księgi, czyli prognozy skutków wdrożenia regulacji, i nie ma tam tych informacji, a muszą być. Podkreślam słowo „muszą”. Nie, że byłoby dobrze je mieć. Muszą być! Mimo że ich nie było, przyjęto tę regulację. Przez to, że nie ma tych informacji, naruszono również konwencję międzynarodową z Aarhus o społecznym dostępie do informacji, o sprawiedliwym dostępie do informacji o środowisku i o skutkach wdrażanych regulacji. Społeczeństwo nie mogło się dowiedzieć, jakie będą skutki, bo nikt tego nie wyliczył i nie pokazał. Nawet gdyby chciało się dowiedzieć, nawet gdyby społeczeństwo wystąpiło o te informacje, toby ich nie znalazło. To oznacza, że również politycy, podejmując decyzję o Zielonym Ładzie, tak naprawdę nie do końca wiedzieli, co przyjmowali. Bo tego nie wyliczono. Tylko mówiono: będzie lepiej, musimy odchodzić od paliw kopalnych itd. OK, założmy, że trzeba odchodzić, bo one kiedyś się skończą, więc trzeba rozwijać nowe technologie i to jest jakiś kierunek. Ale róbmy to mądrze, a nie wylewając dziecko z kąpielą. A my właśnie wylewamy dziecko z kąpielą, byle jak najszybciej, byle szybko wdrożyć jakieś zewnętrzne technologie na terenie

Ogromna część decyzji będzie podejmowana nie tutaj, tylko poza Polską, albo na zasadzie uznaniowej, albo na zasadzie takiej, że zostaną formalnie wpisane różne wymogi dotyczące np. ochrony przyrody

budowlanej, branży energetycznej. Ponieważ tego nie wyliczono już w latach 2012 i 2013, kiedy przygotowano Ramy Polityki Klimatyczno-Energetycznej do roku 2030, przyjęte w październiku 2014 r. przez panią premier Ewę Kopacz na Radzie Unii Europejskiej. Już wtedy, przed tym przyjęciem, pisałem, to jest cały czas na naszej stronie internetowej EcoProBono, że te Ramy Polityki mogą być wyrażane z naruszeniem prawa. Pokpiono tę procedurę. Nie pokazano, ile to kosztuje zarówno społeczeństwo, jak i poszczególne branże czy poszczególne regiony Europy. A po to są te NUTS-y, czyli unijne regiony statystyczne, żeby to pokazać. Dotarłem do tzw.

Polski. Jako że tego nie zrobiono, to na tym wadliwym wdrożeniu wdrażano kolejne regulacje, np. cały Pakiet Zimowy, program UE dotyczący ogrzewnictwa. Ale również w to weszły zapisy dotyczące tzw. rozporządzenia Komisji Europejskiej o terminologii zrównoważenia. To też nie przeszło strategicznej oceny, gdyż najpierw grono „mistrzów” w liczbie ok. 30–40 osób powiedziało całej Unii Europejskiej: naszym zdaniem na miano zrównoważonych inwestycji zasługują te, te i te. Sami je wymienili bez zbadania, tylko dlatego, że tak oni uważają. Następnie tylko te poddano ocenie, a wszystkich pozostałych nie i w ogóle nie analizowano tego. Więc czym to skutkuje? Jeśli

■ coś wpisuje się w katalog terminologii zrównoważenia, to ma prawo dostać pieniądze unijne. Jak się nie wpisuje, to nie może. Przykład bardzo niedawny. W programie infrastrukturalnym FEnIKS, gdzie zasiadam w Komitecie Monitorującym z ramienia Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, są największe pieniądze infrastrukturalne, jakie kiedykolwiek Polska widziała. I w tym programie np. zakazano dofinansowywania nowych budowli hydrotechnicznych, które mogą przegrodzić rzekę czy które mogą zwiększać klasę żeglowności polskich rzek. Bo zgodnie z terminologią to się nie kwalifikuje do zrównoważenia. Bo takie inwestycje mogą zawsze znacząco szkodzić środowisku, a zapisano w innych miejscach, by nie dokonywać znacząco istotnych szkód w środowisku (DNSH – do no significant harm – zasada nieczynienia poważnej szkody środowisku). I teraz znowu jest to bałamutne, bo po to

wały. Być może zostały przegłosowane. To też tak może być. Tak jak w przypadku Nature Restoration Law, kiedy Polska została przegłosowana. I teraz dochodzimy do ostatniego punktu. Zielony Ład pod hasłem „Fit for 55” jest zbiorem 13 regulacji, osiem regulacji jest aktualizowanych, pięć jest nowych. Europejski system handlu emisjami (EU ETS) to najważniejszy element polityki klimatycznej Unii, którego celem jest redukcja emisji gazów cieplarnianych poprzez uwzględnienie kosztu emisji CO₂. Wracając do pana pytania: Czy można to podważyć? Otóż tak, bo znowu popełnia się ten sam błąd, czyli nie ma strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. I dodatkowy argument: o ile 2014 r. nam się przedawnił już to trudno odkręcić, o tyle teraz możemy powiedzieć: „Dobrze, to my jednak żądamy strategicznej oceny i żądamy ewaluacji dotychczasowych skutków”. Zapewniam, że jeśli zażądamy ewalu-

formalnie. Czy przestrzegano procedur? Nie, to znaczy, że jest wada. Jak jest wada, to wstrzymujemy wdrożenie. Tak trzeba rozmawiać z nimi. Ja twierdzę, że jest wada proceduralna od października 2014 r. Ta wada jest ciągle powielana i teraz można na tej wadzie zbudować swoje przewagi i powiedzieć: „Dopóki nie wyliczycie wszystkiego bardzo szczegółowo (to da się wyliczyć, ale to jest bardzo dużo pracy), dopóty my jednostronnie jako państwo odstepujemy od wdrażania Zielonego Ładu, bo uważamy, że nie posiadamy wymaganej wiedzy, żeby zmusić społeczeństwo do wyrzeczeń, i nie wiemy, czy nam się to opłaca”. To jest metoda.

Zdaniem prof. Genowefy Grabowskiej, byłej europoseł, byłej szefowej Katedry Prawa Międzynarodowego i Prawa Europejskiego na Uniwersytecie Śląskim, TSUE jest czymś w rodzaju zaplecza Komisji Europejskiej i niekoniecznie kieruje się obiektywną analizą obowiązujących traktatów, a tak interpretuje prawo, by umożliwić Unii Europejskiej osiągnięcie celu. Czy wobec tego nie wydaje się panu, że TSUE nie zadziałałby niezgodnie z tym, czego chce Komisja Europejska, bez względu na to, czy było łamane prawo?

Zgadzam się akurat z prof. Genowefą Grabowską, bo przecież w sprawie kornika drukarza byłem w TSUE i widziałem, jak to się odbywa, jak beczelnie działali...

Tak samo w sprawie Zielonego Ładu mogą zadziałać beczelnie, prawda?

To odwróćmy zabawę. Niech oni nam udowadniają, że nie mamy racji, kiedy my powiemy, że nie płacimy, dlatego że nie ma tych danych, i niech nas pozwą do TSUE. A my powiemy: „Dobrze, to proszę nam udowodnić, że te dane istnieją. Proszę wyliczyć konkretnie”. To pozywający ma przeprowadzić dowód. I co? Do tego czasu nasza gospodarka nie traci, bo wstrzymujemy lub wręcz wypowiadamy niesprawdzone regulacje, a mówimy, że wypowiadamy dlatego, bo nam nie przedstawiono dowodów. Niech Komisja Europejska nas pozwie. Może będzie tak jak za Turów, a może nie będzie, dlatego że w przypadku Turowa myśmy sami zrobili błąd. Ja byłem w programie z panią prof. Grabowską akurat w wPolsce.pl u pani Aleksandry Jakubowskiej w sprawie Turowa. Powiedziałem, dlaczego

Gdyby nas próbowali pozywać w kwestii odrzucenia Zielonego Ładu, powiemy: „A w ramach jakiej procedury wy to robicie? Której? Tej, której nie ma?”. A jeśli jest ta procedura, to żądamy rzetelnej wyceny skutków

jest ocena oddziaływania na środowisko, żeby sprawdzić, czy nie doszło do istotnego negatywnego oddziaływania, a gdyby było takie ryzyko, to albo się rzeczywiście odstepuje od inwestycji, albo się ją zabezpiecza tak, żeby ona realizując cel społeczny, jak najmniej oddziaływała. Tylko że zgodnie z tą regulacją i terminologią zrównoważania w ogóle nie poddaje się ocenie, bo w programie FEnIKS, który głosowaliśmy niedawno, jest zapis, że jeśli dane przedsięwzięcie, jakiegokolwiek by ono było, musiało przechodzić ocenę oddziaływania i kompensację, to z automatu jest wyrzucone z procedury i dofinansowania. Nawet jeśliby wynik tej oceny oddziaływania na środowisko spowodował, że da się uniknąć długofalowych negatywnych skutków.

Rozumiem, że ten zakaz przyszedł z Brukseli?

Tak, ale my mieliśmy na niego wpływ, tylko żeśmy nieodpowiednio negocjowali. Rządy Platformy i PiS słabo negocjo-

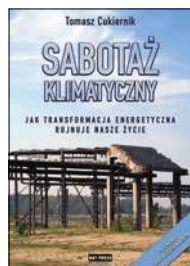
acji skutków, to wyłożymy Zielony Ład formalnie. Dlatego że na etapie oceny w 2013 r. nie było tych wyliczeń, więc nie mamy punktu odniesienia, więc nie ma możliwości wykazania korzyści wdrożenia, a skutki strat widzimy na ulicach.

Czy tej podstawy z lat 2013–2014 nie da się wyliczyć?

Da się wyliczyć, tylko że to nie było przeprowadzone w procedurze i tym można obnażyć manipulację z lat ubiegłych. Wykazując w sposób ewidentny, jednoznaczny wadę procedury strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. Z tak działającą Komisją Europejską nie da się wygrać, mówiąc, czy jest ocieplenie klimatu czy go nie ma, bo to jest dyskusja emocjonalna. Jedni powiedzą: „To co? Wy chcecie, żeby Ziemia się ogrzała?”. Drudzy powiedzą: „My nie chcemy, nam jest dobrze, jak jest ciepło”. To nie o to chodzi. Z Unią Europejską, z Komisją należy rozmawiać

przeegraliśmy. Pani Grabowska była zaskoczona, ale rzeczywiście widziałem, że kiwa głową, że to o to chodzi. My po prostu nie mieliśmy uruchomionej procedury oceny oddziaływania na środowisko i naszych racji nie włożyliśmy w ramy tej procedury. Powiedzieliśmy zapisem ustawy o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko z 2008 r., że jednokrotne przedłużenie koncesji wydobywczej dla Turowa nie wymaga procedury. Co ważne, mieliśmy do tego prawo, ale Komisja Europejska powiedziała, tak jak ona rozumie prawo: „Nie, to jest wada waszej ustawy i powinniście dokonać oceny oddziaływania na środowisko skutków przedłużenia koncesji wydobywczej. Więc kiedy my poszliśmy już później z tomami dokumentów, które udowadniały naszą rację, bo są wyliczenia, hydrogeolodzy, wszyscy mówią, że mamy rację, pani sędzia Rosario Silva de Lapuerta powiedziała: „Może macie rację, ale ja tych racji waszych formalnie nie widzę, bo nie ma procedury”.

I dokładnie to samo możemy zrobić, gdyby nas próbowali pozywać w kwestii odrzucenia Zielonego Ładu. Powiemy: „A w ramach jakiej procedury wy to robicie? Której? Tej, której nie ma?”. A jeśli jest ta procedura, to żądamy rzetelnej wyceny skutków i ewaluacji skutków wdrożenia regulacji w dokumencie prognozy oddziaływania na środowisko. Następnie żądamy poddania tak zebranego materiału ocenie strategicznej wpływu na środowisko z podziałem na regiony, jednostki NUTS i poszczególne branże obejmowane nową regulacją, np. budowlaną, transportową. Oczywiście każdej objętej EU ETS 2. Nawet gdyby KE miała jakąś rację, bo moim zdaniem całościowo nie mają, to zapytamy ich, z jakiego tytułu, w ramach jakiej procedury oni twierdzą, że tę rację mają. Niech wykażą, że w tej procedurze to przedstawili. To oni mają wtedy wykazać, jak pozywają. A my powiemy, kierując się wyrokiem w sprawie Turowa, a także Planów Urządzania Lasu



w Puszczy Białowieskiej: „Nie było procedury, w jaki sposób mieliśmy się dowiedzieć, że macie rację?”. To poważna wada wdrożenia regulacji i należy ją wykorzystać. Wtedy co najmniej zyskamy potrzebny nam czas na transformację gospodarcze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad ten jest fragmentem najnowszej książki redaktora Tomasza Cukiernika pt. „Sabotaż klimatyczny. Jak transformacja energetyczna rujnuje nasze życie”, która została właśnie wydana pod patronatem „Do Rzeczy”.



Dr Grzegorz Chocian

– biolog środowiska, ekolog, hydrobiolog. Doktor nauk medycznych. Prezes Fundacji Konstrukttywnej Ekologii EcoProBono. Członek wielu organizacji, stowarzyszeń biznesowych i społecznych, w tym ekologicznych.

REKLAMA

67 lat

historii filmu

Filmopedia

FILM

od 1946 roku

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org** I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zanim będzie
za późno!

Niedawno znalazłem w „Rzeczpospolitej” proste zestawienie dwóch danych, które mną wstrząsnęło. Chodzi o porównanie wyników finansowych całej przeogromnej państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej (PGZ) i polskiej prywatnej firmy zbrojeniowej Grupa WB.

Otóż w 2023 r. przychody owej przeogromnej PGZ, całego tego mnóstwa firm z mnóstwem nieruchomości i mrowiem pracowników wyniosły nieco ponad 10 mld zł, z eksportem o wartości 2 mld zł, podczas gdy w tym samym czasie przychody Grupy WB wyniosły 1,5 mld zł, z eksportem na poziomie połowy tych przychodów! W dodatku znaczna część eksportu PGZ to po prostu owoc umowy z 2022 r. na eksport armatohaubic Krab na Ukrainę.

Czyż to nie przerażające, że te wszystkie państwowe molochy, te wszystkie Meska i Łuczniczki, te wszystkie Jelcze, PIT-Radwary i Nitro-Chemy itd., itp. – w sumie ponad 50 spółek! – są w stanie produkować tak mało dobrego sprzętu i amunicji, że jest na nie tak mało zamówień z zagranicy (a i z kraju, po prawdzie, tyle co kot napłakał)? Albowiem w tej branży to dopiero kontrakty zagraniczne naprawdę weryfikują jakość wytwarzanej broni i amunicji, gdyż zamówienia krajowe nierzadko przecież dyktowane są chęcią po prostu podtrzymania przy życiu własnego kompleksu zbrojeniowego.

Tymczasem – mimo że od trzech lat za polską granicą trwa wojna, której rozlaniem się na nasz kraj politycy z taką ochotą nas straszą – to na polską zbrojeniówkę żaden z nich (ani z tego, ani z poprzedniego rządu) nie miał i nadal nie ma żadnego pomysłu. A minister obrony narodowej, Władysław Kosiniak-Kamysz, ma w tej sprawie do powiedzenia tylko tyle, że „odbudowa przemysłu zbrojeniowego to jest podstawa”, obiecując, iż „wspólnymi siłami z PGZ przeniesiemy polską zbrojeniówkę na wyższy etap rozwoju i produkcji”. No, bomba! Podobne kocopoły ma w tej kwestii do zaferowania jego szef, Donald Tusk, a jedynym „konkretem”, z którym pospieszyło Ministerstwo Aktywów Państwowych, któremu PGZ podlega, było ogłoszenie, że zamierza „stworzyć międzyresortowy zespół do opracowania strategii dla państwowego sektora obronnego”.

A może zamiast dalej tracić czas i pieniądze podatników na wieczne podnoszenie z ruin państwowej PGZ, najwyższy czas ją wreszcie po prostu sprywatyzować? Wzorując się na kwitnącej polskiej prywatnej firmie zbrojeniowej Grupa WB i na nieźle sobie radzącej nawet podczas wojny, w znacznej mierze właśnie prywatnej zbrojeniówce ukraińskiej?

Może najwyższy czas tego państwowego molocha PGZ sprywatyzować – zanim będzie za późno! Jeśli już nie jest na to za późno... ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przemysł
przykrywkowy
gen. Stróżyka

Podczas gdy gen. Jarosław Stróżyk, szef Tuskowej komisji do spraw wpływów rosyjskich i białoruskich, opowiadał w ubiegłym tygodniu, że Antoni Macierewicz to niemal rosyjski agent – czyli rozkręcał nowe przedsięwzięcie w ramach przemysłu przykrywkowego – pod bitą pianą znikły ważne informacje. Jedną z najbardziej porażających była ta o przygotowywaniu przez rząd nowych opłat dla samochodów ciężarowych.

Skutki nietrudno przewidzieć: dalsze stłamszenie polskiego sektora transportowego, wzrost cen przewozu towarów

Polski sektor transportowy otrzymał w ostatnich latach dwa bolesne ciosy. Pierwszym był pakiet mobilności, który w UE załatwiła sobie Francja specjalnie po to, żeby utrudnić działalność polskich firm, będących w owym czasie potentatem na unijnym rynku. Dziś tę pozycję już właściwie straciły, również dlatego, że rząd PiS nie był w stanie i nie chciał zdecydowanie sprzeciwić się otwarciu

europejskiego rynku transportu dla firm z Ukrainy, których zresztą pakiet mobilności nie obowiązuje. W końcu Ukraina nie jest w UE. To był cios numer dwa.

Teraz rząd zamierza dołożyć kolejne obciążenie, tłumacząc to koniecznością implementacji prawa europejskiego. To opłaty – jedna związana z emisją CO₂, druga z klasą Euro pojazdu – które mają być pobierane w ramach elektronicznego systemu e-Toll. W wykazie prac Rady Ministrów czytamy, że „rachunek ekonomiczny prowadzenia przedsiębiorstw zajmujących się profesjonalnie przewozem drogowym osób i towarów ma zachęcać właścicieli do inwestowania w pojazdy emitujące jak najmniej CO₂”. Ten bełkot oznacza tyle, że na firmy mające całkowicie sprawne i mogące jeszcze długo służyć pojazdy zostanie nałożony dodatkowy podatek, mający wymusić na nich kupno nowych samochodów, najlepiej elektrycznych. Całkowicie niepotrzebnie.

Skutki nietrudno przewidzieć: dalsze stłamszenie polskiego sektora transportowego, wzrost cen przewozu towarów, a co za tym idzie – wzrost inflacji, bo przecież koszt transportu bezpośrednio przekłada się na ceny z sklepach. Ale o tym rozmawiać niedobrze. Pogadajmy lepiej o tym, kto jest bardziej sojusznikiem Putina. ©©

Program satyryczny omawiający całkiem realne wydarzenia mijającego tygodnia. Prowadzący z przymrużeniem oka spoglądają na rzeczywistość. Do Republiki zapraszają mistrzowie ciętej i trafnej riposty – Sławomir Jastrzębowski i Rafał Woś.



NIEDZIELA
16:30

w Republice

RAFAŁ WOŚ

**SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI**





MERCEDES CLA 250E

Dwa silniki (spalinowy oraz elektryczny), dynamiczne nadwozie shooting brake oraz spory bagażnik – to według koncernu ze Stuttgartu recepta na usportowiony, elegancki, a jednocześnie praktyczny samochód, który jest o wiele seksowniejszy niż klasy A i który z zewnątrz wygląda na zdecydowanie droższy, niż rzeczywiście jest.

Określenie „shooting brake” używane było, jeszcze zanim wynaleziono pierwszy automobil, i początkowo odnosiło się do pojazdu konnego używanego głównie przez myśliwych. W motoryzacji służy do odróżnienia od klasycznych kombi tych aut, które łączą cechy różnych typów nadwozia

(w tym przypadku sportowego coupé z luksusowym sedanem z przestronnym kufrem).

Testowany egzemplarz to przedstawiciel drugiej generacji CLA już po delikatnym faceliftingu, podczas którego wprowadzono do oferty m.in. nowe lakiery (niebieski Hyper w egzemplarzu testowym wygląda super, ale wymaga niemal 4 tys. zł dopłaty).

Pod maską znajdują się jednostka benzynowa o 1,3 Turbo oraz silnik elektryczny, który nie tylko czerpie energię z rekuperacji, lecz także może być doładowywany z gniazdka. Łączna moc: 217,6 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 450 Nm. Napęd hybrydowy sprawia, że auto waży

1775 kg o długości 4688 mm, szerokości 1999 mm i wysokości 1453 mm od zera do pierwszej setki rozpędza się w 7,7 s. Prędkość maksymalna wynosi 226 km/h. Spalanie to średnio ok. 6,5 l/100 km.

W kabinie jakość materiałów (głównie plastików) jest na przyzwoitym poziomie, ale nie jest tak luksusowo, jak można by marzyć po wejściu do wnętrza samochodu klasy premium. Poszczególne elementy deski rozdzielczej są jednak dobrze spasowane. Samo wzornictwo jest miłe dla oka. Na pochwałę zasługują też duże ekrany o przekątnej 10,25 cala z obrazem o wysokiej rozdzielczości, a także sam system infotainment.

Nie można również narzekać na brak miejsca – zarówno z przodu, jak i z tyłu. Fotele są wygodne i dobrze trzymają ciało na ostrych zakrętach. Zaletą CLA jest wspomniany już duży bagażnik. Pojemność kufra wynosi 445 l, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1350 l (właściciel hybrydy typu plug-in ma więc o 40 l do dyspozycji mniej niż w przypadku modeli z innym rodzajem napędu). Ma też mniejszy bak, który mieści zaledwie 35 l paliwa. W trybie elektrycznym autem tym można przejechać ok. 45 km. Czas ładowania akumulatora od 10 do 80 proc. na szybkiej ładowarce wynosi 28 min (a na domowym Wallboxie 4,5 h).

Najtańszego nowego mercedesa w odmianie CLA można kupić już za 182,2 tys. zł. Wersja hybrydowa to teoretycznie wydatek co najmniej 218,9 tys. zł, jednak konfigurator od razu wymusi pakiet AMG Advanced Plus, który winduje cenę do 253,4 tys. zł. Może być oczywiście drożej. Testowany model był wyceniony na ok. 300 tys. zł.

FOT. JAP

KONTROLER TURTLE BEACH STEALTH ULTRA

Niskie opóźnienie, precyzyjne gałki AntiDrift oraz wbudowany kolorowy wyświetlacz typu OLED – to największe zalety zaawansowanego bezprzewodowego kontrolera do konsoli Xbox/PC amerykańskiej firmy Turtle Beach.

Solidnie wykonany kontroler z poprawiającą chwyt karbowaną gumą na pierwszy rzut oka wyróżnia OLED-owy wyświetlacz Connected Command Display. Jak z zaskoczeniem stwierdziłem podczas testu, kolorowy ekranik to wcale nie przerost formy nad treścią. Służy on bowiem nie tylko do szpanowania przed sąsiadami i znajomymi (jak zakładałem na początku), lecz także znajduje wiele praktycznych zastosowań w czasie grania (dostarcza sporo użytecznych informacji, w tym powiadomienia z komunikatorów). Zadowoleni z wyglądu powinni być również ci gracze, którzy lubią łatwe do spersonalizowania światła LED RGB (do wyboru są 16,8 mln kolorów oraz różne style podświetlenia).

Turtle Beach Stealth Ultra oferuje możliwość skonfigurowania 10 profili, pomiędzy którymi można się błyskawicznie przełączać (np. w zależności od



tego, w jakiego rodzaju grę akurat gramy). Zasięg ważącego tylko 245 g kontrolera wynosi 10 m. Dzięki technologii zapobiegającej driftowaniu analogowych joysticków (czyli problemowi polegającemu na niechcianym i niekontrolowanym ruchu, który sprawia, że np. nasz bohater zaczyna się poruszać, choć my sami nie położyliśmy jeszcze kciuków na joystickach) na testowanym kontrolerze gra się świetnie – i to nie tylko w strzelanki czy w różnego rodzaju bijatyki.

Plusem testowanego urządzenia jest też to, że w zestawie poza samym kontrolerem znajdują się również stacja ładowująca oraz futerał. A co z baterią? Według producenta akumulator wytrzyma do 30 godzin grania na jednym ładowaniu. Mój egzemplarz nie zdołał tego powtórzyć, ale 15 godzin jest jak najbardziej osiągalne (zresztą po całym dniu lub nocy w wirtualnym świecie warto na chwilę zrobić sobie przerwę i odłożyć kontroler do stacji ładowania).

Minusy? Poza baterią, która mogłaby być pojemniejsza, największa wada tego urządzenia to jego cena. Turtle Beach Stealth Ultra stanął już co prawda od premiery, ale nadal jak na kontroler kosztuje dużo. Cena: 799 zł. ☹☹

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ostatnia ambasada **carowej**



JACEK KOMUDA

Gdzie mieściła się ambasada moskiewska w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej? Siedziba pośła, który trząsł resztkami państwa okrojonego po sejmie grodzieńskim? W Warszawie, w pałacu Młodziejewskiego przy ulicy Miodowej, dziś pod numerem 10. Tutaj urzędował aż do 18 kwietnia 1794 r. ostatni wysłannik Moskwy – Osip Andriejewicz Igelström.

Pałac Młodziejewskiego wzniesiony został pod koniec XVII w. dla wojewody mazowieckiego, a potem sandomierskiego Stanisława Morsztyna, poety, polityka i żołnierza. Później należał do Stefana Bidzińskiego, znakomitego zagończyka, podwładnego króla Sobieskiego; w 1707 r. gościł w nim car Piotr I. W latach 60. XVIII w.

należał do biskupa przemyskiego Andrzeja Młodziejewskiego, płatnego pachółka Moskwy pobierającego jurgielt od rosyjskiego ambasadora. W 1782 r. pałac został wystawiony na licytację, a nabywcą okazały się władze

moskiewskie, które przeznaczyły go na siedzibę poselstwa. W 1794 r. były to jednocześnie rezydencja ambasadora i więzienie, skarbiec oraz archiwum tajnych dokumentów.

Igelström ambasadorem był nieudolnym. Chociaż skupiał w rękach zarówno władzę gubernatora, jak i dowódcy rozłożonych w kraju wojsk, to nie zdołał zapobiec wybuchowi powstania kościuszkowskiego. Od Rady Nieustającej żądał prawa do aresztowania bez wyroku sądu i otoczenia Warszawy wojskiem. Stworzył też armię donosicieli, co wywołało szok



FOT. DOMENA PUBLICNA

u współczesnych Polaków, dotąd przyzwyczajonych do wolności wypowiedzania się.

Wszystko na nic – 17 kwietnia, po wybuchu insurekcji kościuszkowskiej w Warszawie, pułk gwardii konnej rozbił wartę rosyjską przy Żelaznej Bramie i stoczył walkę z trzema rotami grenadierów syberyjskich, a wojska polskie zaczęły gromadzić się pod Arsenałem na Długiej. Mieszczanie natychmiast przyłączyli się do powstania, atakując oficerów i pojedynczych żołnierzy. Igelström obsadził wojskiem ulicę Miodową i oba jej wyjścia: na Senatorską i na Długą. Kiedy jednak Moskałe zostali pobici pod Arsenałem, część sił wycofała się właśnie do pałacu Młodziejewskiego. Ambasador został odcięty od pozostałych oddziałów, co sparaliżowało obronę moskiewską, a pamiętajmy, że każdy dowódca bał się podejmować decyzji na własną rękę i podobnie jak dziś czekał na dyspozycje „z góry”, czyli od Igelströma, dowódcy wojsk okupacyjnych. Ten zaś był w obłęzieniu.

Wczesnym rankiem 18 kwietnia Stanisław Mokronowski próbował kilkakrotnie zdobyć pałac, wysyłając w bój zarówno regularne oddziały piechoty, jak i milicję miejską. Rosjanie odparli kilka szturmów. Widząc jednak klęskę wojsk moskiewskich w stolicy, Igelström zdecydował przebić się do niedale-

kiego pałacu Krasińskich, pozostawiając za sobą zrujnowaną i płonącą rezydencję Młodziejewskiego. Kiedy zaś nie zdołał wydostać się poza miasto i został ponownie okrążony, poprosił o kapitulację. Mokronowski zgodził się, jednak ambasador złamał warunki i uciekł do wojsk pruskich obsadzających Powązki, a potem do Karczewa, wyprowadzając ok. 400 żołnierzy i kilka dział.

Powstańcy wpadli teraz do zrujnowanego i częściowo spalonego pałacyku, gdzie znaleziono 95 tys. dukatów w skarbcu Igelströma, dokumenty i tajne archiwum poselstwa moskiewskiego. Z piwnic uwolniono przetrzymywanych więźniów. Najciekawsze okazało się częściowo spalone archiwum poselstwa warszawskiego. Znalaziono kwity wypłat jurgieltów oraz rozliczenia – jak pisał Władysław Konopczyński – „kasy gadzinowej” zaborców, z której opłacano zdrajców – np. Adama Ponińskiego i Augusta Sułkowskiego. 23 sierpnia opublikowano je w „Gazecie Rządowej”, pomimo sprzeciwu króla Stanisława Augusta, który sam znajdował się na tej liście. Opublikowano sumariusz wydatków, ujawniając kolejnych zdrajców – Szymona Dzierzbickiego, wojewodę łęczyckiego, marszałka nadwornego litewskiego Władysława Gurowskiego, kanclerza koronnego Andrzeja Młodziejewskiego i wielu innych.

Igelström przegrał, a jego kariera zawisła na włosku. Został odwołany z Polski i przez jakiś czas przebywał w Rydze. Dopiero po śmierci Katarzyny jej następcą Paweł mianował go gubernatorem Orenburga, na granicy Europy i Azji. Po pobycie w Warszawie było to prawie zesłanie. © ©



PKS OBA



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Gęsina raz!

Wiemy, że o gęsinie pisaliśmy już rok temu, ale taka jest chyba natura świata, że się zmienia, a także się powtarza. Przypaść też trzeba, że żyjemy rytmem przyrody i o określonej porze roku smakują nam określone potrawy. Gdy zawiewa jesiennym chłodem, gdy po zmianie czasu wieczory są dłuższe i wydają się ciemniejsze, gdy potrzebujemy treściwego, a także wzmacniającego jedzenia, na stołach pojawia się gęsina. Gęsi karmi się głównie naturalnymi zielonkami, ziarnem owsa, dlatego też polska gęś jest nazywana na świecie gęsią owśianą. Jest to równoznaczne z dobrą oceną tego mięsa. Gęsi tłuszcz także jest bardzo zdrowy, a mięso ma wysoką zawartość kwasów omega-3. Gęsina zawiera sporo białka i witamin, magnez, fosfor i żelazo. Poza tym rozgrzewa i bardzo przydaje się w sezonie przeziębień, kaszlu i kataru. Sprawdzony babciny sposób na objawy przeziębienia: rozpuścić smalec gęsi z miodem w gorącym mleku. Tak przyrządzoną miksturę należy wypić przed snem. Wykazuje ona działanie rozgrzewające. Tłuszcz z gęsi ma zastosowanie w leczeniu ludowym również do smarowania klatki piersiowej i pleców przed snem. Warto wypróbować.

Należy jednak korzystać z pełni możliwości, które daje gęsina, a więc podawać ją przyrządzoną na różne sposoby na św. Marcina i w ogóle w listopadzie. A właściwie dlaczego gęsinę jada się w dniu naszego Święta Niepodległości, czyli na św. Marcina? Legenda mówi, że kiedy papież wyznaczył Marcina na następcę biskupa miasta Tours we Francji, ten, nie chcąc przyjąć stanowiska, schował się w gęsiarni. Gęsi jednak wydały Marcina, który musiał objąć posadę biskupa.

Fakty są takie, że proces hodowli gęsi jest sezonowy. W naszym klimacie ptaki te znoszą jaja tylko od lutego do lipca, a czas chowu trwa 16 tygodni. Czyli młoda gęś trafia na rynek wczesną jesienią i wtedy też smakuje najlepiej. Polska hodowla wiezie prym na świecie, nasze gęsi smakuje fenomenalnie, mięso jest delikatne i jest bardzo zdrowe. Tym z was, którzy nie mają czasu na pieczenie gęsi albo nie potrzebują takiej ilości mięsa, proponujemy jabłka nadziewane gęsiną – łatwo je podawać i dobrze wyglądają.

Jabłka nadziewane gęsiną

Składniki: • 8 dużych zdrowych jabłek • połówka gęsi pieczonej mrożonej • łyżeczka majeranku • 2–3 łyżki pokruszonych orzechów włoskich • łyżka płynnego miodu • sól, pieprz

Przygotowanie: Jabłka umyć, odciąć kapelusz od strony ogonka i wydrążyć gniazdo nasienne. Gęś pieczoną rozmrozić i pokroić na drobne kawałki, ze skórką lub bez – w zależności od preferencji. Orzechy wymieszać z miodem, a następnie z pokrojoną gęsią, majerankiem i pieprzem (można dodatkowo delikatnie posolić). Takim farszem nappełnić jabłka. Wyłożyć na papier do pieczenia skropiony olejem i wstawić do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. Piec ok. 30 min. ©



FOT. ANDRZEJ STOK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Oko i dłoń malarza

Na widok tłumu kłębiącego się przed „Moną Lisą” w paryskim Luwrze można nabrać przekonania, że świat pasjonuje się sztuką. Na wystawy Vermeera, Rembrandta, Picassa bilety rezerwuje się pół roku wcześniej, kuratorzy stają się bohaterami narodowymi. Do naszych muzeów na tzw. hitowe wystawy też trzeba postać w kolejce.

Dla tych, którzy nie załapali się do Rijksmuseum, są coraz doskonalsze albumy sztuki oraz Internet. Jednak czy wystarczy obejrzeć? Dobrze jest zrozumieć. To rola popularyzatorów i to takich, którzy mówią zrozumiałym językiem, tak jak pisali mistrzowie: Jan Białostocki czy niezrównany Gombrich.

Doktor Grażyna Bastek, historyczka sztuki z Muzeum Narodowego w Warszawie, w radiowej Dwójce opowiadała o obrazach. Audycja zniknęła. Szkoda, ale na pocieszenie mamy książkę „Ilustrownik”. To album różny od tego, czego zazwyczaj oczekuje się od książki o sztuce. Autorka daje nam narzędzia do głębokiego zrozumienia malarstwa. Oprowadza nas po zapleczu, a to są zawsze ciekawe wędrowki. Bo to, że van Gogh umarł w nędzy, że Vermeer namalował 30 obrazów, z grubszą wiedzą. Resztę wiedzą praktycy i jest to rodzaj wiedzy tajemnej. Materiały, techniki, sposoby, sztuczki, iluzje, wielkie zamierzenia i prawda życia... Oko i dłoń malarza. Czas, który zmienia obraz i nasze



GRAŻYNA BASTEK
„ILUSTROWNIK”
PWN 2024

jego widzenie. Ta książka jest trochę jak książka kucharska o sztuce. Otrzymujemy przepisy wspaniałych dań, ich składniki i sposób przyrządzania.

W podejściu autorki ujęło mnie nieczęste w ustach badacza historii sztuki (historycy sztuki to sekta) stwierdzenie autorki: „Nie jest to typowy słownik również dlatego, że w tłumaczeniu poszczególnych zjawisk dopuszczona jest niepewność wynikająca z przekonania, że po pierwsze, nie wiemy wszystkiego o procedurach dawnych mistrzów i działalności wytwórców materiałów malarskich, a po drugie nie sposób precyzyjnie wyjaśnić słowami wszystkich subtelności dawnych technik malarskich”.

Trzeba mieć klasę, żeby z szacunkiem i pokorą podejść do opisywanego materiału. A przecież tutaj wykonano solidną robotę dokumentacyjną. Otrzymujemy kompendium wiedzy o malarstwie mistrzów europejskich od późnego średniowiecza do kresu nowożytności. Kupcie na Gwiazdkę, zaciekawi 14-latkę i nie znudzi emeryta.

PS „Oko i dłoń malarza” to książka Ignacego Witza o malarstwie dla dzieci; czytałam ją w dzieciństwie. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sankcje – miecz obosieczny

Wciąż nie mogę się doczekać jakiejś porządnej analizy problemu: „Czy sankcje nałożone na Rosję odnoszą swój skutek?”. Należy przypomnieć, że nie tylko skutek jest ważny, lecz także pewien mechanizm związany z nakładaniem sankcji. Często prowadzą one do tego, że obłożony nimi zaczyna się rozglądać, czy być może gdzieś indziej – albo nawet u samego siebie – zdoła znaleźć zamienniki towarów i usług, które wraz z sankcjami zniknęły. Mamy tu więc dwie kwestie: Czy sankcje działają na Rosję? A jeśli tak, to czy w stopniu na tyle znacznym, że „pożaruje” ona swego ataku na Ukrainę?

Wydaje mi się, że Rosji udało się oprzeć tym sankcjom. No bo popatrzmy: Czy to, co jej Zachód zabrał, dała radę czymś zamienić? Moim zdaniem dała radę. I nie mówię tu tylko o iPhone'ach, bo te Rosjanom dostarcza Chiny, nie mówię też o McDonaldach, bo i tu Rosjanie znaleźli jakieś swoje obciachowe zamienniki i namiętnie publikują informacje o zatruciach w tej amerykańskiej sieci fast food. To tylko kulturowe znaki zachodniej ekspansji, jak widać – zamienne. Surowce mają „raczej” u siebie, co do technologii – to tu już słabiej, ale nowy chiński kolega Rosji ma ich w bród i zaczyna mocno w tym względzie wyprzedzać USA, o Europie już nie wspominając. No to może międzynarodowy system rozliczeniowy, taki

Swift? Też nie – tu wychodzi, że najnowsze ruchy BRICS mają podważyć prymat dolara, ale najpierw chcą się tam zabezpieczyć nie co do waluty, ale międzynarodowego systemu rozliczeniowego, więc skonstruowano założenia alternatywnego BRICS Pay. Jeśli do tego dojdzie odejście od dolara, to będzie już po amerykańskim makao.

Pokazuje się ta obosieczność sankcji. Te instrumenty, szczególnie dolar i system rozliczeniowy, działały wtedy, kiedy USA miało światowy prymat oparty na powojennych ustaleniach z Bretton Woods. Ale to już nie działa. Czyżby więc m.in. sankcje przyspieszyły albo nawet zainicjowały ten proces? Zachód ma coraz mniej narzędzi do przywoływania buntowników do porządku. Właśnie – buntowników. Teraz jest ich cała paka i trudno, jak to kiedyś robiło ZOMO, tłum prosić na jednostki i spałować po kolei. Kiedyś Zachód – również jak ZOMO fabryki we Wrocławiu na strajku w stanie wojennym – najeżdżał buntowników pojedynczo. Teraz ci się skrzyknęli, obrośli w muskuły zafundowane przez globalizm i nie da się ich już pojedynczo spałować liberalną demokracją.

A więc gdy usłyszymy o kolejnych sankcjach nałożonych na Chiny czy Rosję, pomyślnie, czy przypadkiem nie cieszymy się z działań kontrybucyjnych, które tylko przyspieszają trendy, z którymi chcielibyśmy walczyć? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Kardynał się nie wtrąca

Wracam do wywiadu metropolity warszawskiego udzielonego Bogdanowi Rymanowskiemu, ponieważ obawiam się, że kard. Nycz wie coś, czego my nie wiemy. Chodzi o syntezę prac zakończonych Synodu (który jednak chyba się nie zakończył i będzie miał modernistyczną agendę, rozmywając zupełnie nauczanie Kościoła). Na pytanie: „Czy Kościół poprze projekt związków partnerskich zaproponowany przez panią minister Katarzynę Kotulę?” kard. Nycz nie odpowiedział wprost. Hierarcha zapewnił, że Kościół nie będzie się wtrącał w prace legislacyjne w parlamencie – od tego są politycy – i dalej: „Problem nie jest taki łatwy i taki prosty, w związku z tym oddzielmy to, co należy do warstwy legislacyjnej, od tego, co należy do warstwy moralnej Kościoła”.

Zdumiewa, że kardynał nie rozszyfrował pojęcia „związki partnerskie”. Manipulacja przecież polega na tym, czego ani tęczowe środowiska, ani Kotuła nie kryją – że projekt ustawy o związkach partnerskich jest skrojony tak, by obsługiwać żądania mniejszości seksualnych.

Można było odczuć, że hierarcha „związki partnerskie” rozumie tylko jako zwykłe konkubinaty, unikając oceny homozwiązków. Obie formy są niemoralne, a w przypadku homozwiązków problem jest większy. Osoby żyjące w konkubinacie mogą swoją sytu-

ację uzdrowić – pojechać się z Bogiem i zawrzeć sakrament małżeństwa. W przypadku związków jednopłciowych takiej możliwości nie ma.

Odpowiadając na pytanie: „Czy Kościół poprze projekt ustawy o związkach partnerskich?”, kardynał nie skorzystał z okazji i nie powiedział, że Kościół uważa je za nieuporządkowane i grzeszne i takich związków nie popiera! Ponadto metropolita mówi, że Kościół zostawi tę sprawę politykom.

Ale przecież prawo jest normotwórcze, a politycy ustanawiają reguły życia dla wszystkich. Złe prawo demoralizuje obywateli i niszczy ład społeczny. Nie łudźmy się. Mamy ogrom przykładów pokazujących, że w państwie, gdzie jest bezbożne prawo, katolik nie może żyć po swojemu, jakby z boku złego systemu. W kraju nienormalnego prawa normalność staje się oskarżeniem. Każda dyktatura dąży do podporządkowania sobie wszystkich sfer, wprowadzając nienormalność przemocą. Oparta na fałszywej antropologii w kłamstwo musi włączyć wszystkich.

Niestety, kardynał nie chciał tego powiedzieć setkom tysięcy widzów. Nie powiedział też, że nierozumne małżeństwo wynika z prawa naturalnego, któremu objawienie Boże nadaje sankcję sakralną. Chyba że w Watykanie już zadecydowali inaczej, a my jeszcze żyjemy w błogiej nieświadomości. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Na drogach inwestycji

Trzaskowski jechał tramwajem; to omen, że rusza kampania prezydencka, bo zaczyna udawać obywatela. Stop. Niewykłuczone, że robił to pierwszy raz w życiu, bo nie za bardzo wiedział, jak w tramwaju zachowuje się społeczeństwo: koło niego stała kobieta, a on siedział. Stop. Być może pamiętają państwo przedświąteczny wpis Rafała w mediach społecznościowych, ze zdjęciem z własnej kuchni: żona stoi i coś pichci, a Trzaskowski siedzi na stołku i uśmiecha się do fotografa. Stop. Tamto foto z kuchni usunął, gdy się zorientował, że lekko trąci seksizmem. Stop. Rafał zdecydowanie powinien zatrudnić doradcę od zachowań ludzkich...

Smakowite lewicowe pogaduchy wyskakują z mediów społecznościowych jak dialog Anny Marii Żukowskiej z Pauliną Matysiak. Stop. Najpierw poinformowano, gdzie w mediach wystąpi jednego dnia Paulina, z komentarzem: „Będzie kolejne ratio” – czyli osąd, opinia. Stop. Na to zareagowała Anna Maria, która za wschodzącą gwiazdą lewicy, zwaną też Bestią z Kutna, delikatnie mówiąc, nie przepada (kobiety nie lubią się dzielić popularką), pisząc: „Wiadomo, w polityce najbardziej liczy się ratio na Twitterze”. Stop. Okrucieństwem najczystszej próby zareagowała na to Paulina, potwierdzając trafność swego przydomku: „Dla niektórych podobno dowożenie. Szkoda, że swoich działaczy po publiczne stołki”. Stop. Abstrahu-

jąc od kobiecych pogaduszek: w stwierdzeniu, że lewica sprzedała się Tuszkowi za ministerialne stołki, może kryć się nieco prawdy.

Jak to usłyszałem, na sześć minut osłupiałem. Rząd Tuska zadłuży Polskę w sposób nie notowany od chrztu w 966 r., a premier tryska zadowoleniem: „Deficyt jest większy, bo udało nam się więcej osiągnąć, niż zakładano” – oznajmił. Trochę się boję, że w 2025 r. będzie się publicznie chwalił bankructwami spółek Skarbu Państwa, podskakując przy tym sznitem Giertycha. Stop.

Najbrzydszy budynek świata, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, powstał obok najbrzydszego budynku w Warszawie, Pałacu Kultury i Nauki. Budynek, który wygląda jak kontenery dla robotników, kosztował 670 mln zł i ktoś te pieniądze wziął. Stop. A tu dialog z „Misia”:

– Po co jest ten miś?

– Właśnie, po co?

– Otóż to! Nikt nie wie, po co, więc nie musisz się obawiać, że ktoś zapyta. Wiesz, co robi ten miś? On odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa. To jest miś na skalę naszych możliwości. Ty wiesz, co my robimy tym misiem? My otwieramy oczy niedowiarkom. Bo to jest miś społeczny, w oparciu o sześć instytucji, który sobie zgnije do jesieni na świeżym powietrzu. I co się wtedy zrobi?

– Protokół zniszczenia.

– Prawdziwe pieniądze zarabia się tylko na drogich, słomianych inwestycjach. ©©

DARIUSZ
WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Tłok na Łysej Górze

Niezwykle bohaterki przedstawia nam BBC. Zamieszczony na portalu brytyjskiego nadawcy reportaż zatytułowany jest tajemniczo „To nie jest groźniejsze niż poród. Kobiety oddział zestrzeliwuje rosyjskie drony”. Tekst opowiada nam o grupie ukraińskich kobiet po pięćdziesiątce, które sformowały oddział obrony przeciwlotniczej. Dzielne panie nazwały swoją jednostkę Wiedźmy z Buczy (The Witches of Bucha) i stanęły na straży ojczystego nieba. Jednostka uzbrojona jest w dwa karabiny systemu Maxim, zamontowane na podwoziu półciągarówki. Brytyjski wynalazca Hiram Maxim prace nad ich konstrukcją rozpoczął w roku 1884. Już w 1910 r. produkcję karabinów Maxim M1910 rozpoczęto w Rosji carskiej i z niewielkimi zmianami wytwarzano je także w Rosji sowieckiej, do zakończenia drugiej wojny światowej. Egzemplarze „Wiedźm z Buczy” pochodzą z roku 1939 i – jak zapewnia brytyjski dziennikarz – są w doskonałym stanie. Żołnierki twierdzą, że od lata zestrzeliły trzy drony.

Kobieca służba nie jest lekka. „Mam 51 lat, wagę 100 kg, nie mogę biegać” – opowiada pani Walentyna, z zawodu weterynarz, która wybrała sobie w wojsku pseudonim Walkiria. „Myślałam, że mnie odeślą do domu, ale zostałam przyjęta”. Wojskowym zadaniem „Walkirii” jest nasłuchiwanie

nadlatujących maszyn wroga. „To nerwowa praca. Trzeba się skoncentrować i nasłuchiwać najcichszych dźwięków”. Jej koleżanka, Inna, także ma już za sobą 50. urodziny. W cywilu nauczycielka matematyki, do roli kobiet na wojnie przykładając swoje miary: „Jest groźne nie jest? A przecież trzy razy rodziłam. Mężczyzn nie ma, ale my zostałyśmy. Czego nie zrobią ukraińskie kobiety? Mogą zrobić wszystko”.

Dowodzący sektorem obrony płk Andriy Verlaty miał do niedawna w szeregach niezdolnych do służby mężczyzn. Po reformie systemu mobilizacyjnego wszyscy okazali się zdolni. „Okolo 90 proc. moich ludzi poszło do regularnej armii, pozostałe 10 proc. rozbiegło się i ukryło jak szczury. Zostali nam mężczyźni bez nóg albo połowy czaszki”. Rekrutowanie kobiet okazało się koniecznością.

W przedłożonym przez prezydenta Zełenskiego wielopunktowym planie ukraińskiego zwycięstwa mowa jest o zastąpieniu, po wojnie, kontyngentów wojsk amerykańskich w Europie wojskami ukraińskimi. Jeśli gwarantem naszego bezpieczeństwa w europejskich strukturach NATO miałyby być oddziały „Wiedźm z Buczy”, to proponuję, by wyzwolonym walkiriom uprzejmie za ich usługi podziękować. Własne wiedźmy nie gorsze, i zdążyliśmy się do nich przyzwyczaić. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Analogie

Dzisiaj, gdy widzimy, jak dla naszego dobra, dla dobra walki z ociepleniem klimatu, śladem węglowym i populizmem Unia Europejska staje się na naszych oczach superpaństwem, gdy państwa członkowskie (zwłaszcza te „podatne na populizm”) znaczą coraz mniej w kontraście do przechwytyjących coraz więcej kompetencji unijnych organów na czele z Komisją Europejską (Traktaty? Jakże traktaty?), nasuwa się pytanie o historyczne analogie. W tym kontekście zazwyczaj pojawiają się zestawienia ze Związkiem Sowieckim („eurokołchoz”). Zważywszy jednak na to, jakie państwo odgrywa (oczywiście dla naszego dobra) rolę „dobroczynnego hegemonu” w UE, warto przywołać zupełnie inną analogię.

Państwa unijne ciągle istnieją, ale znaczą i mogą coraz mniej

Utworzona przez Prusy w 1871 r. Rzesza Niemiecka nie była państwem unitarnym. Chociaż Niemcy zostały zjednoczone „krwią i żelazem”, to ciągle było to „związek państw”, a nie „państwo związkowe”. Pozostałości dawnych partykularyzmów były bardzo silne i ustrojowo umocowane w konstytucji Rzeszy. Dość wspomnieć, że państwa wchodzące w jej skład utrzymywały osobne przedstawicielstwa dyplomatyczne. Saksonia miała poselstwo w Berlinie, a Prusy w Monachium. Królestwo Bawarii miało własną ambasadę przy Stolicy Apostolskiej.

Hohenzollernowie, Wittelsbachowie, Wettynowie oraz inne pomniejsze dynastie niemieckie

były najbardziej widocznym śladem tych dawnych, ale ciągle funkcjonujących w sferze polityczno-ustrojowej odrębności. Bismarckowska Rzesza była bowiem formalnie związkiem domów panujących. Co najważniejsze jednak, państwo to nie posiadało suwerenności podatkowej. Budżet Rzeszy, aż do pierwszej wojny światowej, tworzyły składki uiszczane przez państwa członkowskie, ustalone wedle kryterium demograficznego. Prusy – największe i najludniejsze państwo w Rzeszy – płaciły najwięcej i decydowały o wszystkim. Berlin zadbał przy tym, by nie demonstrować za bardzo swojej „dobroczynnej hegemonii”. W izbie wyższej cesarskiej Rzeszy (Bundesrat) Prusy nie miały większości, zadowolając się pulą głosów, która skutecznie mogłaby blokować jakiegokolwiek niekorzystne dla nich decyzje.

Coś nam to przypomina? A przecież analogii jest więcej. Forsowana obecnie reforma systemu budżetowego w UE i zasada działania KPO, która sprowadza się do tego, że Polska już niedługo będzie finansować bogatsze od siebie państwa unijne, przypomina sytuację, gdy w II Rzeszy Polacy, płatnicy podatków do pruskiego budżetu, finansowali pośrednio całą Rzeszę. Nie mówiąc już o takiej „drobnostce”, że budżet powołanej do życia z inicjatywy Bismarcka pruskiej Komisji Kolonizacyjnej (1886) też składał się z podatków płaconych przez poddanych króla pruskiego; w tym przez Polaków, przeciw którym komisja ta została powołana.

Tak na marginesie, czy ktoś już zbadał analogię między pruską polityką kolonizacyjną w zaborze pruskim na przełomie wieków

XIX i XX a kolonizacją Zachodniego Brzegu i innych ziem palestyńskich, uprawianą ponad pół wieku przez Izrael? Wynik takich badań dla tych, którzy wiedzą, że aż do 1914 r. główną bazą (organizacyjną, finansową) ruchu syjonistycznego były Niemcy, nie byłby być może wielkim zaskoczeniem.

Uchwalona w 1919 r. konstytucja republikańskiej i demokratycznej Rzeszy Niemieckiej czyniła z tego państwa unitarny byt polityczny. Dynastii już nie było, Rzesza zyskała suwerenność podatkową, tj. ściagała sama podatki. Istniały Prusy, Bawaria i inne państwa członkowskie, ale tak naprawdę o wszystkich najważniejszych sprawach decydował rząd centralny w Berlinie. Był pluralizm, była demokracja, była różnorodność jak się patrzy (Berlin mienił się w latach 20. wszystkimi kolorami tęczy). No i od prawa do lewa zgodnie piętnowano „polski imperializm”, „polską niewdzięczność” i „prześladowanie mniejszości narodowych w Polsce”.

Dzisiaj UE – za zgodą obecnego i byłego rządu RP – uchwala co rusz nowe podatki (od czystego powietrza, od relokacji imigrantów, od czystej wody etc.). Państwa unijne ciągle istnieją, ale znaczą i mogą coraz mniej. „Dobroczynny hegemon” zachowuje większość, która sprawia, że nic, co byłoby wbrew jego woli, się nie zdarzy. On wie, co jest praworządne, a co nie. Który trybunał jest ważny, a który nie. Który sąd najwyższy jest „neo”, a który nie. A zważywszy na to, że przecież to ten sąd stwierdza ważność wyborów i referendum (np. o Zielonym Ładzie), wiedza „dobroczynnego hegemonu” jest władzą niemal absolutną. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zrobiliśmy wszystko, co było po ludzku wykonalne, aby w tych wyborach zwyciężyło dobro przeciw złu. Takie stwierdzenie wygląda jak wyciągnięte z kościoła, a nie o to chodzi. Ronald Reagan nazywał Związek Sowiecki „Imperium Zła” i miał rację, bo Sowietci reprezentowali zło i czynili zło. Wtedy w Polsce nikomu nie trzeba było tłumaczyć, że gdy ks. Jerzy Popiełuszko mówi „Zło dobrem zwyciężaj”, chodzi o konkretne zło wcielone, którym byli komunizm, komuniści, Jaruzelski. Tamci komuniści poumierali, ale są nowi: Schwab, Soros, Clintonowie, deep state. Wszyscy oni propagują zło: rząd światowy, czyli dyktaturę o zasięgu globalnym, ograniczenia w dostępie do wody, transportu, ogrzewania, jedzenia, gotówki.

Zrobiliśmy w tej kampanii wszystko, co było po ludzku wykonalne. Seria zdarzeń niebywała, niespotykana – największe poruszenie patriotyczne w historii Ameryki. Patrząc po ludzku, przeciwnik ma więcej sił i środków. Oraz nie ma skrupułów. Przeciwnik ma w swoich rękach aparat państwa – ten jawny i ten ukryty – deep state. Przeciwnik ma po swojej stronie wpływowych klientów J. Epsteina, którzy zabawiali się z nieletnimi panienkami na „wyspie rozkoszy”. Epstein prowadził luksusowy burdel dla władców tego świata. Na liście gości: Bill Gates, Bill Clinton, członek brytyjskiej rodziny królewskiej, bankierzy... Żaden z nich nie wypiera się, nie zaprzecza. Bill Gates coś tam bąknął, że może to był błąd i tyle. Głosy poparcia Kamali Harris płynące ze świata show-biznesu



to jak sprawdzanie obecności listą Epsteina – meldują się po kolei: Bruce Springsteen, Beyoncé, a nawet DiCaprio.

Wielcy macherzy tego świata mają władzę i nieograniczone fundusze do promocji Kamali. Mają też narzędzia szantażu, takie jak filmy z wyspy Epsteina. Taki film może zrujnować karierę lub zaprowadzić do więzienia na resztę życia.

Zrobiliśmy wszystko, co po ludzku mogliśmy zrobić. Teraz pozostaje nam czekać na cud zwycięstwa z mocami większymi od nas. Ale na cud trzeba zapracować. Donald Trump pracuje jak wół. Robi, co do niego należy. Ora et labora – pracuje i modli się publicznie przy robocie. Odbywa po dwa wiece dziennie plus wywiady i konferencje prasowe. Kamala przeciwnie – przed wyborami ukryła się i siedzi cicho. Strategia z piwnicy – nie robić nic, nie pokazywać się, nie udzielać wywiadów. Nie wzięła udziału w ŻADNEJ konferencji prasowej od początku kampanii.

Trump miał 26 października wielki wiec w Austin, siedzę potem w nocy, patrzę, a on ma kolejny wiec tego samego dnia – w Michigan i tam jest godz. 23.30! Ten chłop jest z żelaza. Nie sypia. Walczy. Ludzie to widzą i cenią, bo w USA ceni się walecznych i pracowitych. Pomagają Trumpowi, jak kto może.

Tysiące wiernych przeszły ulicami Nowego Jorku w procesji z monstrancją, śpiewając i modląc się o pokój. Główne media nie chcą o tym mówić.

Kardynał R.L. Burke ogłosił w marcu dziewięćmiesięczną nowennę do Matki Bożej z Guadalupe – z prośbą o ratowanie Ameryki i świata. Do codziennego odmawiania w domu.

Zamach na Trumpa był w sobotę 13 lipca (dzień maryjny). Tamten wiec otworzył modlitwą ksiądz katolicki i powiedział ludziom: „Módlcie się, bo chcą go zabić”. Niedługo potem padły strzały, a my widzieliśmy cudowne uratowanie od śmierci. Trump mówi: ocalenie od kul zawdzięczam wyłącznie Bogu.

8 września Trump składa publicznie życzenia urodzinowe Maryi, a tydzień później zostaje ocalony w drugiej próbie zamachu. Mija kolejny tydzień i Trump dostaje szkaplerz od katolickiego zakonnika.

29 września, w święto Michała Archanioła, Trump publikuje w sieci katolicką modlitwę/egzorcyzm do św. Michała Archanioła. Skąd on to wie? Nie jest katolikiem.

5 października wraca do Butler, aby dokończyć wiec przerywany kulami zamachowca. Na tym wiecu ludzie modlą się za duszę zabitego strażaka Coreya Comperatore’a. Odśpiewano modlitwę „Ave Maria”.

15 października Trump podpisuje akt upamiętnienia męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki i spotyka się z bratankiem męczennika. A gdy na wiecu Kamali Harris ktoś zawołał „Chrystus Panem!”... Kamala odkrzyknęła, że chyba trafił na nie ten wiec. Z kolei Obama krytykuje Trumpa za granie „Ave Maria” na wiecach. (Kim jest Obama,

że mu przeszkadzają akurat takie rzeczy jak pieśń religijna?).

Trump przyjmuje wizerunek Matki Boskiej z Guadalupe od meksykańskiego aktora, a na wiecu w Georgii zaczyna przemówienie od modlitwy „Ojcze nasz”, którą zmaśnia na głos cały stadion. Ludzie spontanicznie zaczynają skandować „Christ is King!” (CHRYSTUS KRÓLEM!).

Coraz więcej komentatorów mówi, że to walka dobra przeciw złu (a nie walka wyborcza republikanie kontra demokraci). Do Trumpa dołączyli też znani demokraci dobrej woli – przynależność partyną utraciła znaczenie, liczy się dobro Ameryki, liczy się dobro jako takie.

Ktoś może powiedzieć, że Trump robi te wszystkie katolickie gesty, żeby zdobyć głosy katolików. Ale przecież to antagonizuje protestantów, których jest w USA więcej niż katolików. Protestanci są otwarci antykatolicy. Dla nich Matka Boża to pogański idol. Kult maryjny ich drażni. Ponadto nigdy nie modlą się za zmarłych, a na wiecu w Butler wszyscy razem modlili się za tego zastrzelonego strażaka i odśpiewano w jego intencji „Ave Maria”.

Trump potrzebuje głosów wszystkich chrześcijan, w tej liczbie także protestantów. Mimo to stale im podpada („Ave Maria”, wizerunek Matki Bożej z Guadalupe, szkaplerz). A jednak robi to, co robi, bez oglądania się na wyborcze słupki poparcia. Trump nie jest święty. Biblia podaje wiele przykładów, gdy grzesznik staje się narzędziem w rękę Boga. Amerykańscy katolicy modlą się o cud ocalenia Ameryki ode złego. Zrobiliśmy w tej kampanii wszystko, co było po ludzku wykonalne. Czy 5 listopada będzie Lepanto? ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISIĘCIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~514~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE
Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 281 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 51caa52f24

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BATORY – POGROMCA IWANA GROŹNEGO

Rzeczpospolita miażdży Moskwę – Stefan Batory zreformował państwo i obronił Inflanty przed Iwanem Groźnym, zamykając Moskwie to „okno” na Zachód

Tajemnica śmierci Batorego – Dwaj włoscy medycy przez lata obwiniali się nawzajem o spowodowanie śmierci króla Polski, wytaczając najcięższe zarzuty

Złoty amok USA – Pogoń za tym drogocennym kruszczem dla większości poszukiwaczy okazywała się trudem ponad siły. Muzeum w Seattle bardzo prawdziwie pokazuje dramat ofiar gorączki złota

Złota ręka Żeliszawa – Jednym z zaufanych rycerzy Bolesława Krzywoustego był komes Żeliszaw. W „Kronice polskiej” Galla Anonima jego imię pada tylko jeden raz, ale za to w spektakularnych okolicznościach

Polskie ucieczki z białego piekła – Zesłańcy wykazywali się ogromną inwencją, by wyrwać się z Syberii

Ścięte głowy katów wielkiego terroru – Stalinowska machina represji dopadła w końcu samych morderców z NKWD. Szczególnie skrupulatnie wyniszczeni zostali oprawcy polskiego pochodzenia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**